Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 14 (1462) ROK XXIX 5 KWIETNIA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ

- Jak minęły święta
- Do przodu samochodem na pedały
- Szkoła na kołach
- Piosenka aktorska
- Günter Grass

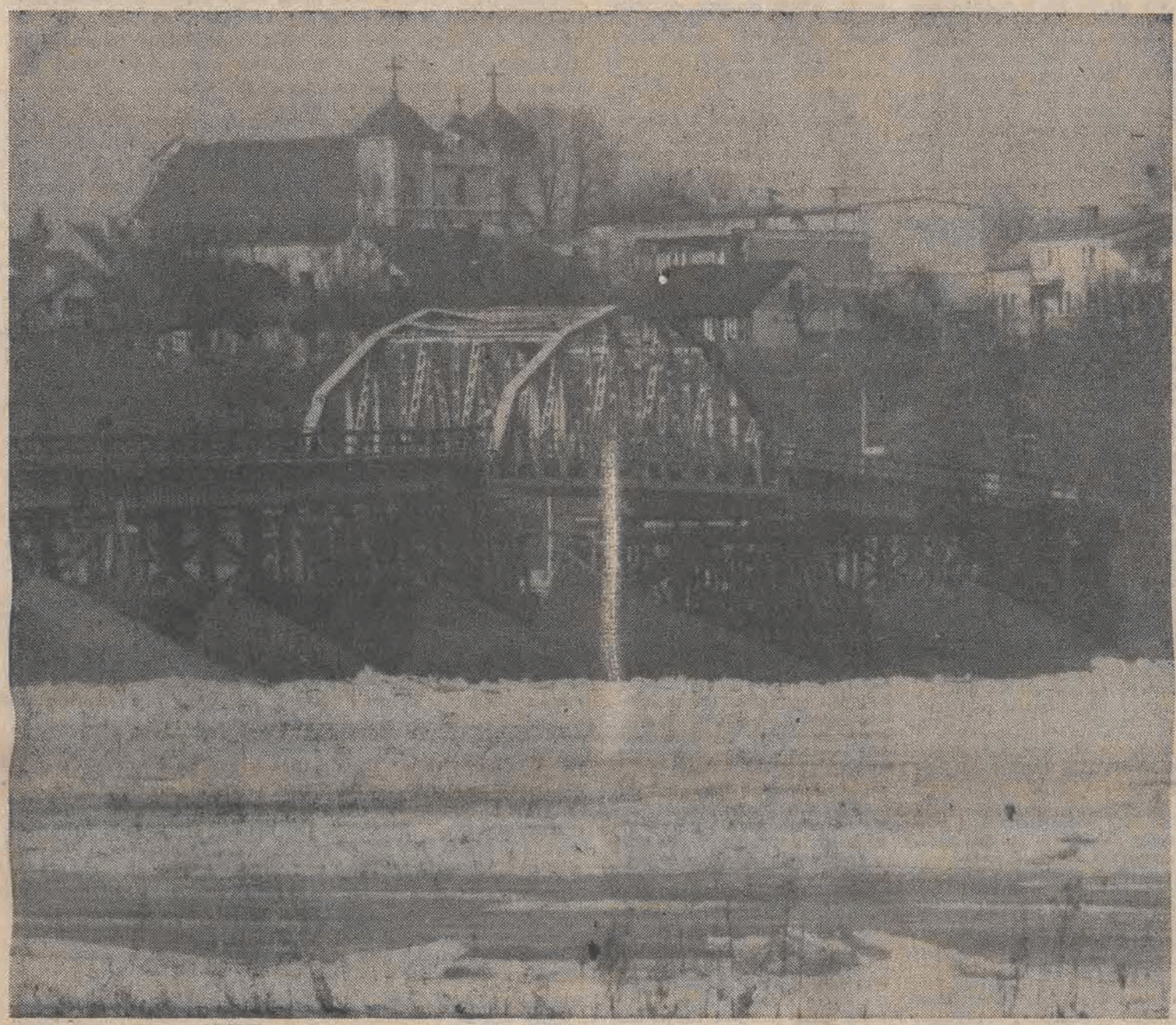

Foto: Grzegorz Galasiński

Najdłuższa kładka nowożytnej Europy

ROMAN KUBIAK

Wiosnę zwiastują detonacje. Lecz nie są to wybuchy na wiwat. Potworny huk kruszy okienne szyby, a odłamki rozpruwają czerwone dachy domów. Jeszcze wcześniej w miasteczku pojawia się wojsko i wtedy każdy już wie, że nastał czas bitwy. Kolejnej, sześćdziesiątej którejś bitwy o najdłuższy drewniany most Europy.

Pierwszym wrogiem mostu jest rzeka. Kiedy rzeka rusza, potężne zwały kry szturmują drewniane filary mostu, a wzburzona woda czyha, by je obalić, zmiażdżyć i porwać w głębiny. Wtedy most jęczy przejmująco i dygoce w konwulsjach, jakby czuł nadchodzącą śmierć, aż ból wypełnia ludzkie serca. Wychodzą więc ludzie na stromy brzeg, a nie ma wśród nich takiego, który by źle mostowi życzył. Bo źle mu życzyć to tak, jakby własnego pragnąć nieszczęścia.

Drugim wrogiem mostu jest czas. Powiadają, że czas leczy rany, ale widocznie tylko na ludzkim ciele, nie zaś na drewnianym ciele mostu. Każda bowiem wiosna rani most okrutnie, kaleczy go ostrzem lodowej kry i tęgimi ciosami powodziowej fali, zostawiając otwarte zadry, które nie chcą się goić. Tu są głębokie rany po wiośnie czterdziestego siódmego. Wtedy bitwę wygrała rzeka. Wróg uderzył z dziką furią łamiąc i gniotąc drewniane pale. Trzy przęsła mostu padły łupem zwycięskiej fali. Tam są ślady po wiośnie pięćdziesiątego dziewiątego, sześćdziesiątego piątego, siedemdziesiątego... I te najświeższe, ziejące jasnym rozdrapanym drewnem — osiemdziesiąty pierwszy rok. Jak skąpa kronika bojów, które w ludzkiej pamięci zatarł czas.

Czas i woda płynęły wartko. I gdyby nie ludzki upór wspierający chybotliwego staruszka, czas i woda dawno już dokonałyby dzieła zniszczenia. A tak, na przekór epoce, która nie kocha drewnianych konstrukcji, siekier, pił i sześciocalowych gwoździ, na przekór żywiołom, które łatwo rozprawiły się z kruchymi przeszkodami, ten most dalej łączy wiślane brzegi. A ludzie, którzy codziennie po nim chadzają i swoimi siekierami opatrują jego próchniejące rany powiadają, że z tej roboty i z tego drewna co poszły dla ratowania starca można by pewnie ze dwa nowe mosty sklecić. Tylko po co komu nowe drewniane mosty, kiedy wszystko teraz z betonu i stali. Po co komu kładka na rzece, która nie udźwignie wielkiej ciężarówki, ani sznura osobowych aut. Dziś nie ma na Wiśle drugiego podobnego mostu. Nie ma już takiego mostu na Odrze, na Dunaju, na Renie. Drewnianego mostu długiego na tysiąc siedemset metrów, bronionego w czasach wojny i czasach pokoju. Ostatniej drewnianej reduty.

Trzecim wrogiem mostu jest wojna. Właściwie trudno powiedzieć kiedy wrogiem, a kiedy sprzymierzeń-

5

Bogowie, autobusy i gęsi...

RYSZARD NAKONIECZNY

„Zdawało się jednym z cudów...
Nie wiem jak o tym
opowiedzieć..."
Bernal Diaz de Castillo.

Kiedyś Meksykanie mieszkali daleko na północ od dzisiejszej stolicy, w Chicomoztoc.

Ale opiekujący się nimi bóg Huitzilopochtli rozkazał im stamtąd odejść i wędrować aż znajdą wysepkę na środku jeziora.

Siedzący na nopalu orzeł, który pożera węża, miał być znakiem, że dotarli na miejsce przeznaczenia; tu powinni założyć swoje nowe miasto.

I w 1325 roku

ROZKAZ BOGA HUITZILOPOCHTLI

został wypełniony.

Dziś z otaczającego wysepkę wielkiego jeziora zostały tylko smętne resztki: Texcoco, Zumpango i kanały Xochimilco. Ledwie uspokojony wykonaniem rozkazu Huitzilopochtli zajął się własnymi sprawami, wyspa zaczęła się monstrualnie rozrastać wypijając dookoła wszystko, co się tylko dało, do tego stopnia, że wodę do metropolii trzeba obecnie prowadzać z bardzo daleka systemem, imponujących zresztą, urządzeń. Jej pragnieniu oparł się dopiero otaczający miasto pierścień gór.

Świat wywrócił się na opak. Bez zmian pozostała tylko nazwa: „Mexico". Złożona z pierwszych członów trzech słów nahuatl: „metztli" — księżyc, „xictli" — pępek i „co" — miejsce, czyli, miejsce w pępku księżyca.

Wygląda na to, że Huitzilopochtli nadal jest odwrócony (dla boga 660 lat to zapewne chwila bez znaczenia), a coraz więcej Meksykanów pozostawionych tak długo bez opieki zapomniało o jego istnieniu: (DLA CZŁOWIEKA 660 LAT TO DOSTATECZNIE DUŻO, ŻEBY ZAPOMNIEĆ):

strefy archeologiczne stolicy są puste

Kręcą się po nich niemal wyłącznie turyści zagraniczni, którzy — mimo czasem dobrych chęci— niewiele są w stanie zrozumieć. Dla większości z nich to coś podobnego do Chartres czy Tower, tylko mniejsze i biedniejsze. Słuchają pilnie przewodników, pracowicie wymieniają z pamięci daty i nazwy...

I najmniej wymagającym to w zupełności wystarcza; będą mogli opowiadać, że widzieli na własne oczy i na dowód pokazywać zdjęcia. Garstce innych zostaje ciągłe zderzanie się ze szklaną ścianą. Ci stoją tutaj długo, w milczeniu i samotnie, a potem oddalają się z ociąganiem kilkakrotnie odwracając głowę, jakby ze strachem, że odchodzą za wcześnie, bo następna minuta mogłaby przynieść zrozumienie, jeżeli nawet nie świata tamtego, to przynajmniej współczesnego i — ostatecznie — samego siebie.

Pierwszym stopniem wtajemniczenia jest zona arqueológica CUICUILCO położona dokładnie naprzeciw Villa Olimpica (dzielnicy, w której mieszkali uczestnicy igrzysk olimpijskich). Od przelotowych Periferico i Insurgentes odgradza ją pas powulkanicznych urwisk porośniętych karłowatymi drzewami. Piramida kryje się w środku i nawet z odległości kilkunastu metrów robi wrażenie banalnego kurhanu, na który wspiąć się trzeba wyłącznie z obowiązku. Dopiero idąc rodzajem serpentyny na szczyt widać odsłonięte spod ziemi fragmenty; najpierw nisze, a w centrum obelisk, od którego prowadzi wąski, kamienny korytarz, gwałtownie skręcający i urywający się na stoku po drugiej stronie. Strzępy... Tyle tylko, że zanim zejdzie się w dół można zobaczyć prawie cały Meksyk, lepiej niż z najwyższych budowli współczesnych — jedyny ślad obecności bogów.

A potem idą TLATILCO, TENAYUCA, SANTA CECILIA ACATITLAN, SAN PEDRO DE LOS PINOS i dwa mosty COPILCO, pod którymi od dawna już nie płynie żadna rzeka. Tutaj nie ma płotu ani parku i nie trzeba płacić za wstęp nawet 50 pesos; resztki dawnych bóstw stoją wprost przy ulicy. Ale od razu widać, że nie mają z nią wiele wspólnego — ani z wielkomiejskim ruchem, ani z zagonionymi przechodniami, którzy stracili całą odwagę — stoją obok i przypominają o sobie produkując ciszę.

EHECATL

MAŁA PIRAMIDA NA STACJI METRA

Pino Suarez, jest trzecim i ostatnim stopniem homogenizacji dawnych bóstw ze współczesnością. W całym tym procesie można by nawet dostrzec wiele dobrego, pod warunkiem, że bogom zostawiono by choć trochę szans, zamiast sprowadzać ich do roli maskotek. Pino Suarez jest jedną z głównych stacji komunikujących ze sobą różne linie metra. Do późnego wieczora panuje tu olbrzymi ruch, tłumy ludzi śpieszących dokądś wędrują bez końca w różne strony; trudno jest w ogóle znaleźć piramidę, a nawet kiedy się już ją zobaczy, prawie nie ma mowy o zatrzymaniu się — idący z tyłu zaraz popychają dalej, robi się regularny korek.

EHECATL, każdego dnia na nowo, staje się zgrzytającą, pełną kroków i pośpiechu, metaforą stosunku człowieka współczesnego do rzeczy najważniejszych: najpierw ciężko je znaleźć i trzeba zadowalać się namiastkami, bo kogo dziś stać na bezkompromisowość, czy choćby cierpliwość, a potem, kiedy czasem pojawiają się jakimś cudownym sposobem, nie ma czasu, albo warunków, żeby się przy nich zatrzymać, bo wygoda, interesy, przyzwyczajenia, święty spokój... Aby nieco podreperować wyobrażenie o sobie zostawia się im tylko zdawkowe postumenty; tak jak na stacji Pino Suarez przebito nad piramidą EHECATL otwór na powierzchnię.

Strefy archeologiczne są puste, bogowie zostali zapomniani... A jednak. Po trzęsieniu ziemi mieszkańcy nowoczesnej dzielnicy mieszkaniowej Tlatelolco, która została poważnie uszkodzona, rozstawili swoje namioty między resztkami piramid na Placu Trzech Kultur. Służba porządkowa, dotąd bardzo energicznie wkraczająca, gdy ktoś choćby na moment spuścił nogę za okalający strefę gzyms, nie interweniowała.

Przed trzęsieniem znacznie większym powodzeniem na Placu Trzech Kultur cieszył się wybudowany przez Hiszpanów niewielki kościółek klasztoru Santiago de Tlatelolco (nie mówiąc już o pawilonie nowoczesnego gmachu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w którym wydawane są paszporty).

Na tle panującego w Meksyku sakralnego budownictwa kolonialnego, ociekającego od złota i rozbudowanego architektonicznie, kościółek prezentuje się nadzwyczaj skromnie, począwszy od burej fasady zwieńczonej dwiema wieżyczkami (z których jedna jest w połowie zniszczona), aż po jednonawowe, wręcz ascetyczne wnętrze domagające

12

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36 52 44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 28, 00 958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153 201045-139 11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam.931 B-2.

Przegląd prasy

Jest takie powiedzenie: *„Polak Węgier dwa bratanki i do szabli i do szklanki"*. Nie zawsze tak było, bo w 1376 roku kiedy królem Polski był Ludwik Węgierski, a w Krakowie rządziła jego matka Elżbieta Łokietkówna, doszło do pogromu Węgrów. Węgrzy przybyli wtedy do Krakowa z Elżbietą i — jak pisze Jan Długosz — *„zgodnie ze swym zwyczajem ograbili wiele wozów, które jechały na rynek krakowski ze zbożem i sianem"*. O tę grabież wówczas poszło. Ale dziś nikt już o tym nie pamięta. Może dlatego, że niezbyt dobrze znamy historię Węgier, a Węgrzy historię Polski.

Tamas Alaksza, który udzielił wywiadu stałemu korespondentowi „ŻYCIA WARSZAWY" (nr 66 z 19 marca 1986 roku) Grzegorzowi Łubczykowi proponuje

ZMIENIĆ STEREOTYP

i dokonać korekty znanego powiedzenia: *„Polak Węgier dwa bratanki, do myślenia i rozwiązywania wspólnych problemów"*. Może to i przydługie, bez rymu, ale racjonalne. Tylko czy się przyjmie?

Grzegorz Łubczyk dał tytuł swojej korespondencji w „Życiu Warszawy": *„Jak nas widzą Węgrzy?"*. Tytuł ten odpowiada treści rozmowy z Tomaszem Alakszą, ale jednocześnie nabiera jakby szerszego znaczenia w świetle artykułu Jerzego Roberta Nowaka opublikowanego w 2 numerze krakowskiego miesięcznika „ZDANIE" z 1986 roku. Tytuł artykułu Jerzego Roberta Nowaka: *„Pamflet i mistyfikacja"*.

Tamas Alaksza jest sekretarzem redakcji „Magyarorszag", w którym to tygodniku od kilku już lat zapełnia całą kolumnę druku sprawami polskimi. W latach 1980—1982 taka kokolumna poświęcona sprawom polskim ukazywała się co tydzień, obecnie rzadziej. Życie polityczne, społeczne i gospodarcze w Polsce stabilizuje się, co już budzi mniejsze zainteresowanie węgierskiego czytelnika. Na Węgrzech pracuje wielu Polaków i — jak powiada Tamas Alaksza — *„w ogromnej mierze to ich zasługą że obraz Polski i Polaków na Węgrzech, bazujący na tradycyjnej do siebie sympatii — oparł się nieła twiej próbie"*.

Ich wysiłek może jednak okazać się daremny w obliczu wysiłków ludzi Polsce niechętnych, którzy mają do dyspozycji inne, szersze możliwości oddziaływania na wiedzę lub wykorzystywania niewiedzy Węgrów. Próbę takiej działalności zaprezentował w „ZDANIU" Jerzy Robert Nowak. Napisał on obszerny artykuł, w którym przedstawił już dwukrotnie wydaną w Budapeszcie powieść historyczną György Spiró pt. *„Iksowie"*. Jest to powieść o teatrze Wojciecha Bogusławskiego i jego epoce. Autor tej książki jest slawistą i dramaturgiem, ma 39 lat, a jego książka wzbudziła duże zainteresowanie na Węgrzech i — jak pisze J. R. Nowak — jest już w trakcie tłumaczenia na język niemiecki.

CZY TO JEST POWÓD DO RADOŚCI?

Jerzy Robert Nowak odpowiada, że nie, że wręcz przeciwnie, jest to powód do zmartwienia. Dlaczego? Dlatego, że powieść ta przedstawia zupełnie fałszywy obraz Polaka i Polski z początku XIX wieku, ludzi wówczas działających. Jest to tym poważniejsza sprawa, że *„krytyka węgierska* — pisze J. R. Nowak — *jednogłośnie potraktowała „Iksów" jako całkowicie rzetelną w swej warstwie faktograficznej powieść historyczną, dającą bardzo wierny obraz Polski lat 1815—1830"*. Stało się to możliwe tylko dlatego, że jest *„niewielka na Węgrzech znajomość polskiej historii XIX wieku"*. A wynika to między innymi *„ze słabości węgierskich badań nad historią Polski"*. Znacznie lepiej jest tam znana literatura polska.

Czym więc jest książka György Spiró *„Iksowie"*? J.R. Nowak udowadnia, że jest mistyfikacją, fałszerstwem i wielkim pamfletem na Polskę i Polaków. Jest przykładem *„bezceremonialnego przetnaczania faktów historycznych"*. Najlepszym tego przykładem, przytoczonym przez J.R. Nowaka, jest spotkanie polskich szwoleżerów z Tadeuszem Kościuszką w Fontainebleau pod Paryżem. Fakt ten znany jest z pamiętników Dobieckiego i Grabowskiego. Otóż istotnie szwoleżerowie polscy zabierali siano chłopom francuskim, gdy powstrzymał ich przed tym staruszek dobrze mówiący po polsku. Był to Tadeusz Kościuszko.

„Kiedy szwoleżerowie dowiedzieli się, że ich rozmówcą jest Kościuszko — pisze J.R Nowak — *jednocześnie zrzucili siano z koni i chcieli odjechać ze wsi. Wtedy Kościuszko zaprosił ich do siebie i poczęstował winem przed domem"*. Do Tadeusza Kościuszki przybyli później oficerowie z generałem Krasińskim i podarowali siwka polskiego, na którego kupno złożyli się.

A oto jak opisuje tę scenę György Spiró:

„Czy słyszałeś o tym, jak to nasi szwoleżerowie spotkali się pod Paryżem z Kościuszką... Nasi bohaterowie narodowi właśnie rekwirowali słomę dla koni. Zdarzyło się to w dzień po rezygnacji Napoleona. Rabują nasi, rabują, nagle zjawia się w stajni jakiś zgrzybiały starzec i po polsku wzywa dzielnych naszych chłopców, aby nie zabierali własności chłopów francuskich, którzy tak wiele już wycierpieli. Nasi dzielni żołnierze dobrze zbili starego, a potem zapytali, gdzie nauczył się po polsku. „Ja — ja — jes-tem Ko-Ko-Kościuszko — jąka się pokrwawiony od razów starzec — bo-bo-jowwnik wolności!" Na to dzielni patrioci wzięli starca o krwawiącym nosie na ramiona, obnieśli po wiosce, potem położyli i zostawili, a słomę ostatecznie ukradli."

Wszyscy występujący w powieści György Spiró Polacy są głupcami, szujami, bęcwałami, podlecami. A. Feliński autor *„Barbary Radziwiłłówny"* i *„Boże coś Polskę"* to *„głupi, bigot, nieszczęsny facet, którego wyciągnięto z mieściny, gdzie nauczał różnych głupoli"*, *„jest pederastą"*, a jego dramat to *„bęcwalski wylew spermy dyletanckiego zakonnika"*. Kajetan Koźmian był szubrawcem, — Stanisław Staszic to *„głupi"*, *„imbecyl"*, *„nadęty balon"*. Król Stanisław August też jest *„głupi i próżny"*. Franciszek Zabłocki miał *„głupie duże oczy"*, a Julian Ursyn Niemcewicz to *„głupiec"*, *„niezdolny pismak"* i *„kurwa, która przychodzi zabiegać o względy silniejszego"*.

Najwięcej dostało się Wojciechowi Bogusławskiemu, który przedstawiony jest jako onanista, *„męska prostytutka"*, który sam o sobie mówi: *„wylizałem dupę carowi"*, *„bezwstydnie wysługiwałem się władzy"*.

György Spiró z całą konsekwencją i zupełnie świadomie

PRZEDSTAWIA POLAKÓW JAKO GŁUPCÓW

Pisze on, że Polacy *„głoszą, że Chrystus znowu zmartwychwstanie w Polsce, zdarzają się też opinie, że Chrystus był Polakiem od urodzenia"*. Pisze także, że Polacy *„snuli wielkie marzenia, wielu już przewidywało, że car Aleksander po koronowaniu na króla Polski natychmiast rozpocznie wojnę przeciwko rosyjskiemu imperium i na czele Polaków zajmie Moskwę"*.

„Ta nasza polska głupota!... — pisze w innym miejscu György Spiró — *Prawdziwy Polak ciągle jeszcze uważa za większą zaletę, gdy rzuci się na koniu w odmęty burzliwej rzeki i bohatersko utonie niż wytrwałą i pilną pracę..."*

Już w kwietniu 1983 roku węgierski krytyk L. Zappe zwrócił uwagę na łamach „Kritiki", że powieść György Spiró *„wzbudziła zainteresowanie głównie swymi bezpośrednimi nawiązaniami do węgierskiej i polskiej teraźniejszości"*. Wielekroć współczesność ubierano w kostium historyczny, ale kostium ten powinien być skrojony wedle wówczas obowiązujących zasad, a nie dowolnie dopasowywany do z góry założonych tez.

POLACY NIE BYLI I NIE SĄ ANIOŁAMI

Sami dobrze znamy wady swoje i sporo o nich dyskutujemy, aby tym łatwiej móc je przezwyciężać. Jestem przeciwny polonocentryzmowi w nauczaniu historii i nie tylko w nauczaniu. Uważam, że nie zawsze zachowywaliśmy się należycie, że popełnialiśmy błędy w historii i nie powinniśmy ich ukrywać. Ale straciwszy państwo byliśmy gotowi wykorzystać każdą okazję, aby walczyć o jego odzyskanie, wierni zasadzie, że walczymy *„Za waszą i naszą wolność"*. W myśl tej zasady Polacy ciągnęli na Węgry, gdy Węgry w 1848 roku podjęły walkę o wolność.

Eligiusz Kozłowski i Mieczysław Wrzosek w książce *„Historia oręża polskiego 1795—1939"* nie ukrywają, że *„rokowania o legion polski na Węgrzech przebiegały w niezdrowej atmosferze politycznej, emigracyjnych kłótni, oskarżeń i obelg, szczególnie między Bemem przybyłym właśnie do Pesztu z Wiednia i Wysockim. Rezultatem tych kłótni było skierowanie Bema do Siedmiogrodu (Kossuth planował początkowo przekazanie mu naczelnego dowództwa), a legionu Wysockiego pod Arad..."*

Fakt, że Polacy na początku XIX wieku stanęli po stronie Napoleona i we Francji szukali sojusznika swoich państwowych interesów spowodował z jednej strony powstanie Księstwa Warszawskiego, a z drugiej zmusił w styczniu 1811 roku cara Aleksandra do spróbowania przeciągnięcia Polaków na swoją stronę, obiecując im odbudowę Polski w granicach sprzed rozbiorów. Michał Ogiński wraz z Ksawerym Lubeckim, Ludwikiem Platerem i Kazimierzem Lubomirskim pracowali nad statutem ośmiu *„guberni polskich"* ze stolicą w Wilnie. Nic z tego jednak nie wyszło. Książę Józef Poniatowski — którego György Spiró dokładnie zmieszał z błotem — nie dał się przeciągnąć na stronę carską. Polacy pozostali wierni Napoleonowi, co w konsekwencji doprowadziło do powstania Królestwa Polskiego.

KAŻDE DZIAŁANIE PODLEGA KRYTYCE

i nie wolno gniewać się na kogoś, że nas krytykuje za takie, czy inne zachowanie w przeszłości. Gdyby więc György Spiró poddał krytyce nasze działania z początku XIX wieku, to byłoby to — moim zdaniem — normalne. Jerzy Robert Nowak dość przekonywająco udowodnił na łamach „Zdania" że György Spiró *„podaje całkowicie przeinaczone fakty, bądź własne fałsze i zmyślenia wkładając je w usta nie prymitywów lecz luminarzy polskiej kultury"*. Trudno zatem zgodzić się z taką metodą.

A może jesteśmy nad wyraz wrażliwi? Może przeczuleni? Jerzy R. Nowak i tę możliwość rozważa. I dochodzi do wniosku, że chyba nie.

„...wyobraźmy sobie — pisze — *jak zareagowano by w świecie, gdyby ktoś napisał spiróowską manierą powieść o Żydach, w której by dziesiątki razy używał słów „Żyd" i „żydowski" w kontekście pejoratywnym, a czołowych myślicieli i twórców żydowskiego pochodzenia — powiedzmy Heinego, Freuda czy Kafkę — przedstawiłby jako „imbecyli" czy „bydlaków"? Myślę, że natychmiast wszyscy z całą słusznością uznaliby autora takiej powieści za dzikiego antysemitę"*.

I na zakończenie ciekawostka J. R. Nowak podejrzewa, że G. Spiró wzorował się na powieściach Leopolda Sachera Masocha, który był synem naczelnika policji we Lwowie, pisał nie tylko powieści pełne pań bijących pejczem panów, ale nienawistnie antypolskie, a który w latach 1874—1881 przebywał na Węgrzech, gdzie wydawał tygodnik w języku niemieckim.

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Emocje, i co dalej...

Od kilku osób, które czytały w tej rubryce mój komentarz pt. „Trudna miłość" (o dwa numery „Odgłosów" wstecz), dotarły do mnie słowa dezaprobaty dla wyrażonych tam poglądów na patriotyzm. W szczególności nie do przyjęcia dla nich okazały się stwierdzenia, iż nacjonalizm, przejawiający się głównie nienawiścią do innych nacji, jest w istocie głównym przeciwieństwem patriotycznej postawy, gdyż w efekcie naraża naród na niechęć innych i przynosi mu szkody zamiast spodziewanych zysków. A tymczasem internacjonalizm (jak pisałem) jest jakby sumą niesprzecznych patriotyzmów i dobrze służy narodom.

Przypomnę, że powoływałem się na przykład hitlerowskiego nacjonalizmu i spowodowaną przez niego klęskę III Rzeszy, cytowałem też słowa Wojciecha Jaruzelskiego z wywiadu dla „Le Monde", w których nasz przywódca uprzytamnia francuskiemu dziennikarzowi, na przykładzie sojuszu polsko-radzieckiego, zupełną zgodność patriotyzmu z internacjonalizmem.

Wiele przemawia za tym, że tradycyjne i bezrefleksyjne pojmowanie patriotyzmu jest jeszcze dość silnie zakorzenione w części polskiego społeczeństwa, toteż pozwolę sobie dziś na dalszy przykład, który wystawia jak najgorsze świadectwo nacjonalizmowi i powinien spotkać się z potępieniem zwłaszcza w Polsce. Otóż jednym z założeń hitlerowskiego nacjonalizmu było, jak pamiętamy, przekonanie o rasowej niższości Polaków i w ogóle Słowian, a ponadto Żydów i Cyganów, co miało niejako usprawiedliwiać masowe morderstwa na wymienionych „podludziach", w myśl bowiem owej nacjonalistycznej, zabarwionej rasizmem ideologii, była to tylko akcja „sanitarna", jak przy tępieniu szkodliwych insektów.

Czy można więc, będąc Polakiem, czyli mając wygarbowane na skórze skutki hitlerowskiego obłędu, przyznawać hitlerowcom szczytne miano patriotów swojego narodu, a w takim razie niemieckim antyfaszystom, którzy pierwsi, bo od 1933 r. ginęli w walce z hitleryzmem odmawiać prawa do miana patriotów, lecz raczej uznać ich za zdrajców narodu niemieckiego? Powie ktoś, że jednak hitlerowcy dla swego narodu i państwa niemieckiego „chcieli dobrze". A więc „dobrze i patriotycznie" jest przemieniać własny naród w naród zbrodniarzy i degeneratów moralnych, wzbudzać do niego wrogość i pragnienie odwetu wśród innych narodów?

Przeciwnie. Patriotyzm polega na pragnieniu wzbudzania u innych narodów sympatii i podziwu dla narodu, do którego należymy, sądzę też, że w głębi duszy pragnie tego większość współczesnych Polaków, tylko nie wszyscy uświadamiają sobie, jakie drogi prowadzą właśnie w tym kierunku, a nie przeciwnym. Po prostu nauki z faszyzmu nie zostały u nas we właściwym czasie przemyślane do końca przez tych, co przeżyli niemiecką okupację i obwiniałbym o to zarówno naszą literaturę, jak i publicystykę.

Jeden z krytyków wspomnianej „Trudnej miłości" nie został przekonany co do słuszności moralnej i politycznej internacjonalizmu i uważa, że każdy internacjonalista, jak go mocniej „poskrobać" okaże się dość obojętny na interesy własnego narodu, a na pierwszym planie gotów jest stawiać interesy ludzkości, rozumiane przez niego jako zwycięstwo socjalizmu w skali światowej.

Zgodziłbym się z tym, że internacjonalizm jako światopogląd uniwersalistyczny, podobnie jak np. chrześcijaństwo operują nadrzędną kategorią ludzkości lub rodzaju ludzkiego czy też międzynarodowego świata pracy, uznając przy tym konieczność okiełznania wybujałych aspiracji własnego narodu (zwłaszcza ekspansji terytorialnej) z cudzymi interesami i znalezienia jakiejś płaszczyzny porozumienia, np. w organizacji międzynarodowej. Nie oznacza to jednak obojętności na sprawy własnego narodu, wręcz przeciwnie. Podejrzewam, że wśród osób starszych pokutuje jeszcze, odłożone przez naszą publicystykę do lamusa, pojęcie kosmopolityzmu, które mylą oni z internacjonalizmem.

Otóż kosmopolityzm oznacza obojętność patriotyczną, ale nie w imię nadrzędnych interesów ludzkości, lecz z moralnie przyziemnych powodów. „Tam ojczyzna, gdzie dobrze!". Przypomnieć tu warto piękny patriotyczny wiersz Włodzimierza Majakowskiego „O radzieckim paszporcie". Owi poszukiwacze szczęścia pod obcym niebem nie są przecież internacjonalistami, lecz właśnie kosmopolitami, ludźmi bezojczyźnianymi z własnego wyboru. Daleki jestem od potępiania w czambuł każdego, kto przenosi się na stałe do innego kraju, musiałbym bowiem potępić wtedy tych, co Polskę obierają sobie za drugą ojczyznę, uważam jednak, że poszukiwacze łatwiejszego chleba czy luksusu za wszelką cenę mają najmniejsze prawo do wymachiwania sztandarem patriotyzmu, co tak często czynią.

Wydaje mi się pocieszające, że ciągle jeszcze tak wielu ludzi reaguje wrażliwie na patriotyczne hasła i emocje, oby tylko towarzyszyła tym emocjom refleksja nad współczesnym kształtem patriotyzmu, na miarę epoki atomowego zagrożenia.

JERZY KWIECIŃSKI

Z głębokim żalem zawiadamiamy o śmierci

PAWŁA JASZCZURSKIEGO

Towarzysza Sztuki Drukarskiej, naszego Kolegi i Przyjaciela

ZESPÓŁ REDAKCJI „ODGŁOSÓW"

Cele, obietnice i sprzeczności (1)

EDWARD K. NOWAK

W dyskusjach nad projektem „Programu PZPR" można odnotować różne stanowiska. Jedni podchodzą bezkrytycznie do tego projektu i ograniczają się do upowszechniania jego treści. Inni podejmują rzeczową analizę treści programowych, wskazują na słabości i proponują środki zaradcze. Są wreszcie i tacy, wprawdzie nieliczni, którzy w „drugim obiegu wydawniczym" już zaczęli potępiać w czambuł projekt „Programu PZPR".

Obok środowisk żywo zainteresowanych projektem perspektywicznego „Programu PZPR" występują nadal znaczne obszary społecznej bierności i apatii, do których projekt „Programu" nie dotarł, które nie biorą i nie chcą brać udziału w ogólnonarodowej dyskusji nad jego treściami. Naturalnie, że różne są przyczyny postaw pasywnych wobec opublikowanego projektu, tak zresztą jak i wobec rzeczywistości politycznej: niektórzy uciekają od jakiejkolwiek polityki; niektórzy — wciąż wyczekują, oceniają i przyglądają się władzy; wiele jednak wskazuje na to, że główną przyczyną braku zainteresowania są trudności codziennego życia, które przytłaczają i tworzą grunt do utrzymywania się postaw fatalizmu i biernego oczekiwania, co przyniosą wysiłki sterników polskiej nawy państwowej. W oparciu o dane empiryczne zgromadzone przez Centrum Badania Opinii Społecznej (COBS) można podjąć próbę oszacowania wielkości tej populacji dorosłego społeczeństwa, które nadal *„ucieka od aktywności"*.

Próbowałem dokonać liczebnego szacunku obszarów społecznej bierności i apatii i otrzymałem różne wyniki w zależności od tego, czy analizowałem raporty i diagnozy CBOS pod kątem stosunku społeczeństwa do rządu, opozycji i w ogóle do polityki, czy też odtwarzałem występujące w społeczeństwie polskim typy psychologiczne według stosunku do pracy. Otrzymane rezultaty tych dociekań nadal biją na alarm, ale rezygnuję z publikowania wyników, aby nie gubić z pola widzenia sprawy w tym artykule najważniejszej: analizy niektórych zapowiedzi zawartych w projekcie „Programu PZPR". Przy tej analizie będę korzystał posiłkowo z danych CBOS, ale ich interpretacji będę dokonywał po swojemu. Stąd formułowane opinie, sugestie i propozycje są subiektywnymi refleksjami autora artykułu.

PIERWSZE DYSKUSJE

ujawniają różne stanowiska i oczekiwania wobec projektu „Programu PZPR". Jedni projekt apologetyzują i traktują jako *„objawienie"* i *„świętość"*. Nie przyjmują praktycznie do wiadomości apelu KC PZPR, aby wnieść wkład w jego ostateczną redakcję i głoszą *„radosną"* pochwałę każdego zapisanego tam zamierzenia. Drudzy — zarzucają projektowi nadmierną objętość, rozwlekłość, napuszoność i liczne powtórzenia. Z tymi drugimi trudno polemizować gdyż np. terminy: *„godne życie"*, *„godny wkład"*, *„godne miejsce"* itp. występują w tekście projektu aż jedenaście razy. Są to terminy miłe wprawdzie dla ucha i nieodzowne dla poprawy samopoczucia społeczeństwa, ale bez przesady. Jeszcze inna grupa dyskutantów — na odwrót — zarzuca projektowi przyziemność i brak porywających haseł oraz domaga się poszerzenia projektu o dalsze treści.

Analizę głosów w dyskusjach nad projektem „Programu PZPR" można dalej prowadzić: wyróżniać zwolenników dalej idących reform politycznych i gospodarczych niż przewiduje projekt; zwolenników ograniczenia się do zapowiedzi zapisanych w projekcie i zwolenników minimalizacji zapowiedzi reformatorskich obawiających się, aby wraz z tymi zapowiedziami nie pojawił się w naszym życiu społeczno-politycznym nowy duch, duch rewizjonizmu. W dyskusjach nad projektem „Programu PZPR" można także wyróżniać zwolenników stwarzania dalszych udogodnień dla rozwoju przedsiębiorczości w ogóle i zwolenników *„dania po łapach"* przedsiębiorczości prywatnej. Wszystkie jednak nurty prosocjalistyczne ujawniające się w dotychczasowych dyskusjach traktują jako punkt odniesienia, porywający, zwięzły i precyzyjny Program PPR *(„O co walczymy? Deklaracja programowa Polskiej Partii Robotniczej")*.

Nurty prosocjalistyczne są też na ogół dość zgodne, że dla przezwyciężenia kryzysu, przełamania niewiary, nieufności i niechęci, utrzymującej się jeszcze w niektórych kręgach społecznych wobec polityki partii, najważniejszą rzeczą jest, aby społeczeństwo wiedziało, do jakich celów dąży PZPR i jakimi drogami, aby te cele i drogi rozumiało i w swej większości aprobowało. Różne jednak eksponuje się i wysuwa na plan pierwszy cele perspektywicznego „Programu PZPR" i różne drogi do ich realizacji uznaje się za najważniejsze. Często też spory nad projektem „Programu PZPR" sprowadzają się do współzależności między celami a środkami służącymi ich realizacji: co dla jednych dyskutantów jest celem dla siebie, to dla drugich tylko środkiem, celem pośrednim służącym nadrzędnemu.

Uczestniczący w przedsięwzięciach badawczych Warsztatu Opinioznawczego CBOS eksperci, specjaliści z różnych dziedzin wiedzy, wielokrotnie podkreślali, że w perspektywicznym „Programie PZPR" trzeba *„wyraźnie wytknąć cele, do jakich będzie się zmierzało w dalszej przyszłości. Nie chodzi o program tylko na teraz pod hasłem byleby wyjść z kryzysu, lecz o wychodzenie z kryzysu w sposób mający równocześnie na oku kierunek dalszej drogi. A zatem — określić cele socjalizmu. Wielokrotnie to robiono, są one wypisane m.in. w statucie partii. Pominąwszy już jednak to, że cele te są formułowane nadal abstrakcyjnie, to ponadto w takiej abstrakcji zauważyć można rozbieżności pomiędzy różnymi sposobami pojmowania socjalizmu. Dotyczą one jednak przeważnie dróg do celu, utożsamianych czasem z samym celem"*.

Ci sami eksperci zwracali także uwagę, że w „Programie PZPR" trzeba wyraźnie społeczeństwu powiedzieć, które z jego potrzeb będą zaspokojone dziś, do których wrócimy za rok, za dwa, za dziesięć, a które nie będą mogły być zaspokojone.

Tak więc jasno określone, konkretne cele i drogi do nich wiodące są najważniejsze w „Programie PZPR". Pogląd ten można zilustrować sukcesami i niepowodzeniami socjalizmu w Polsce. Popatrzmy zatem na historię Polski Ludowej nieco inaczej, niż na co dzień: z punktu widzenia celów i dróg do nich wiodących.

DROGI I BEZDROŻA SOCJALIZMU W POLSCE

Jak to było z celami i drogami socjalizmu w Polsce Ludowej? Strategicznym celem było zawsze dążenie do równości szans ludzi, przezwyciężanie niedostatków materialnych i pełniejsze zaspokojenie potrzeb duchowych społeczeństwa. Cele bliższe, konkretne, rozpisane na język uchwał zjazdowych i planów 3-, 6-, i 5-letnich zależały m.in. od środków, jakimi dysponowano w danym okresie, oporów i przeszkód, które trzeba było pokonywać, postulatów społecznych itp.

W drugiej połowie lat czterdziestych celem było podniesienie stopy życiowej powyżej poziomu przedwojennego i odbudowa kraju. Drogą — nacjonalizacja przemysłu i reforma rolna oraz scalenie ziem odzyskanych z resztą kraju. Cel przeto był jasny i drogi, chociaż trudne, zrozumiałe dla każdego. Trzyletni Plan Odbudowy Gospodarczej (1947—1949) został wykonany przedterminowo. Tempo rozwoju było błyskawiczne. Uruchomiono i odbudowano przemysł. Zadania w przemyśle i rolnictwie zostały przekroczone. Poziom życia ludności przewyższył przedwojenny. Sklepy w żywność były nie najgorzej zaopatrzone. Tempo odbudowy kraju zaskoczyło przyjaciół i wrogów Polski. Życzliwi Polsce politycy mówili nawet o polskim cudzie gospodarczym.

W LATACH PIĘĆDZIESIĄTYCH

celem było rozbudowanie sił materialnych polskiego społeczeństwa i dogonienie świata kapitalistycznego, ale droga dla społeczeństwa nie była zrozumiała. Sześcioletni Plan Rozwoju Gospodarczego i Budowy Podstaw Socjalizmu (1950—1955) forsował rozwój przemysłu ciężkiego i kolektywizację rolnictwa. Opierał się na wzorach radzieckich. Twórcy koncepcji planu 6-letniego zapomnieli jednak, że wzory te były adekwatne do radzieckich warunków życia. Popełnili ten sam błąd, przed którym już w 1848 r. twórcy „Manifestu Komunistycznego" ostrzegali towarzyszy niemieckich przenoszących wzorce działania z Francji do Niemiec. *„Niemieccy filozofowie, półfilozofowie i pięknoduchy uchwycili się chciwie tej literatury* — pisali Marks i Engels — *zapominając tylko o tym, że z przywędrowaniem tych pism z Francji nie przywędrowały równocześnie francuskie warunki życia"*. Konsekwencją popełnienia tych samych błędów była w Polsce m.in. zła ocena możliwości inwestycyjnych gospodarki i kolektywizowanie na siłę rolnictwa. Trzeba też przypomnieć o deformacjach politycznych i o łamaniu praworządności.

Tak więc cel gospodarowania w latach pięćdziesiątych był jasny, ale droga do celu była niedostosowana do polskich warunków. Stąd i rezultaty były połowiczne. Forsowna industrializacja dała rezultaty. Uprzemysłowiono kraj, odbudowano i zbudowano nowe miasta, fabryki, stocznie i porty, szkoły i szpitale. Doszło do wielkich przemian w życiu wsi i rozwoju kultury masowej, ale równocześnie narosła dysproporcja między produkcją środków produkcji a produkcją środków konsumpcji, obniżyła się stopa życiowa, nie wykonano zadań planu w rolnictwie. Inwestycje i produkcję osiągnięto dzięki wyrzeczeniom społeczeństwa nie tyle dobrowolnym, co wymuszonym bezpośrednim i pośrednim przymusem państwowym.

Ta koncepcja rozwojowa Polski zawaliła się w 1956 r. Po październikowym przełomie wstrzymano kolektywizację rolnictwa i przystąpiono do zaspokojenia potrzeb konsumpcyjnych społeczeństwa.

W LATACH SZEŚĆDZIESIĄTYCH

brak było precyzyjnej wizji rozwoju Polski. Cele były mgliście zarysowane. Wykazywano wiele ponierskiej inicjatywy na polu integracji naszej gospodarki w ramach RWPG. Wiele mówiono o tempie wzrostu wskaźników ekonomicznych i o bliskim prześcignięciu kapitalizmu. Brak jasno określonych celów rodził jednak niewiarę w społeczeństwie. Prowadzona polityka stawała się coraz mniej atrakcyjna i zrozumiała. Narastało nawet przekonanie, że drepczemy w miejscu, a przywódcy Polski, jak to później określano, lansują coś na kształt *„zgrzebnego socjalizmu"*. Spadało tempo wzrostu gospodarczego i tempo płac realnych, które okazało się najniższe wśród krajów socjalistycznych. Wprawdzie do dziś toczą się spory o tempo rozwoju kraju w latach sześćdziesiątych.

Prawdą natomiast jest, że *„ujawniający się wówczas coraz wyraziściej niedostatek perspektywicznego programu rozwoju cywilizacyjnego Polski odzwierciedlał się w braku szans na aktywizację zawodową młodzieży, w zagrożeniu bezrobociem — całkiem realnym w końcu szóstej dekady"* (M. Gulczyński, Jaki socjalizm. Warszawa 1980, s. 140). Plusem lat sześćdziesiątych było powstanie nowych gałęzi przemysłu, rozbudowa bazy energetyczno-surowcowej i utrzymanie zrównoważonych obrotów z zagranicą. Pod koniec lat sześćdziesiątych poszukiwano także nowych kierunków w polityce gospodarczej, które by przemysłowi i rolnictwu nadały nowe impulsy. Wysunięto koncepcje selektywnego wzrostu gospodarczego. Nie dopuszczano jednak możliwości zmian w sferze politycznej. Społeczeństwo jest jednak bezlitosne. Ocenia politykę partii i państwa nie na podstawie potencjału przemysłowego i miejsca na mapie gospodarczej świata, ale na podstawie płac i dochodów realnych. Skończyło się to *„Grudniem 1970 r."*.

W LATACH SIEDEMDZIESIĄTYCH

pojawiła się nadzieja. Cel rozwoju był jasny — lepsza „jakość życia". Społeczeństwo czytało prościej — konsumpcja. Droga do celu prowadziła przez unowocześnienie gospodarki i zapewnienie pracy dla roczników wyżu demograficznego. Środki, za pomocą których zmierzano do celu, były — z dzisiejszego punktu widzenia — problematyczne. Zakładano, że rosnące potrzeby społeczne zostaną zaspokojone nie tylko z przyrostu dochodu narodowego, ale i dzięki kredytom zagranicznym. Liczono, że wzrost wydajności pracy zwróci z nawiązką nakłady i spłaci kredyty (koncepcja tzw. samospłaty). Cele, droga i środki strategii rozwojowej lat siedemdziesiątych zostały zaakceptowane przez zdecydowaną większość społeczeństwa.

Powodzenie tej strategii wymagało — od I sekretarza KC PZPR do robotnika niewykwalifikowanego — rzetelnej pracy. Niestety, kierownictwo partii i państwa nie stanęło na wysokości zadania. Masy pracujące obserwowały rosnące dysproporcje społeczne. Widziały gigantomanię, efekciarstwo i samochwalstwo. Odczuwały na własnej skórze niezgodność czynów ze słowami. Tak rodziła się gorycz i niechęć do władzy. Wszystko to zniechęcało do rzetelnej roboty. Wydajność pracy przestała rosnąć. Jakość pracy pogarszała się. Koncepcje samospłaty zawiodły. Skończyło się to wielkim krachem.

Tak więc, ilekroć władza myliła się w ocenie celów i dróg do nich wiodących, tylekroć działała błędnie, a społeczeństwo za to potem pokutowało.

Ten krótki przegląd celów, dróg i bezdroży socjalizmu w Polsce może budzić kontrowersje, ale zwraca uwagę na doniosłość precyzyjnego wskazywania społeczeństwu, jakie jego potrzeby będą zaspokojone w najbliższej przyszłości, jakie w nieco dalszej, a jakie dopiero w dalekiej perspektywie.

Jak jest z konkretyzacją celów socjalizmu w projekcie „Programu PZPR"?

CELE W PROJEKCIE „PROGRAMU PZPR"

Problematyka celów stanowi przedmiot szczególnego zainteresowania projektu „Programu PZPR". Projekt precyzuje także, jakie potrzeby społeczne zostaną zaspokojone do 1990 r., a jakie mogą być zaspokojone dopiero w następnym dziesięcioleciu. Projekt wskazuje ponadto drogi wiodące do realizacji celów.

Przyjrzyjmy się bliżej proponowanej konkretyzacji celów socjalizmu w Polsce.

Problematyka celów jest przedmiotem przede wszystkim rozdziału III zatytułowanego: *„Cele i zadania społeczno-gospodarczego rozwoju kraju"*. Projekt zapowiada, że nadrzędnym celem jest: *„podnoszenie stopy życiowej ludzi pracy, tworzenie materialnego dostatku, kształtowanie socjalistycznego sposobu życia"*. Są to strategiczne, uniwersalne cele socjalizmu, stawiane w programie każdej partii komunistycznej i w każdym okresie jej działania. Cele te mogą być atrakcyjne, zrozumiałe i pociągające dla społeczeństwa tylko wtedy, gdy zostaną skonkretyzowane i zsynchronizowane z realnie odczuwanymi materialnymi potrzebami oraz aspiracjami społeczeństwa. Rozumieją to doskonale autorzy projektu i podejmują próbę takiej konkretyzacji zarówno w sferze gospodarczej, jak i politycznej.

W sferze gospodarczej zapowiada się przeto, że *„celem strategii intensywnego rozwoju społeczno-gospodarczego jest zapewnienie systematycznej, społecznie odczuwalnej poprawy poziomu życia społeczeństwa, szerszy udział w postępie światowym, umacnianie ekonomicznego bezpieczeństwa kraju"*. Sformułowania te są bardzo ważne, ale wciąż są zbyt ogólne, aby były pociągające dla społeczeństwa. Odczytanie proponowanych w projekcie celów bliższych, konkretnych, utrudnia jeszcze fakt, że w innym miejscu poddanego pod dyskusję projektu dokumentu dążenia do: podnoszenia stopy życiowej, tworzenia materialnego dostatku, wzrostu realnych dochodów ludności, godziwego życia itp. nazywa się *„zadaniami"* (s. 3), a w jeszcze innym miejscu projektu *„powinnościami partii"* (s. 11). Nazywanie jednych i tych samych treści *„nadrzędnymi celami"*, *„celami strategii intensywnego rozwoju społeczno-gospodarczego"*, *„powinnościami partii"* i *„zadaniami"* utrudnia odczytanie projektu „Programu", prowadzi do powtórzeń i osłabia propagandową nośność projektu. Myślę, że z tym przedobrzono.

Projekt zapowiada m.in., że do 1990 r. odbudowany będzie poziom dochodu narodowego i spożycia z końca lat siedemdziesiątych, przywrócona pełna równowaga gospodarcza i złagodzona sytuacja mieszkaniowa. Natomiast w przyszłym dziesięcioleciu, do 2000 r., zwiększony zostanie poziom spożycia na jednego mieszkańca o około 50 proc., rozwiązana zostanie m.in. kwestia mieszkaniowa i dokonany zostanie przełom w telefonizacji kraju. Zapowiedzi te są już bardzo konkretne i wychodzą niewątpliwie naprzeciw oczekiwaniom społecznym. Naturalnie, że można je traktować jako konkretyzacje najbliższych celów socjalizmu w Polsce.

Po co jednak ta cała ekwilibrystyka z *„nadrzędnymi celami"*, *„celami strategii intensywnego rozwoju"*, *„powinnościami partii"* i *„zadaniami"*? Czy nie lepiej byłoby skonkretyzować nadrzędne cele socjalizmu w słowach prostych, jasnych i zrozumiałych dla każdego. Z mojego punktu widzenia owo miotanie się między celami, powinnościami i zadaniami stanowi wadę projektu, która może być usunięta w drodze zabiegów redakcyjnych. Sprawą znacznie poważniejszą jest jednak brak spójności wewnętrznej w kilku kwestiach doniosłych dla społeczeństwa. Tu już nie zabiegi redakcyjne, ale polityczna wola X Zjazdu PZPR musi rozstrzygnąć o kierunku dalszej drogi.

KWESTIA MIESZKANIOWA

Projekt zapowiada ostateczne rozwiązanie tej kwestii i zapewnienie mieszkania każdej rodzinie do 2000 roku na drodze: *„wybudowania do końca bieżącego stulecia co najmniej 4 milionów mieszkań, znacznego zwiększania substancji mieszkaniowej oraz zracjonalizowania zasad przydziału i zamiany mieszkań"*. Szczególnie interesująca jest zapowiedź zracjonalizowania polityki zamiany mieszkań, która mogłaby złagodzić nieco *„głód mieszkaniowy"* już dziś. Przekonuje o tym każdy kolejny rocznik statystyczny.

Z danych organów statystyki państwowej wynika, że zasoby mieszkaniowe kraju wynoszą obecnie około 10,5 mln mieszkań o przeciętnej liczbie izb 3,2. Statystycznie oznacza to, że w każdym takim mieszkaniu mogą mieszkać całkiem przyzwoicie 4 osoby. Skoro tak, to statystycznie oznacza to, że około 42 mln Polaków powinno mieć znośne warunki lokalowe. Tak jednak nie jest. Około 202 tys. mieszkań jest nie zasiedlonych, wiele lokali niewątpliwie nie nadaje się do zamieszkania, a wiele osób posiada zawyżony metraż i zajmuje dodatkowe izby mieszkalne. Szereg z tych osób byłoby skłonnych zamienić lokal na mniejszy lub wynająć lokal — zwłaszcza prywatni właściciele mieszkań i domów. Na przeszkodzie stoją jednak bariery natury formalno-prawnej: przepisy, strach przed utratą lokalu na rzecz podnajemcy, brak państwowych lub spółdzielczych biur zamiany mieszkań, praktycznie brak szans na zamianę mieszkań kwaterunkowych, funkcyjnych na spółdzielcze i odwrotnie, korowody administracyjne itd. itp.

Zapowiedziom zracjonalizowania zasady zamiany mieszkań należałoby tylko przyklasnąć, gdyby tym zapowiedziom nie zaprzeczała proklamowana w projekcie polityka reprywatyzacji mieszkań. *„Stopniowo powinien wzrastać udział mieszkań stanowiących osobistą własność obywateli"*. Rozumię, że u podstaw tej zapowiedzi leży założenie, że sprzedaż mieszkań pozwoli na zgromadzenie dodatkowych środków finansowych na budownictwo. Nie w złotówkach jednak leży regres polskiego budownictwa, ale jak słusznie projekt zwraca na to też uwagę, w niesprawnych strukturach i rozwiązaniach, w marnotrawstwie itp. Jak zatem pogodzić zapowiadaną politykę *„zracjonalizowania zasad zamiany mieszkań"* ze sprzedażą mieszkań kwaterunkowych i spółdzielczych? Reprywatyzacja mieszkań oznacza przejście prawa do dysponowania lokalami w ręce prywatne. Stąd podstawowy dylemat: albo zracjonalizujemy zasady zamiany mieszkań w duchu socjalistycznym, albo chodzi nam o racjonalizację kierowaną prawami popytu i podaży. Jeśli tak, to postawmy sprawę jasno. W kwestii mieszkaniowej i w tym aspekcie projekt „Programu" jest wewnętrznie sprzeczny. Nadaje sprawom mieszkalnictwa, i słusznie, ogromną wagę, zapowiada przełom w budownictwie mieszkaniowym i gospodarce mieszkaniowej. Podkreśla, że mieszkania stanowią jedną z najważniejszych spraw dla budownictwa socjalizmu w Polsce, a z drugiej strony proklamuje politykę reprywatyzacji mieszkań, co praktycznie oznacza przekazanie prawa do dysponowania lokalami w ręce prywatne.

NOWE TYPY SAMOCHODÓW CZY ROZWÓJ KOMUNIKACJI MASOWEJ?

Kolejną sprzeczność w projekcie widzę w kwestii proklamowanego uroczyście już na wstępie dążenia do przezwyciężania trudności codziennego życia a konkretnymi propozycjami prowadzącymi do tego celu. Jedną z największych trudności codziennego życia jest komunikacja publiczna. Nie znajdziemy jednak w projekcie konkretnych zapowiedzi jej rozwoju ani poprawy jej funkcjonowania. Znajdujemy natomiast zapowiedź rozpoczęcia *„produkcji nowych, lepszych konstrukcyjnie typów samochodów osobowych o radykalnie poprawionych parametrach techniczno-eksploatacyjnych i użytkowych, co stanie się podstawą przyszłego umasowienia motoryzacji"*. W praktyce oznacza to rozwój indywidualnej motoryzacji kosztem komunikacji masowej. Na taki dobrobyt nie będzie nas długo jeszcze stać.

Stoimy tu przed dylematem: zaspokajać aspiracje najlepiej sytuowanych i godzić się na dalsze zmęczenie i zdenerwowanie milionów dojeżdżających do pracy środkami komunikacji publicznej; czy też rozwijać komunikację masową nawet kosztem indywidualnej motoryzacji i stwarzać większości członków społeczeństwa szanse na przyzwoity dojazd do pracy. Wybór jest w zasadzie prosty. Interesy większości członków społeczeństwa winny wziąć górę i tak też stawia sprawę projekt „Programu PZPR". Kiedy jednak przychodzi do wskazania praktycznych rozwiązań, to propozycje projektu kłócą się ze sobą, jak w przypadku indywidualnej komunikacji i komunikacji masowej. Rację ma przeto Zbysław Rykowski zagajając dyskusję nad projektem „Programu PZPR" na łamach „Polityki" (1986.03.08.), że projekt obiecuje środki niemal wszystkim i na wszystko, i nie zawsze ustala co naprawdę jest najważniejsze.

Twarzą do rynku

Rozmowa z ekonomistą, CEZARYM JÓZEFIAKIEM

Czy jest pan pesymistą z natury?

— Fakt, że ciągle zajmuję się reformą gospodarczą i wciąż wierzę, że można ją wprowadzić na właściwą drogę, świadczy chyba o czymś przeciwnym. Prawdą jest natomiast, że nawet pozytywnej zmiany nie chwalę dopóty, dopóki nie przekonam się, że nie jest pozorna lub ulotna. Patrząc na sprawy od tej strony, nie znajduję powodów do radości.

— Czyli jest to niejako pesymizm zawodowy?

— Zamiast słowa pesymizm, trafniej będzie użyć określenia: akcentowanie spraw niepokojących. Nasze doświadczenia gospodarcze i społeczne, a te mnie najbardziej interesują, raczej zachęcają do takiej postawy. Prywatnie uchodzę wręcz za optymistę.

— Zapytałem o pesymizm, ponieważ w pana publikacjach dotyczących wdrażania reformy gospodarczej, jest wyjątkowo mało akcentów budujących. Mniej niż u innych naszych ekonomistów. Często sygnalizuje pan, że reforma ugrzęzła, że jest w impasie. W 1985 roku na łamach „Życia Gospodarczego" opublikował pan cykl artykułów podsumowujących pierwsze trzy lata zreformowanej gospodarki. Znalazłem tam takie stwierdzenie: „Nie widać żadnych sił, które popierałyby aktywnie reformę typu rynkowego".

— Tak. Ale dziś trochę bym zmodyfikował to stwierdzenie. Aktywnie popierających nadal nie widać, ale bierne poparcie jest dostrzegalne. W niespełna pół roku po moich artykułach, Witold Morawski i Wiesława Kozek opublikowali w tym samym czasopiśmie rezultaty pracy Ośrodka Badania Opinii Publicznej. Zbadano reprezentacyjną grupę dorosłej ludności Polski. Wyniki częściowo wspierają moje zachęty do „urynkowienia" gospodarki, a częściowo przeciwstawiają im się, myślę jednak, że te pierwsze przeważają. Otóż aż 87 proc. badanych opowiedziało się za pełną konkurencją między przedsiębiorstwami, 70 proc. za zwalnianiem pracowników nieprzydatnych w zakładzie, a najczęściej wymienianą przeszkodą dla reformy było zbiurokratyzowanie naszego systemu zarządzania. To jest ważna informacja, na jaką reformę społeczeństwo czeka. Ale nie wszyscy są ekonomistami i nie muszą wiedzieć, że nie można znieść biurokracji i wprowadzić konkurencji, jeśli nie rynek a administracja państwowa miałaby ustalać ceny. I aż 3/4 pytanych opowiedziało się za państwową kontrolą cen. Rynkowi nie szkodzi taka kontrola, jeśli działa na zasadzie wyjątku, obejmując bardzo nieliczną grupę towarów. Nie wiem, czy pytano badanych o zakres kontroli.

— Może te wyniki świadczą o tym, że ludzie coraz bardziej przekonują się do nowych skuteczniejszych mechanizmów, które są wprowadzane?

— Och, nie sądzę. Przecież te mechanizmy to biurokracja w nowym wydaniu. Mechanizmy finansowe i cenowe poruszane przez administratorów gospodarki, nie mają nic wspólnego z rynkiem, bez którego nie może być konkurencji. Mechanizmy te są nowymi sposobami zapewniania realizacji decyzji centralnych, podejmowanych w starym trybie a przekazywanych „w dół" w innych niż dawniej formach. Widać zresztą jak trudno pogodzić te nowe sposoby z utrzymującym się rozległym zakresem centralnego decydowania o strukturze produkcji i inwestycji. Mnożą się „regulatory finansowe", a cały system administracyjno-finansowy staje się coraz mniej przejrzysty i niestabilny. Myślę, że przedsiębiorstwom łatwiej byłoby przewidzieć jak się zachowa rynek za rok czy dwa, niż co nowego wymyśli na następny rok Ministerstwo Finansów lub inny organ administracyjny. Dostosowywanie się przedsiębiorstw do tych kolejnych „udoskonaleń", koncentruje uwagę kierownictwa i pracowników — tak jak w przeszłości — na sprawach bieżących. Ich „jutro" mało zależy od ich własnych inwencji i wysiłków. Nie, nie to miałem na myśli mówiąc, że w opiniach przeważa pozytywny stosunek do rynku. Chodziło mi o prawdziwy rynek.

— Czyżby więc nastąpił zwrot w świadomości?

— Może nie zwrot, lecz po prostu więcej wiemy, co ludzie myślą na ten temat. A wracając do rynku chciałbym dodać, że nie oznacza on uwolnienia państwa od wszelkiego planowania i od odpowiedzialności za całość gospodarki. Polityka gospodarcza nie powinna być gonitwą za wyrobami brakującymi do bilansu, lecz oddziaływaniem na całość procesów gospodarczych. Istnieje też wiele sfer działalności, których rynek nie jest w stanie regulować lub robiłby to źle. Natomiast działając dotychczasowymi metodami w gospodarce nie możemy, jak pan widzi, osiągnąć równowagi rynkowej, zapewnić ciągłości sprzedaży wielu artykułów, zmniejszyć zakresu reglamentacji czynników produkcji...

— Optymista powie jednak, że są pierwsze jaskółki poprawy. W niektórych grupach towarów mamy już równowagę.

— Mieliśmy już wcześniej na rynku takie wyspy, nad którymi zaświeciło słońce i już zaczynały kwitnąć. Mówiliśmy wtedy: tak trzymać i bierzmy się za następne. Ale zanim następne zazieleniły się, poprzednie zwiędły. Pamięta pan rynek kosmetyków? Nie było pasty do zębów, mydła, szamponów. Potem popyt na nie został w pełni zaspokojony. Ale od tego czasu parę razy znowu brakowało pasty i szamponów. Gospodarki nie można naprawić tak jak usuwa się zaległości w pracy biurowej: najpierw zrobię to, a potem wezmę się za tamto. W gospodarce albo całość zmierza do równowagi, albo prawie nic. W tym drugim przypadku poprawa w jakimś segmencie jest zwykle nietrwała.

— Co zatem należy obserwować, by wyciągać trafne wnioski?

— Najpierw to, czy ilość pieniędzy, którą ludność ma i chce wydać, spotyka się z nie mniejszą sumą ofert sprzedaży. Następnie, czy również popyt na poszczególne towary znajduje odpowiednią podaż. Dotychczas nie możemy sobie poradzić z pierwszym problemem, a dopóki tak jest, drugi nie da się zadowalająco rozwiązać. Po latach siedemdziesiątych pozostał spory zasób „pustego pieniądza u ludności, a w pierwszych latach osiemdziesiątych ten tzw. nawis inflacyjny zwiększył się jeszcze. Nie można go było usunąć za jednym zamachem. Powstał więc projekt, żeby najpierw jednorazowo wysoko podnieść ceny, ale jeszcze nie do poziomu równowagi, a następnie przez kilka lat podnosić je nieznacznie. Miało być przy tym pilnowane, aby strumień nowych dochodów ludności nie przekraczał wartości strumienia towarów. Chcę wyraźnie podkreślić, że program podwyżek cen nie miał nic wspólnego z reformą. Był skutkiem centralistycznego systemu zarządzania, który nieuchronnie wpuszcza do obiegu złotówki bez pokrycia towarowego. W ramach tego systemu co jakiś czas sytuacja staje się tak nieznośna, że trzeba skokowo podwyższać ceny. Po oczyszczeniu rynku z tej centralistycznej spuścizny, reforma gospodarcza miała znieść ten konwulsyjny model naprawiania równowagi. Program reformy odnosił się też do polityki gospodarczej, to znaczy zakładał, że nie będzie ona wywoływała zakłóceń w równowadze. Ciągle jesteśmy jednak daleko i od cenowego oczyszczenia rynku i od sprzyjającej mu polityki gospodarczej.

— We wspomnianym „Życiu Gospodarczym", podsumowując trzyletnią politykę cen, napisał pan: „Bilans w tej sprawie jest jednoznaczny. Wykonano sporo, niekiedy trudnych ruchów, zmieniających poziom i relacje cen oraz reguły kształtowania cen. Z punktu widzenia skutków ekonomicznych, posunięcia te okazały się jałowe. Ceny nadal, tak jak przed rozpoczęciem reformy, są kategorią bądź pasywną, bądź źle informują wytwórców i nabywców. I tak jak dawniej, są przedmiotem rozmaitych manipulacji administracyjnych".

— W 1982 roku wstrząsowo podniesiono ceny środków konsumpcji i wprowadzono wyższe ceny środków produkcji. Były to zabiegi uzasadnione i konieczne.

— Aby stworzyć szanse dla rynku...

— Właśnie. Mówi się, że ceny to zwierciadło gospodarki. Porównajmy je tu do przedniej szyby samochodu będącego w ruchu i to w ulewnym deszczu. Zmiany cen w 1982, to tak jakby nasz kierowca zatrzymał się na chwilę, wyszedł na zewnątrz i przetarł szyby. Zmoczyło go oczywiście, tak jak nas przed czterema laty. Aby kierowca mógł w dalszej drodze podejmować prawidłowe decyzje za kierownicą, muszą być spełnione dwa warunki. Po pierwsze, że zostaną natychmiast włączone automatyczne wycieraczki szyb — odpowiednik rynkowego mechanizmu ruchu cen. Temu służyło wprowadzenie cen umownych, które miały stopniowo ogarniać coraz więcej towarów. Po drugie, że zalewanie szyb nie będzie intensywniejsze niż wydajność wycieraczek. W odniesieniu do gospodarki znaczy to, że polityka gospodarcza nie będzie kreować inflacyjnych strumieni pieniężnych, a przedsiębiorstwa będą w pełni samofinansujące się.

— I jak te warunki zostały spełnione?

— Mówiąc oględnie: kiepsko. Z cen umownych pozostały nazwy. Podstawą ich wyznaczania nie są warunki rynkowe, lecz administracyjnie ustalane zasady kalkulacji kosztów, administracyjnie ustalany jest ich wzrost, mogą być zamrażane na pewne okresy. Nie różnią się już wiele od cen urzędowych czyli kontrolowanych przez państwo, które miały dotyczyć towarów najważniejszych dla warunków życia ludności oraz dla kształtowania się kosztów w całej gospodarce, jak np. cena energii elektrycznej. Dodajmy przy tej okazji, że ceny urzędowe też powinny być cenami równowagi. Czyli urząd, który je ustala, powinien potrafić zarazem zapewnić odpowiednią podaż. Wracając do tematu, po czterech latach ceny umowne są administrowane podobnie jak urzędowe, a większość jednych i drugich nie jest na poziomie równowagi. Zaś co do tego jak polityka gospodarcza sprzyja równowadze, wystarczy odwołać się do publikowanych w ostatnich latach raportów Konsultacyjnej Rady Gospodarczej, zwłaszcza w części dotyczącej polityki inwestycyjnej.

— Ale konsumenci cieszą się z tego, że ceny są stabilne, że nie ma częstych podwyżek.

— Jako konsument również nie lubię wzrostu cen. Ale jako ekonomista muszę się też zastanawiać, dlaczego rosną i jak temu zapobiegać w przyszłości. Zapobieganie wymaga, jak już wspomniałem, ostrych rygorów samofinansowania przedsiębiorstw i nakładania ostrych rygorów na centralną politykę gospodarczą. Jednym z przykładów „miękkości" samofinansowania jest to, że ogromna część, ponad 60 proc. łącznej akumulacji finansowej w gospodarce uspołecznionej, czyli sumy nadwyżek utargów nad kosztami, przerzucana jest przez budżet z przedsiębiorstw rentownych do nierentownych i nisko rentownych. Znowu więc to, co miało być wyjątkiem dla specjalnie uzasadnionych przypadków, jest regułą. Podobnie jest z kredytowaniem przedsiębiorstw. Gromkie zapowiedzi, że kredyty będą udzielane według tzw. zdolności kredytowej przedsiębiorstw, a nie „pod" niezależny od niej plan centralny, to jest pod zadania z niego wynikające, rozwiały się jak dym.

— Dużo mówiło się wówczas o bankructwie najgorzej gospodarujących przedsiębiorstw. O ile mi wiadomo, nie doczekaliśmy się pierwszego bankruta.

— Na bankrutów nie czekamy. Czekamy na działanie zasad, które oczyszczają gospodarkę z nieefektywnych producentów. Bez działania tych zasad zawsze koszty są wyższe niż mogłyby być, jakość wyrobów jest niższa, postęp techniczny — słabiutki, a równowaga — nieobecna.

— W efekcie ciągle mamy deficyt budżetowy.

— W ubiegłym roku miało już go nie być, ale jednak wzrósł w porównaniu z rokiem poprzednim do 125 mld zł. Na ten rok zaplanowano go na 151 mld zł, to jest na poziomie z roku 1981. Nie jest to dużo, bo tylko około trzech i pół procent dochodów budżetowych, ale w naszych warunkach jest to kuriozum. Budżet pożycza od banku, a bank, jak się okazuje, ma deficyt w planie kredytowym, bliski kwocie pożyczki. Ostatecznie więc musi nastąpić emisja pieniędzy, tworząca presję inflacyjną. A osobno powstają programy walki z inflacją.

— Można ten problem łatwo zlikwidować, podnosząc ceny. Co pan sądzi o takim rozwiązaniu?

— Że jest do niczego. Chcę rynku i rynkowych reguł ruchu cen, od czego jesteśmy wciąż daleko. Przed nami jest nagromadzony nawis inflacyjny, szacowany na dwa i pół biliona złotych, który wywiera już dostatecznie silną presję na ceny. Czy w tej sytuacji mógłbym popierać wzrost cen dla załatania dziury w bieżącym budżecie? Nie! Najpierw trzeba pozamykać zawory, które przepuszczają „pusty" pieniądz i dopiero wtedy dopuścić rynkowy mechanizm ruchu cen. Dotychczas zawory ciągle są nieszczelne.

— W „Kierunkach reformy gospodarczej" z 1981 roku zakładano, że potrzeba nam trzech lat na stworzenie fundamentów efektywnie działającej gospodarki. Rysowała się już duża szansa osiągnięcia równowagi rynkowej. Minęły już cztery lata, a my ciągle jesteśmy w drodze. Czy źle oceniliśmy nasze możliwości?

— Mogliśmy trochę się przeliczyć. Ale należy patrzeć, czy to co się działo w ciągu tych lat prowadziło w dobrą stronę, czy też nie. Jest dużo zjawisk wskazujących, że nie prowadziło. I z tego punktu widzenia można powiedzieć, iż nie ma postępu ku równowadze. Bez niej cała gospodarka jest rozchwiana.

— Mamy więc ciągle na celu osiągnięcie równowagi rynkowej. Do tego potrzebna jest także szeroka akceptacja takiego rynku, o jakim pan mówi. Równowaga oznacza przecież tylko pozorną dostępność wszystkich dóbr. Ceny tę dostępność znakomicie ograniczą. Odnoszę wrażenie, że szeregowy konsument mimo wszystko lęka się rynku „do oglądania". Gdzieś tkwi w nim głęboko zakorzeniona idea egalitaryzmu.

— Nie wiem dokładnie, czego chce szeregowy konsument. Trzeba go najpierw o wszystkim rzetelnie poinformować, o wszystkich plusach i minusach jednego i drugiego rozwiązania, a potem zapytać, które woli. W 1980 roku zespół z PAN przeprowadził badania, które miały odpowiedzieć, co Polacy myślą o równości i nierówności dochodów. Istotnie, była wtedy silna skłonność egalitarna. Gdy po roku powtórzono badania, okazało się, że ta skłonność wyraźnie osłabła. Ludzie potwierdzili konieczność rozpiętości dochodów, jeśli uzasadniają je różnice w wysiłkach, kwalifikacjach, odpowiedzialności czy niebezpieczeństwa w pracy. Myślę, że z cenami jest podobnie. Jeśli mimo ich wzrostu nadal są braki towarowe, to opór jest większy niż byłby przy stale bogato zaopatrzonym rynku. Gdy w roku 1980 ktoś wspomniał o konieczności podniesienia cen, to wywoływał burzę. Później częściej spotykało się opinię: jak trzeba, to trudno, ale pod warunkiem, że gospodarka naprawdę zostanie poprawiona. Dla konsumentów ważnych jest wiele spraw, nie tylko ceny.

— Profesor Mujżel, charakteryzując atmosferę wokół reformy, powiedział, że boimy się, iż reforma „zbrutalizuje" stosunki międzyludzkie. Stworzy system bezwzględnie wymagający wytężonej pracy, przedsiębiorczości, mocno zróżnicuje warunki życiowe ludzi w zależności od tego, w jakim stopniu są zdolni do takich działań. Czy zgadza się pan z taką opinią?

— W pewnym stopniu tak. Lecz można z równą słusznością powiedzieć, że reforma, a przede wszystkim rynek, ucywilizuje stosunki międzyludzkie. Dziś, starając się o towar, trzeba stosować specjalne zabiegi, umizgi, dawać prezenty, „wywdzięczać się" lub przepłacać czyli dawać łapówkę, aby za swoje pieniądze wreszcie go kupić. Czasem trzeba przepychać się łokciami, bo chętnych do kupienia po danej cenie jest za dużo. Czy to są stosunki idylliczne? Natomiast cóż jest brutalnego w rzetelnych wysiłkach w pracy, za którą można normalnie kupić tyle towarów, czy też za tyle, ile się zarobiło, a zarobek jest proporcjonalny do ilości i efektywności pracy? Zgadzam się, że twarde samofinansowanie przedsiębiorstw jest w jakimś sensie brutalne. Stawia zespoły ludzkie twarzą w twarz z rynkiem, na którym działają i inni sprzedawcy — czyli konkurencja. Trzeba się wtedy martwić, by dorównać innym w jakości wyrobów, by nie mieć wyższych kosztów itp. Wszystko to tworzy napięcia, atmosferę niepewności. Ale jeśli chce się mieć gospodarkę efektywną, to nie można uwolnić się od takich zmartwień.

— Powiedział pan „konkurencja". Dla naszych producentów jest to nieznane słowo.

— Przesada. Prawdą jest, że z praktyki znają tylko specyficzną konkurencję, mianowicie nierynkową, złą pod każdym względem, nie tylko ekonomicznym. Jest to konkurencja o pierwszeństwo u tych, którzy rozdzielają rzadkie czynniki produkcji i scentralizowane fundusze. Rozległe jest pole tej szczególnej konkurencji, bo dysponentów jest wielu od ministra do magazyniera. Pracownicy niektórych przedsiębiorstw już się pewnie mocno przyzwyczaili do takiej konkurencji, ale myślę, że dużo jest też i tych, którzy woleliby konkurencję rynkową.

Oceniając jednoznacznie negatywnie nierynkową konkurencję, chciałbym dodać, że i rynek może być „zdrowy" lub „chory". Dobry rynek nie tylko zmusza do bankructwa tych, którzy nie potrafią sprostać jego wymaganiom. Również daje swobodne wejście do gry" nowym producentom. Wszystkim: państwowym, spółdzielczym, prywatnym, spółkom, słowem każdemu, kto ma środki i chce zaryzykować. Innym warunkiem dobrego rynku jest, aby prawo zabraniało tworzenia monopoli, a państwo egzekwowało to prawo. Nasze monopole, niestety, są raczej otaczane ochroną i opieką. A ich liczba rośnie.

— Czy na zakończenie pokusi się pan o szczyptę optymizmu?

— Optymistyczne jest to, że tak otwarcie rozmawiamy o gospodarce, że opinia publiczna może kształtować się pod wpływem różnych ocen i argumentów. Wierzę, że będzie tak również w przyszłości. Jest to zresztą przedwstępny warunek tego, aby reformie zbaczającej z drogi, ponownie nadawać właściwy kierunek. Projekty skorygowania torów reformy są. Jest nim na przykład program opracowany w Instytucie Nauk Ekonomicznych PAN. To też jest optymistyczne. O następną szczyptę optymizmu niech pan się do mnie zwróci za pół roku. Kto wie, może znowu będę coś miał dla pana?

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
ROMAN KUBIAK

Foto: Grzegorz Galasiński

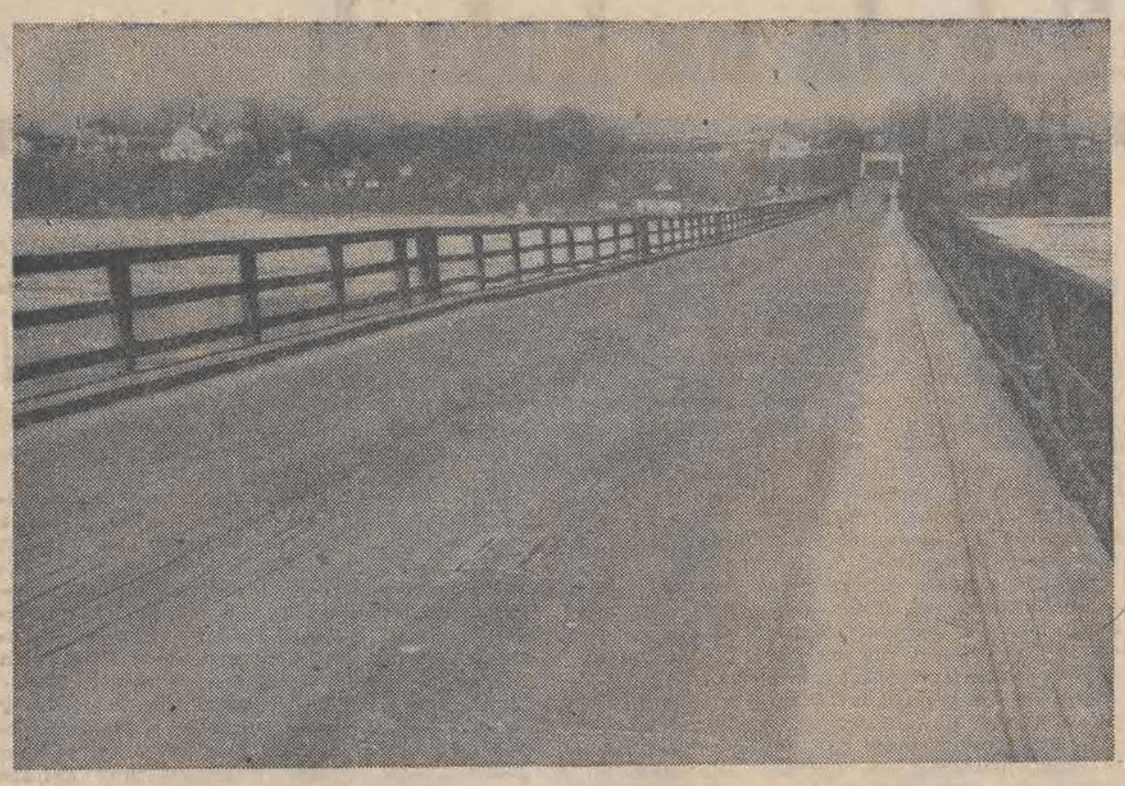

Najdłuższa kładka nowożytnej Europy

ze str. 1

cem. Różnie to bywa. Zależy z którego brzegu patrzy się na most i kim są żołnierze stojący po drugiej stronie. Różnie to bywa. Jedna wojna zrodziła ten most, ale inna wojna karmiła się jego szczątkami, by po pięciu latach pogardy wskrzesić go na krótko aktem rozpaczy, który przywrócił mostowi życie i zaraz mu je odebrał. Potem ta sama wojna raz jeszcze mostu potrzebowała, więc raz jeszcze żołnierskie ręce odłożywszy broń chwyciły za siekiery, by niedawnego wroga powtórnie mianować sojusznikiem.

Most i żołnierze są nierozłączni. Nie było jeszcze takiego roku, żeby most obył się bez żołnierzy albo żołnierze bez mostu. Aż z czasem dla wszystkich stało się jasne, kto komu bardziej jest potrzebny i kto bez kogo sobie nie poradzi. Odtąd najlepszą dla mostu wróżbą był taki dzień, kiedy w pierwszych promieniach wiosennego słońca na przęsłach zamajaczyły zielone sylwetki, a równy żołnierski krok dudnił radośnie. Bo wtedy drewniany starzec znów czuł się ważny, gdyż ofiarowano mu jeszcze rok życia. Życie mostu z roku na rok coraz bardziej spoczywało w żołnierskich rękach, w sile dynamitu i poświęcenia, które krusząc i odpychając lód rozstrzygały losy bitwy o cherlawą redutę. I tak pewnie już będzie aż do dnia dla mostu sądnego, który przecież niedługo nadejść musi, albowiem łatwiej pokonać groźną rzekę, niż ubłagać śmiercionośny czas.

Wyszogród leży na wiślanej skarpie, z której drugi, lewy brzeg wielkiej rzeki wydaje się być dostępny wyciągnięciem ręki. Ręką Wyszogrodu, a może nawet czymś więcej — rzec by oknem na świat, choć brzmi to okropnie banalnie i jakby po staroświecku, jest most Lecz mowa tu o miasteczku z woli dziejów niedużym, któremu banalna przyczyna odebrała splendor rzecznego portu, zaś kolej żelazna ominęła je szerokim łukiem. Więc oknem Wyszogrodu jest drewniany most, bardziej cudem jakimś niż zmurszałą konstrukcją spinający brzegi Wisły. Rzeka, która kiedyś za sprawą parowców i towarowych barek łączyła miasto z resztą kraju, teraz je oddziela granicą szeroką, skazując gród na powolne zapomnienie. Ale Wyszogród nie chce być tylko pokrytym patyną skansenem, skąd trzeba co sił w młodej duszy uciekać, by nie zżarła prowincjonalna nuda zaprawiona narkozą bezsilności Skąd trzeba uciekać, by dołączyć do tętniącego życiem kraju, który nie ogląda się na takich zatraceńców. Wyszogród toczy bój o swoje jutro, o swoją przyszłość, o prawo do rozwoju. Szansą Wyszogrodu jest most.

Miasteczko z nadzieją wielką, ale i z niepokojem jeszcze większym spogląda co dzień w stronę mostu, który chociaż połatany brzydko siodłaty i mocno niepewny, jednakże ludzkie oko cieszy. Bo gdyby mostu zabrakło, wyprawa na lewy brzeg Wisły stałaby się drogą przez mękę, przez o czterdzieści kilometrów odległy Płock albo Modlin, gdzie mosty stoją solidne z betonu i stali. A przecież tamten brzeg widoczny jest jak na dłoni, że tylko wkroczyć na most i... Bo gdyby mostu zabrakło, któż zechce zboczyć do Wyszogrodu, miasteczka na końcu świata, gdzie ani pięknie, ani wygodnie. Chyba tylko jakaś znudzona wycieczka ze stolicy, która wysoko unosząc głowy, rzuci okiem na to i owo, dziwując się wielce, że można żyć w takiej dziurze.

Wyszogród nie umie cieszyć się wiosną. Kiedy ustępują mrozy i skuta lodem Wisła nabiera sił, by wyrwać się z okowów zimy, miasteczko zamiera w trwodze. Nasłuchuje pilnie czy już pękają lody, czy rzeka rusza i czy sędziwy most nie jęczy w agonii, która nie jego tylko będzie agonią. A kiedy nie ma już żadnej nadziei na to, że przypłyną obiecane lodołamacze, zaś płaty kry napierają na trzeszczące filary, wtedy wyszogrodzianie wzywają na pomoc żołnierzy i w nich całą pokładają nadzieję. Ci nigdy pomocy nie odmawiają, zjawiają się bladym świtem i zaraz stają do bitwy. Potem seryjnie eksplodujący dynamit grzmi doniośle, lecz nikt się hukiem zbytnio nie przejmuje, nawet jeśli odłamek lodowej bryły trafi w szybę albo skruszy dachówkę. Bój toczy się nieprzerwanie dniem i nocą w światłach słońca, księżyca i potężnych reflektorów, które wytropią każdą podstępną krę. A gdy dynamit, czas i słońce okiełznają rzekę, nastaje pora radości, bo tego lata i tej jesieni nic już mostowi nie zagraża. Chyba, że śmierć od starości.

Most był zawsze. To znaczy, niewielu zostało już takich, którzy pamiętają Wyszogród bez mostu. Czy w ogóle nad Wisłą może istnieć miasto bez mostu? Inni twierdzą, że most był zawsze — no może z małymi przerwami na czas wojny. Zawsze stał tam, gdzie stoi i bardzo z nim dobrze wszystkim. Powiadają, że gdyby spisać dzieje wyszogrodzkich rodzin, to w każdej z nich byłby osobny rozdział o moście. Na nim ktoś z kimś się poznał i rozstał na zawsze, pokłócił i pogodził, zrobił interes i stracił ostatni grosz...

Most stanął w tysiąc dziewięćset szesnastym roku. Zbudowali go Niemcy wedle ówczesnej sztuki inżynieryjnej nakazującej czynić oszczędnie, lecz solidnie. Konstrukcja była prosta, wsparta na drewnianych żywicznych palach osadzonych w piaszczystym dnie Wisły. Żelazne dźwigary podpierały przęsła z grubych desek tak obliczonych, by można było przetoczyć po nich ciężkie armaty. Działa istotnie przeszły bez szwanku, za nimi piechota w tę i w tamtą stronę, lecz chociaż różne nosiła mundury, ręki na most nie podniosła Wokoło szalała wojna i ginęli ludzie, a most ocalał.

Niebawem przetoczono po nim ostatnie działa, przebiegli ostatni ogorzali żołnierze, co oznaczało, że wojskowa budowla została zdemobilizowana. Na moście zaturkotały koła furmanek, a siedzący na wozach chłopi głośno dziękowali Bogu, że im z wojennej pożogi uratował tak wspaniały dar. Tylko rzeczni przewoźnicy, od pokoleń tym się trudniący, krzywo patrzyli na dumny most, bo on to zabrał im chleb powszedni.

Wczesną wiosną kto żyw stawał do walki z lodem i wysoką falą, gdyż kruchy most potrzebował obrońców. Wielu w tej walce straciło zdrowie, a kilku nawet oddało młode życie, tonąc w nurtach lodowatej rzeki.

Do mostu wiodły szerokie trakty, za sprawą których wyszogrodzka budowla stała się ważnym punktem strategicznym wrysowanym do sztabowych map. W mieście na stałe rozlokowało się wojsko, któremu przykazano mostu bronić przed krą, powodzią, zębem czasu, a nade wszystko, jeśli potrzeba zajdzie, strzec go przed wrogiem i nie oddać we wraże ręce.

Potrzeba zaszła we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, więc generał Przewłocki, który obrońcami mostu dowodził, swoich na lewy brzeg wpuściwszy, drewno kazał oblać benzyną, a na przyczółki posłał saperów. I kiedy we mgle zamajaczyły niemieckie czołgi, rozległ się wybuch tak silny, że runęły przęsła i jeszcze kilka domów na brzegu. Most przestał istnieć Na środku rzeki, której nieprzyjaciel suchą nogą nie przebył, dopalały się żałośne szczątki mostu.

Okupant długo mostu nie wskrzeszał, jakby wierzył, że na wiślanych brzegach zostanie po wsze czasy. Zatopione stalowe przęsła Niemcy z rzeki wydobyli i posłali do hut, by je przerobiono na czołgi. Dopiero gdy wyzwoleńcze armie stanęły u wrót Warszawy, pospiesznie zafurczały piły i w Puszczy Kampinoskiej legły wiekowe drzewa przeznaczone na nowy most.

Nowy most żył krótko. Właściwie został ciężko ranny, bo faszystom nie starczyło już czasu i dynamitu, żeby starannie zniszczyć go za sobą. Niemieckiemu oficerowi zadrżała ręka i razem z przyczółkiem wysadził w powietrze uciekających kompanów. Ostatnia miała przejechać ciężarówka z chlebem Kanciaste wojskowe bochenki głucho spadały na lód obok ciał zabitych żołnierzy.

Po wojnie most dostał kilka nowych drewnianych przęseł i znów połączył strome brzegi Wisły. Służyć miał tylko przez parę chudych lat, gdy stali i cementu bardziej potrzebowały zrujnowane miasta. Ale prowizorka ma zwykle to do siebie, że póki jako tako trzyma się kupy...

Wyszogród, czterdziesta pierwsza wiosna od ostatniego wskrzeszenia siedemdziesięcioletniego dziś staruszka. Trwa doroczna walka o życie mostu i los miasta. Na pierwszych liniach antylodowego frontu stają żołnierze z II Warszawskiej Brygady Saperów. Zakładają ładunki wybuchowe, które skruszą zator, zmniejszając napór kry na filary mostu. Poziom wody na Wiśle w rejonie Wyszogrodu i Kępy Polskiej przekracza stan alarmowy. W ośmiu gminach obowiązuje pogotowie przeciwpowodziowe. Patrole stale kontrolują umocnienia brzegowe. W górę rzeki wolno podążają lodołamacze. Jeśli poziom wody będzie się podnosił i ruszy powodziowa fala, to wyszogrodzki most może nie doczekać lata.

Tymczasem saperzy nie schodzą z posterunków na moście i na brzegach. Sprowadzają łodzie i ciężki sprzęt. Zapowiada się bitwa o każdy filar i każde przęsło. Niebezpieczna to walka. W zeszłym roku trzynastu obrońców mostu omal nie straciło tu życia. Zdradliwa kra odcięła im powrót na brzeg. Lód pękał, a straszliwie zimna woda nie dawała żadnych szans ratunku. Pomoc przyszła w ostatnim momencie.

Rankiem na skarpę wychodzą starzy i młodzi. Stoją i długo patrzą na swój most. Patrzą jak troskliwie połatany weteran walczy o jeszcze rok życia. Chyba zwycięży...

O zmroku na most wtoczą się wielkie ciężarówki. Zaryzykują. Most broni się przed nimi ostrzegawczą tablicą głoszącą, że uniesie tylko dziesięć ton i ani tony więcej. Lecz kierowcy wielkich ciężarówek lubią ryzyko i bardzo nie lubią nadkładać drogi. Most stęknie, zgubi kilka zarwanych desek, pochyli się złowieszczo — nisko, coraz niżej. Bo najdłuższy drewniany most Europy ma wielu wrogów — ale i wielu przyjaciół.

ROMAN KUBIAK

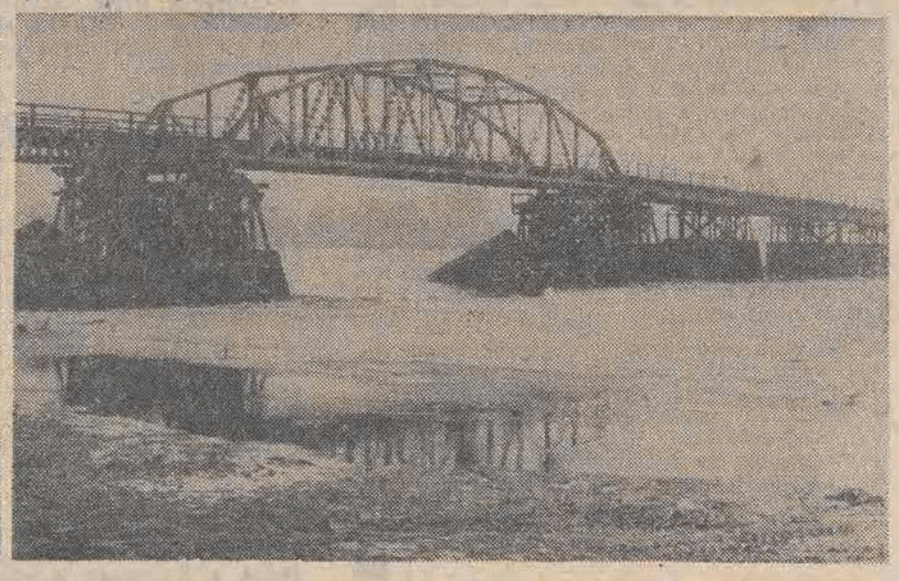

Foto: Grzegorz Galasiński

Królestwo papieru

Papier wynalazł Chińczyk Caj Lun, a było to w 105 roku. Od tego czasu wymyślono bardzo dużo różnych rzeczy. Był wiek pary, elektryczności, atomu i komputerów, weszliśmy w trzecią rewolucję naukowo-techniczną, ale nikt nie wymyślił nic lepszego od papieru. W VII wieku Arabowie przejęli sposób wyrabiania papieru od Chińczyków, a w XII wieku za pośrednictwem Arabów z kalifatu Kordoby w Hiszpanii trafił on do innych krajów Europy. Pierwsza manufaktura papieru powstała we Francji w 1189 roku.

Mamy dziś syntetyczne włókna, tworzywa sztuczne, wyrabiamy różne masy plastyczne, ale niczym nie potrafimy zastąpić papieru. A używamy go coraz więcej i coraz więcej. Lasy Europy już dawno poszły na makulaturę, teraz zabrano się za lasy Syberii i Kanady oraz Skandynawii (chociaż to też Europa, ale jeszcze na szczęście bardziej zalesiona). Z czego będziemy robić papier, jak zabraknie lasów?

Dawniej robiono papier ze szmat. Trzeba je było rozetrzeć na miazgę. W 1290 roku zastosowano do tego koło młyńskie ze stępem okutym żelazem. Taki młyn papierniczy zbudowano w Rawennie. Przez moździerz, w którym stęp rwał i tłukł szmaty na miazgę, przepływała woda. Rozdrobnione szmaty gotowano z różnymi dodatkami i czerpano tę masę specjalnymi sitami. Był to papier czerpany. Około 1670 roku w Holandii pojawiły się maszyny do mielenia i mieszania szmat, które do dziś nazywają się holendrami. W 1799 roku Francuz N. L. Robert wynalazł maszynę papierniczą. I tak powstał przemysł papierniczy. Jak z tych faktów widać powstał on dawno i do dziś nikomu nie udało się zastąpić niczym papieru w pisaniu i drukowaniu na nim. choć wymyślono telewizję, płyty gramofonowe i magnetofony kasetowe, a w bibliotekarstwie i w archiwach stosuje się bardzo nowoczesne techniki. Tylko, że przy pomocy tych technik przechowuje się książki i czasopisma nadal drukowane na papierze. O produkcję papieru trzeba dbać. bo brak papieru może przyczynić się do skrzywienia w rozwoju kultury, a nawet rozwój ten zahamować.

Polska w XV wieku była — można to chyba tak powiedzieć — papierniczą potęgą. Pracowało wtedy w Polsce 90 papierni. Pierwszy młyn papierniczy powstał w Legnicy, a w 1473 r. w Gdańsku. Stolicą papiernictwa był wówczas Kraków, co jest zrozumiałe, była to bowiem nie tylko stolica państwa, ale i kultury polskiej. Tu powstawały księgi, tu je pisano i drukowano. W Krakowie wykazy świętopietrza — czyli opłat na rzecz Stolicy Apostolskiej — już od 1325 roku były pisane na papierze. Tu też w 1473 roku powstała pierwsza drukarnia.

Być może zdziwię kogoś. bo takie jest powszechne mniemanie, ale druk wynalazł wcale nie drukarz niemiecki J. Gensfleisch zwany Gutenbergiem, lecz... Chińczycy. Znali oni druk już w VIII wieku przed naszą erą, a najstarsza chińska książka ukazała się 11 maja 868 roku. Drukowano wtedy z glinianych tabliczek. W 1014 roku chiński kowal Pi Szeng dokonał wynalazku czcionki drukarskiej. Gliniane czcionki z czasem zastąpiono metalowymi. Najstarsza znana książka drukowana brązowymi czcionkami ukazała się w Korei w 1409 roku. Ale Gutenberg nie przejął wynalazku druku od Chińczyków. Dokonał tego sam. Nic o Chińczykach i ich druku nie wiedział. W 1456 roku wydrukował „Biblię", która miała 1286 stron. Od tej daty zwykliśmy liczyć dzieje europejskiego drukarstwa.

W XVI wieku — jak to pięknie opisuje w swojej książce „Przemysł polski w dawnych wiekach" Aleksander Bocheński — powstała w Lublinie wielka papiernia, o której mało dziś kto wie. W ogóle Lublin przeżywał wówczas dwa wieki pełnego rozkwitu. Leżał on bowiem na skrzyżowaniu dróg wiodących z Wilna i innych dużych miast Litwy do Krakowa. W Lublinie obowiązywało prawo składu, czyli kupcy tędy przejeżdżający musieli wystawiać towar na sprzedaż. Tu zaopatrywali się w papier kupcy z Litwy, z Pińska, Słucka, Wilna, Mohylewa i innych miast. Do Lublina papier przywożono z Krakowa, a transport był drogi. I dlatego w 1538 roku Jan Fajfer otrzymał przywilej na założenie nad rzeką Bystrzycą młyna papierniczego.

Jego spadkobiercą był Jan Wąs. Odziedziczona przez niego papiernia spłonęła w 1564 roku Odbudował ją i sporządził spis inwentarza Z tego spisu właśnie wiemy, że Jan Wąs miał 4 wodne koła, które poruszały aż 100 „stęporów". Budynek młyna papierniczego miał trzy piętra. W 1607 roku Jan Braun sporządził panoramę Lublina i uwidocznił na niej lubelski młyn papierniczy. Po wojnach szwedzkich w Lublinie nie było już papierni I nie ma do dziś.

Mamy — jak się okazuje — piękne tradycje przemysłu papierniczego !... nie mamy papieru, bo nasze papiernie wymagają gwałtownej modernizacji i rozbudowy. Czy będziemy mogli kiedyś wrócić do dawnej świetności w królestwie papieru?

WITOLD BOROWY

TERESA JERZYKOWSKA

Do przodu samochodem na pedały

Atmosfera, panująca na V Targach Krajowych Wiosna '86 wskazywała na jej bardziej roboczy, a mniej spektakularny charakter — i tak też w istocie było. Choć oczywiście popatrzeć także było na co — na powierzchni 69 tys. metrów kwadratowych 1300 producentów z przemysłu kluczowego, spółdzielczości, rzemiosła i przedsiębiorstw zagranicznych zaoferowało handlowcom dziesiątki tysięcy artykułów konsumpcyjnych niespożywczych ze 170 grup towarowych.

Czy na podstawie targowej oferty — której wartość wynosiła w tym roku około 212 mld. zł (o 67 mld. więcej niż rok temu w cenach bieżących) — można przewidywać zaopatrzenie sklepów? Odpowiedź na to pytanie jest złożona.

Z dużym prawdopodobieństwem, niemal pewnością, można stwierdzić, że nie będzie w sklepach tego, czego w Poznaniu nie pokazano. Np. od 1980 r. nie prezentuje się na targach zmechanizowanego sprzętu gospodarstwa domowego. Jego producenci na targi przyjeżdżać nie rauszą, bo i po co, skoro ciągle jeszcze i bez promocji swoich wyrobów sprzedać mogą wszystko, nawet towary wątpliwej jakości, które i tak natychmiast znikają ze sklepów.

Przedstawiciele tej branży również i tym razem nie pojawili się w Poznaniu — i z pewnością nowoczesny sprzęt gospodarstwa domowego będzie w tym roku co najmniej równie trudno kupić, jak dotychczas.

Jest jeszcze wiele innych przykładów, świadczących o tym, że w sensie negatywnym — a więc czego nie będzie — są poznańskie targi znakomitym odbiciem rynku.

Nieco trudniej przewidzieć co w odpowiednim terminie do sklepów trafi. Nie jest bowiem wcale pewne, iż będą to te towary, które oglądać można było na ekspozycjach.

Rzeczywistość sklepowa nigdy tak naprawdę nie była wiernym odbiciem rzeczywistości targowej, ponieważ targi traktowane były raczej jako miejsce i okazja do zaprezentowania kondycji i potencjalnych możliwości przemysłów produkujących na rynek, pokazania tego, co poszczególne branże mogłyby robić, gdyby... tu nastąpić powinna dość długa — choć różna w kolejnych latach — lista życzeń i trudności. Uwagi te dotyczą zwłaszcza przemysłu kluczowego, w przypadku którego rozbieżności między tym, co na ekspozycji a tym, co faktycznie znajduje się w dostawach dla handlu są z reguły największe.

DZIEŃ PIERWSZY POD ZNAKIEM KLUCZA

Mimo to, jak również mimo braku wielu branż produkujących na potrzeby konsumpcyjne zakłady kluczowe zaproponowały handlowcom tym razem bardzo wiele — ponad połowę wartości targowej oferty. I właśnie pod hasłem ubiegania się o to, co produkuje klucz upłynął pierwszy dzień targów Wiosna '86. Podczas gdy w pawilonach spółdzielczych i rzemieślniczych było raczej pusto — przed boksami producentów państwowych ustawiały się długie kolejki handlowców prawdziwych, poszukujących dobrego towaru i handlowców-biuralistów, załatwiających na zasadzie „byle szybciej i do domu" formalności związane z towarami sterowanymi centralnie.

Największym wystawcą państwowym był — podobnie jak w latach ubiegłych — przemysł odzieżowy. To, co pokazało 51 zakładów, wchodzących w skład Zrzeszenia Producentów Odzieży może spowodować gwałtowny wzrost ciśnienia nie tylko u wszystkich kobiet, ale również u wielu panów: doskonałe wzorniczo kolekcje, wykonane z najmodniejszych tkanin, w atrakcyjnych, czystych kolorach. Oglądając je trzeba jednak koniecznie zwrócić uwagę na kartki informacyjne.

Cóż bowiem z tego, że na manekinach wiszą znakomite kurtki ze sztucznego futra w jaskrawych kolorach (czyli to, co akurat najbardziej „nosi się" w Paryżu i innych ośrodkach kreujących modę) czy pastelowe wdzianka z gniecionej bawełny, których dodatkową zaletą jest niska — co najmniej trzykrotnie niższa od butikowej — cena, skoro takiego rarytasu zakład zamierza wyprodukować na drugie półrocze trzy tysiące sztuk, a nawet jeszcze mniej? Taka ilość rozejdzie się już w hurcie, nie wystarczy nawet dla kierowników jednostek handlu detalicznego.

Resort przemysłu lekkiego podjął już działania, zmierzające do poprawy asortymentu odzieży — jest to jednak proces długotrwały. Aby niechodliwą już, zgrzebną wełnę zastąpić w okryciach poszukiwaną bawełną lub dobrą wełną czesankową potrzebne są surowce z importu i inwestycje nie tylko — a nawet nie przede wszystkim — w zakładach konfekcyjnych, lecz w przędzalniach i tkalniach. A więc dopiero za parę lat — w najlepszym przypadku — płaszcze i kurtki z madery staną się nie tylko ozdobą targowych manekinów, lecz także przedmiotem kontraktacji w ilościach zauważalnych na rynku. Pozostaje więc liczyć na to, że moda w tym czasie nie zmieni się zbyt radykalnie.

Nieco szybciej — w drugim półroczu, a najpóźniej w roku przyszłym — powinny pojawić się na rynku ładniejsze koszule męskie, i w tym przypadku bowiem podjęto działania zmierzające do poprawy wzornictwa i asortymentu tkanin koszulowych.

Z tym towarem wiąże się zresztą także akcent optymistyczny, świadczący o tym, że coraz więcej towarów staje się po prostu przedmiotem normalnego handlu, a nie, jak dotychczas, zbiurokratyzowanej reglamentacji, a w dalszym etapie — spekulacji czarnorynkowej. Wiosną ubiegłego roku wszyscy zainteresowani poszukiwali gwałtownie odpowiedzi na pytanie: co robić, aby koszule w ogóle były.

Efekty ubiegłorocznych decyzji resortu przemysłu lekkiego oraz nacisków i współpracy resortu handlu już teraz widać w targowej ofercie przemysłów dziewiarskiego i pończoszniczego. Zdecydowanię poprawiły się jakość i wzornictwo wyrobów dziewiarskich, choć do zaspokojenia — także ilościowego — potrzeb w tej branży jeszcze daleko.

Branża dziewiarska zaproponowała na targach 1,317 mln sztuk wyrobów, co nie jest wielkością zbyt dużą, a ponadto niepokój i zdziwienie budzi deklaracja, że połowa tej ilości ma być uzyskana z ...odrzutów eksportowych. Wynika z tego mało radosny fakt, że z myślą o potrzebach rynku krajowego niektórzy szefowie przedsiębiorstw zaplanowali sobie zwiększenie ilości produkcji towarów w gorszym gatunku, nie nadających się dla odbiorcy zagranicznego.

W pierwszym dniu targów swobodne zakupy w zakładach państwowych zostały właściwie zakończone — przy czym w wielu przypadkach wielkość umów przekroczyła początkową ofertę, czyli, jak niezbyt ładnie mówią specjaliści z handlu i z przemysłu, niektóre asortymenty zostały przekontraktowane. Czy faktycznie trafią na rynek dokładnie takie towary, na jakie podpisano umowy — to się jeszcze okaże, bowiem w wielu przypadkach zakłady konfekcjonujące nie orientują się we własnych możliwościach materiałowych. Rozeznanie to uzyskają dopiero po giełdach materiałowych, które, jak zwykle, odbędą się dopiero po targach konsumpcyjnych.

DZIEŃ DRUGI U RZEMIEŚLNIKÓW

W drugim dniu targów przed stoiskami zakładów państwowych ustawiali się jedynie nieliczni, bardziej opieszali handlowcy, którzy przyjechali do Poznania nie po to, aby kupować, lecz aby przystawić pieczątkę na umowach dotyczących towarów z rozdzielnika — czyli tych, które i tak, bez żadnych własnych starań, dostać muszą. Bardziej operatywni przedstawiciele handlu przeszli do pawilonów drobnej wytwórczości i rzemiosła.

U rzemieślników także można było zaobserwować zmiany (na lepsze) zachodzące na naszym rynku wewnętrznym. Handlowcy wybierali towary staranniej, zwracając dużą uwagę na ich jakość, a także — co jeszcze w przypadku przemysłu państwowego nie zdarza się — próbując negocjować ceny.

Jest to oczywiście właściwe podejście do cen umownych, ale na razie my, klienci nie mamy się z czego cieszyć. Rozmowy te nie dotyczyły bowiem wysokości ceny detalicznej, ale, przy zachowaniu jej na tym samym poziomie, relacji między ceną zbytu i marżą handlową. Padały również propozycje kupna niektórych towarów w komis, na co nie bardzo chcą godzić się organizacje rzemieślnicze, mające zastrzeżenia co do sposobu promocji towarów w handlu.

Liczba wystawców indywidualnych i spółdzielni rzemieślniczych jest każdego roku większa, ponadto przywożą oni do Poznania ogromną ilość drobnych artykułów. Wielkie hale, gdzie tradycyjnie lokowane jest rzemiosło przypominają gigantyczny odpust. Wystarczy w ciasnym stoisku ustawić jeden paskudny niby-artystyczny lichtarz i duży kolorowy abażur z podszewki, aby nikt nie zauważył porozkładanych wokół dobrych i potrzebnych drobiazgów.

Duże zwiększenie powierzchni wystawowej dla rzemiosła nie jest możliwe — odbyłoby się to bowiem kosztem wystawców z innych sektorów gospodarki, dobrym pomysłem wydaje się natomiast propozycja CZR, aby zorganizować odrębne targi rzemiosła, ewentualnie połączone z międzynarodowym solonem drobnej wytwórczości „Kooperacja". Być może zamysł ten uda się zrealizować już w przyszłym roku.

A JEDNAK TROCHĘ LEPIEJ

Jeszcze parę lat temu, gdy załamanie gospodarcze objawiło się w najostrzejszej formie, w czasie imprez poznańskich powtarzało się często pytanie: czy targi są nam w ogóle potrzebne. Obecnie nikt już takich pytań nie zadaje, praktyka bowiem pokazała, że — mimo rozmaitych giełd terenowych i branżowych — tak duże spotkanie handlowców i producentów jest dla obu stron korzystne, a i klienci też mają z tego pożytek. Choć do tego, co nazywamy rynkiem konsumenta dojdziemy jeszcze nieprędko — przecież i w sklepach, i na targach widać, że sytuacja w naszej gospodarce jednak stabilizuje się. Ciągle co prawda nie działają — lub działają w niewielkim stopniu — zasady reformy w układzie cen umownych, form handlu i akwizycji, ciągłe podpisywanie umów przypomina trochę loterię — będą te towary albo będą inne — ale jednak w sklepach przybywa towarów, które można po prostu kupić, zamiast zdobywać, a i w Poznaniu kupić można coraz więcej.

Tak więc posuwamy się do przodu, choć dosyć wolno, jakby samochodem o napędzie pedałowym. Obejrzeć taki samochód można było w pawilonie rzemieślniczym. Nie była to bynajmniej zabawka, lecz pojazd dwuosobowy, przeznaczony dla dorosłych, kosztujący 180 tys. zł — czyli tyle, co używany mały Fiat lub Syrena.

■

Szkoła na kołach

RYSZARD BINKOWSKI

Kiedy ponad dwadzieścia lat temu zjawiłem się po raz pierwszy w Guzewie, kierownik szkoły, Kazio Włodarczyk, wprost szalał ze szczęścia, bo pewna miła pani, Bożenka zresztą, powiedziała mu, że ten świeżo upieczony polonista przepięknie śpiewa i gra na gitarze. No cóż, polonista wprawdzie nie grywał na instrumentach szarpanych, ale śpiewać, owszem, śpiewał, szczególnie wieczorami w rzgowskiej „Kaskadzie".

Mogłem uczyć języka polskiego, historii, od biedy geografii, ale o występach artystycznych nawet nie śniłem. Jednakże zachwycony mną Kazio, który był biologiem i zdarł już sobie głos na lekcjach śpiewu, wolał grać z chłopakami w nogę, powierzył mi wychowanie muzyczne. Sęk w tym, że ja w ogóle nie znałem nut. Na szczęście jeden z uczniów, Siotor z Babiek pobierał lekcje gry na akordeonie i właśnie ten dzielny chłopiec załatwiał za mnie sprawy doremifasol. A takich bardziej łatwych i znanych piosenek uczyła mnie w domu żona, za co dzieliłem się z nią pensją nauczycielską.

Kazio taktownie nie hospitował lekcji śpiewu, ale za to podsłuchiwał pod drzwiami, za którymi rozbrzmiewał cudowny, drżący ze wzruszenia głos skacowanego refrenisty z kapeli podwórkowej. Tak mu się to spodobało, że już w następnym roku powierzył mi prowadzenie lekcji wychowania fizycznego. Z dziewczętami, rzecz jasna, albowiem prezentowałem się naonczas niczym kleryk tuż przed święceniami. Kleryk szczególnie upodobał sobie uczenie panienek z ósmej klasy stania na rękach, ponieważ nie miały one kompletnych dresów. Zdaje się, że w ciągu dwudziestu lat sporo się zmieniło pod tym względem. Ale na wszelki wypadek lepiej zajrzeć do raportu komisji oświaty, kultury i wychowania WK ZSL w Łodzi.

Sprawa wygląda tak, że 33 proc. nauczycieli wiejskich w woj. łódzkim ma pełne wykształcenie wyższe zawodowe z przygotowaniem pedagogicznym, zaś 24 proc. legitymuje się dyplomem Studium Nauczycielskiego. Wykształcenie wyższe, ale bez przygotowania pedagogicznego, posiada 6 proc. nauczycieli. Są to np. inżynierowie, którzy mogą uczyć: chemii, fizyki, czy matematyki. Pytanie tylko, czy opłaca się im taki groszowy interes? Oczywiście. Inżynier ma w dokumentach zatrudnienie ze stemplem firmy, a pieniądze zarabia w sektorze prywatnym.

Siedem procent kadry nauczycielskiej stanowią absolwenci liceów pedagogicznych. Pozostałe 30 proc. można by podciągnąć pod „wykształcenie różne", bez przygotowania pedagogicznego. Są tutaj m.in. absolwenci szkół średnich bez matur oraz majstrowie z rzemiosła, którzy prowadzą w szkołach zajęcia praktyczno-techniczne. Rzemieślnikowi także opłaca się pracować w szkole.

Starym działaczom oświatowym serce się kraje na myśl, że tak beztrosko zlikwidowano przed laty licea pedagogiczne. Absolwentka takiej szkoły była najlepszą panią, pamiętaną do dziś przez uczniów. Nic dziwnego, taka pani umiała śpiewać, grać na skrzypcach, rysować, szyć, wycinać koronki, lepić cudeńka, a skłony, przysiady i gry zespołowe też nie były jej obce. Taka nauczycielka w klasach od pierwszej do czwartej była wprost niezastąpiona.

Wróćmy jednak do rzeczy. Otóż pod koniec pierwszego półrocza 1984/85 szkoły wiejskie posiadały pełną etatową obsadę. Ale na początku półrocza jeszcze tak nie było. Łącznie w dwudziestu sześciu lustrowanych szkołach pracowało dwustu dwudziestu nauczycieli, prawie same kobiety. Jeśli trafiał się gdzieś mężczyzna, to tylko na stanowisku dyrektora. No i, co najważniejsze, znikoma ilość nauczycieli mieszka w miejscowości, gdzie jest szkoła.

Przed dwudziestu dwu laty jeździłem na rowerze spod Rzgowa do szkoły w Guzewie. Jedna z koleżanek dojeżdżała ze wsi Prawda, druga zaś z Łodzi i często się spóźniała albo w ogóle nie docierała do szkoły.

Obecnie wydaje się, iż najważniejszym przedmiotem w szkole wiejskiej stała się turystyka. Zaistniało bowiem zjawisko tzw. szkoły na kołach. Na 220 ankietowanych nauczycieli 70 dojeżdża z odległości do pięciu kilometrów, 43 do 10 km, a 62 osoby dojeżdżają z odległości 15 km i więcej. Korzystają one z miesięcznych biletów autobusowych. Gdyby ktoś miał nawet własny samochód, to nie wsiądzie do niego, bo za dojazd własnym autem nie zwraca się kosztów. Jeśli więc dojeżdżająca nauczycielka jest obarczona dziećmi, to rzadko bywa w szkole. Wystarczy, że zachoruje jej dziecko albo nawali autobus. Co taką kobietę obchodzi robota w szkole, jakieś drużyny harcerskie czy kółka zainteresowań, skoro ona drży na myśl, że ucieknie jej autobus, a następnym dotrze do własnych dzieci dopiero wieczorem. Odfajkuje swoje i cześć.

Ale cała ta przykra historia bierze się z tego, że na wsi nie ma mieszkań dla nauczycieli. I koło się zamyka. Są bowiem cenni, poszukiwani specjaliści, co chcieliby osiąść na wsi, ale ponieważ nie ma tam mieszkań, podejmują pracę w mieście w innych zawodach.

Na palcach można by policzyć tych nauczycieli, którzy mieszkają na wsi we własnych domach. Owszem, mówi się z pompą o związaniu młodych nauczycieli z terenem, o pożyczkach i prezentach na zagospodarowanie, o przydzieleniu działek budowlanych, ale ja nic z tego nie rozumiem. Bo niech mi ktoś powie, u diabła, czy taka młoda polonistka po studiach jest w stanie zbudować sobie dom? Skoro w zawodzie pracują same panie, to czy młoda nauczycielka upora się ze zdobyciem tysiąca drobiazgów, materiałów budowlanych, majstrów i postawi sobie dom, który kosztuje najmniej dwa miliony?

Dojazdom nauczycieli do szkół towarzyszy duża fluktuacja. Komu nie służy oświata, ten od niej ucieka gdzie pieprz rośnie. Ano, bo kiedy rząd w najtrudniejszym czasie zatwierdził Kartę Nauczyciela z licznymi przywilejami i gdy nauczycielom podciągnięto pensję do średniej inżynierskiej, część szalenie wyrozumiałego społeczeństwa zzieleniała z goryczy i zazdrości i podniosła wrzask na temat sprawiedliwości społecznej. A teraz jest tak, że nauczyciel zarabia niekiedy trzykrotnie mniej niźli robotnik wielkoprzemysłowy. Jakiż więc ma autorytet i jak się czuje taki parweniusz w podszytym wiatrem paletku w towarzystwie szanującego się podłódzkiego rolnika w kożuchu, mającego do dyspozycji traktor, samochód oraz willę z łazienką, kafelkami i wszelkimi szykanami?

Trzeba jednak stwierdzić zgodnie z prawdą, że wielu dojeżdżających nauczycieli pobrało działki budowlane, przydzielane przez urzędy gminne. Jeden z dyrektorów wiejskiej szkoły, który dojeżdża do pracy z Łodzi, gdzie ma spółdzielcze mieszkanie, oświadczył bez żenady, iż wziął działkę po to, aby poczekać, aż skoczą ceny i korzystnie ją sprzedać. Inni robią to samo i ja się im wcale nie dziwię. Skończyła się epoka Siłaczek i Judymów.

Stanisław Skomiał, członek komisji oświaty, kultury i wychowania WK ZSL w Łodzi:

— *We wsi zawsze była działka ziemi przy szkole, u kowala i na plebanii. Teraz każda ze szkół wiejskich także ma kawałek gruntu, od kilkudziesięciu arów do kilku hektarów. Ale jak widzę chwasty i dziury w płocie, to znak, że nie ma gospodarza. W żadnej z lustrowanych dwudziestu sześciu szkół działka nie była właściwie zagospodarowana. A przecież taka działka winna pełnić rolę pracowni biologicznej, gdzie prowadzi się lekcje w sposób poglądowy. Działka powinna również żywić, a na pozostałej jej części kooperatywy społeczne różnych organizacji mogłyby stworzyć obiekty sportowo-rekreacyjne, może nawet postawić halę gimnastyczną. Przecież dorośli korzystaliby z tych obiektów po lekcjach, albo w soboty i niedziele. Niestety, nie ma tej iskry do działania, a tymczasem chłopi nie mają gdzie zrobić zebrania i psioczą na władzę...*

No dobrze, ale miało też być o szczęściu dziecka wiejskiego w szkole. Co go tam czeka? Zimą dymiący piec, latem woda z otwartej studni, pita wprost z wiadra. W szkole wiejskiej nie propaguje się akcji *„szklanka mleka dla każdego"*, bo nie ma na to warunków. Niektórzy twierdzą, że słusznie, bo dziecko ma w domu mleko prosto od krowy. Zapominają jednak, że te dzieci w drodze do szkoły marzną nieraz ponad godzinę na mrozie. Potem rozgrzane przy dymiącym piecu i spocone chłopaki biegną na przerwie do ustronnego kibelka w polu, gdzie zaznają przynajmniej trzech przyjemności: wypalenie papierosa, podgląd dziewczynek przez szparę i przeziębienie.

Ale najpierw dziecko musi dotrzeć do szkoły. Kiedy ja chodziłem przepisowe trzy kilometry z Gospodarza do Rzgowa, droga była w miarę bezpieczna. Teraz zbudowano wspaniałą obwodnicę, którą musiałoby przekraczać także dziecko, a na tym skrzyżowaniu doszło już do kilku śmiertelnych wypadków. W wielu wsiach powstały nowe asfaltowe drogi i ruch tak się nasilił, że nawet dorosłemu trudno się poruszać. Dlatego też postanowiono dowozić dziatwę do gminnych szkół zbiorczych. A z okolic Wiskitna to dowozi się dzieci do szkoły w Łodzi, żeby nie czuły się po wiejsku zakompleksione.

Szkoła gminna została zobowiązana zorganizować dowóz transportem własnym lub obcym. Transport własny to popularne osinobusy, obcy zaś to autobusy MPK lub PKS. Niekiedy usługi transportowe świadczyły też Gminne Spółdzielnie. Ale wtedy bywało, że dzieci woziły pijani traktorzyści, czasem nie tą drogą i nie do tej szkoły, a matki modliły się za dusze swych niebożątek.

Zimą, gdy eksploatacja pojazdów jest największa, zdarzają się liczne awarie. Przedsiębiorstwo specjalizujące się w naprawie uszkodzonych osinobusów znajduje się w Łowiczu. W związku z tym dyrektor szkoły spod Łodzi ma szansę zaprząc do osinobusu dwie pary koni i w ciągu doby dowlec się do Łowicza. Wesoło jest, a w efekcie zimą dzieci marzną albo chodzą do szkoły gminnej po te pięć, sześć kilometrów. Albo też nie chodzą wcale. Bo źle zorganizowany transport działa antywychowawczo. Raz, że dziecko widzi, jak to pięknie pracują i dbają o nie dorośli, dwa — że matka drży, czy jej dzieciak jeszcze stoi na mrozie, trzy — że gdy uczeń zawróci do domu, to matka mówi: *„Jak nie przyjechał, to ty też nie chodź do szkoły"*. I ja bym takiej matki nie potępiał, słowo daję.

Jeśli zaś chodzi o transport obcy, to tutaj przynajmniej nie ma kłopotów z naprawą, ale za to jest on szalenie drogi. Dla przykładu koszt transportu w roku szkolnym 1983/84: Gmina Nowosolna — 5,5 mln zł, Rzgów — 2,5 mln, Zgierz — 6,3 mln, Brójce — 5 mln, Ozorków — 4,2 mln zł.

Obecnie koszty wzrosły, toteż za pieniądze wydane w ciągu roku tylko przez pięć gmin można by zbudować małą, ładną wiejską szkółkę przy współudziale mieszkańców.

No dobrze, ale co dalej? Raport specjalnej komisji WK ZSL czeka na sprzyjające warunki. Wtedy weźmie się go i ruszy w następny objazd, aby sprawdzić, co się w województwie zmieniło. Szczerze mówiąc, nie czekam na to z entuzjazmem. Wiem natomiast, że każda mała szkoła wiejska jest własnością społeczeństwa wiejskiego. Wskutek zabiegów likwidacyjnych i reorganizacyjnych społeczeństwo pozbawiono tej własności. Chciałbym więc doczekać chwili, kiedy szkoła powróci do wsi, gdzie wszyscy będą mogli z niej korzystać. Wtedy można będzie mieć pewność, iż dla takiej szkoły znajdzie się wszystko.

■

ANDRZEJ KRAKOWSKI

Dyżur

(FRAGMENTY POWIEŚCI „PERŁA POWIATU")

Piasecki z rozkoszą zanurzył się w puszystości fotela i zapalił papierosa.

— Fajnie tu masz — pokiwał głową, jakby z odrobiną zazdrości. — Mieszkanie także dostałeś?

— Mieszkanie? — Leśniewicz uśmiechnął się tajemniczo. — Zaproszę cię później do siebie, zobaczysz.

— Zaczynam już sobie wyobrażać... — przerwał mu dzwonek telefonu. Dyrektor odebrał natychmiast.

— Leśniewicz, słucham. Dobrze, schodzę. — Rzucił słuchawkę i rozłożył bezradnie ręce. — Służba nie drużba, potrzebują mnie w izbie przyjęć. Pójdziesz ze mną?

— Nie będę przeszkadzał?

— Coś ty? Zarzuć tylko ten kitel. Możesz wsadzić do kieszeni stetoskop, będziesz poważnie wyglądał.

Poszli długim korytarzem w kierunku schodów. Szpital był rzeczywiście ogromny, ale coś innego zafrapowało malarza.

— Gdzieś tu jest jakiś błąd, stary, ale trudno mi go zlokalizować... — powiedział z namysłem.

— Tu, u mnie? Na pewno są jeszcze pewne niedociągnięcia organizacyjne, ale...

— Nie, nie, nie rozpędzaj się, Andrzeju. Myślę o czymś zupełnie innym. Popatrz: pierwsze spotkanie dwojga ludzi, fascynacja sobą nawzajem, prędzej, czy później coitus jako apogeum uniesień, później ciąża: namaszczona, pełna błogosławieństwa. Wszystko to, co lubimy, cenimy i szanujemy Znaczy: naturze jest to potrzebne. Skąd w tym pięknym cyklu, jako uwieńczenie, znalazł się poród razem z jego ohydą i męczarnią? Może nasz zmysł estetyczny jest jakoś zwichnięty w tym miejscu? A może nie odkryliśmy jeszcze metody i nie umiemy rodzić?

— Albo kolejność jest inna, co? Może natura wymyśliła sobie poród na sposób optymalny, rozumiesz, trudności materiałowe, kooperanci i tak dalej, zrobiła co się dało i poród jest taki jaki jest. Teraz się okazuje, że nikt nie zechce rodzić w ten sposób, gatunek wyginie, więc co? Trzeba skusić, namówić, przekupić i proszę bardzo, płatne z góry, kredyt nieograniczony, a potem: chciałeś, to płać, chciał, nie chciał, musiał. A poza tym czy to jest rzeczywiście ohydne? Bo ja wiem....

— Ból i męka fizyczna są dla mnie zawsze odrażające.

— Ale to jest inny ból, jakby to powiedzieć . twórczy. Coś jak cierpienie artysty, który nie może odnaleźć tego właściwego wyrazu, a potem znajduje go i doznaje ulgi. Zresztą, jeśli zostaniesz do wieczora, zobaczysz sam.

— Zostanę. Co innego mógłbym robić w tej dziurze?

Weszli do izby przyjęć i Piasecki przycupnął skromnie na krzesełku pod oknem. Czuł się trochę niezręcznie i nie bardzo wiedział co zrobić z rękami. Przybrał obojętny wyraz twarzy, wyciągnął z kieszeni notes i zaczął szkicować w nim głowę konia. Miał ochotę na papierosa, ale pielęgniarka wprowadziła już pacjentkę. Zetknęły się ich spojrzenia. Duże, wilgotne oczy, mówiące jedynie o zmęczeniu. Nie zdziwiła się nawet, że jest ich dwóch; jej obojętność pomogła mu się rozluźnić. Leśniewski wypełniał ankietę.

— Nazwisko, imię?

— Ewa Dąbik. Pan doktor mnie nie zna?

— Co? Tak, to teraz nieistotne. Słucham, co się dzieje?

— Mam bóle. Skierował mnie doktor Sławik z przychodni zakładowej. Pracuję w „Leśnym Runie".

— Od kiedy te bóle?

— Dzisiaj koło jedenastej się zaczęło.

— Kiedy ostatnia miesiączka?

— Piątego października.

— Dziś mamy trzydziestego czerwca, tak? — policzył szybko w pamięci. — No to mamy jeszcze czas, jakieś dwa tygodnie.

— Tak, ale boli.

— No dobrze, proszę na fotel.

Piasecki znów wetknął nos w swój notesik. Poczuł dreszcze podniecenia, kiedy ściągała rajstopy i majtki. „Stary koniu — pomyślał — mogłaby być twoją córką. Ależ to śliczna dziewczyna, delikatna taka, rasowa...".

— Pan pozwoli, doktorze — usłyszał zza parawanu głos Andrzeja i nie od razu zorientował się, że to do niego. Poderwał się szybko.

— Tak?

— Proszę spojrzeć. Wziernik....

— Nnno... tak, w porządku — mruknął trochę oszołomiony, a potem dodał z powagą — Vagina pulchra est — Niewiele znał słów po łacinie. Leśniewicz odwrócił się do stolika z narzędziami i zakasłał gwałtownie, dławiąc śmiech.

— Zrobimy jeszcze jedno badanie, zobaczysz, doktor, cośmy tu sobie niedawno sprawili.

— Zapewne jakiś aparat, znam zamiłowanie pana dyrektora do nowinek technicznych.

— Niech pani zostawi tu wszystko i proszę z nami. Przejdziemy do innego gabinetu.

Poszli gęsiego: dyrektor, dziewczyna i malarz. W niewielkim pomieszczeniu ze storami w oknie, obok leżanki, stał na stoliku lśniący nowością skomplikowany aparat z ekranikiem, klawiszami i pokrętłami.

— Badanie ultrasonograficzne — nie ukrywając dumy oświadczył Leśniewicz. — Jesteśmy bodaj pierwszym szpitalem powiatowym o takim wyposażeniu. Piekielnie droga historia. Proszę się położyć wygodnie, odsłonić brzuch. Gdyby nie moje usilne staranie i pewne, że tak powiem, układy w województwie, nie byłoby nie tylko tego aparatu, ale i wielu innych spraw.

Piasecki nie słuchał zbyt uważnie. Rozglądał się po niedużym gabinecie. Badanie obnażonej aż po piersi dziewczyny już go nie podniecało, ale kryło w sobie coś misteryjnego. Może to przyćmione światło i tajemnicze błyski na ekranie, a obok lśniąca, napięta skóra brzucha i to życie tętniące w środku jako obietnica — to wszystko razem złożyło się na obraz, przy którym jego „Macierzyństwo" wydało mu się nagle pozbawione treści i jakiejkolwiek prawdy przekazu. Wyjął notes i kilkoma kreskami naszkicował coś zupełnie odmiennego od całego swojego dorobku.

Lekarz wycisnął na brzuch pacjentki tłustą masę z plastykowej tuby i rozprowadził ją płaską głowicą połączoną z aparatem.

— Kontakt — wyjaśnił. — Chodzi o dokładne przyleganie. — — Wodził głowicą po brzuchu, a na ekranie zmieniały się chybotliwe, drgające kształty do niczego właściwie niepodobne. Dopiero kiedy Leśniewicz pokazał palcem, Henryk zaczął rozpoznawać poszczególne elementy.

— Widzimy główkę, tu nóżki, ramię, można też płeć określić, proszę bardzo, chłopiec, oczywiście jeśli pacjentka sobie życzy... No tym razem nie zdążyłem zapytać. Można ten obraz zatrzymać, o tak — wcisnął klawisz i na ekranie znieruchomiał kształt głowy. — A teraz pomierzymy, o tak. — Jednym z pokręteł poprowadził świecący krzyżyk po zatrzymanym obrazie, unieruchomił go, wprowadził drugi krzyżyk, znów unieruchomił, wcisnął klawisz i w dole ekranu wyświetliła się cyframi odległość pomiędzy zaznaczonymi punktami — Wykorzystam doktora przy okazji, proszę zanotować. — Podał kilka cyfr i jakieś litery, które Henryk bezwiednie zapisał w notesie. — No to tyle. Panią poproszę teraz o zaczekanie na korytarzu. Zaraz znów się panią zajmiemy.

Wstała z leżanki uśmiechnięta i to jeszcze podkreśliło jej urodę. W bladej poświacie wyglądała na uosobienie szczęścia i tajemnicy. Szła ostrożnie, niosąc swe cenne brzemię imieniem „chłopiec". „Dlaczego miałabym nie chcieć wiedzić — myślała — bardzo chciałam. To pewnie jakiś kolejny konwenans, albo coś, co wynika z etyki zawodowej lekarzy. Mogę już wymyślić mu imię".

— No i co? — dyrektor przysiadł na krawędzi stolika. Plinie obserwował roześmianą twarz Piaseckiego.

— Piękna sprawa, stary, naprawdę. Jednym okiem do brzucha, a drugim w dwudziesty pierwszy wiek! Podziwiam twoją operatywność. Stworzyłeś sobie bajeczny, cudowny świat.

— Taaak. Ale zaraz uśmiech zniknie ci z twarzy.

— Dlaczego? — Henryk na wszelki wypadek już z góry zaczął poważnieć. Coś zawisło w powietrzu, ale nie umiał jeszcze określić istoty tego czegoś i patrzył pytająco na przyjaciela.

— To dziecko jest skazane na... Słowem, nic z tego nie będzie.

— Co?! Co ty wygadujesz, Andrzeju? — poczuł tępy ból w karku i musiał skłonić głowę, żeby złapać głębszy oddech. Patrzył na usta lekarza z takim napięciem, jakby chciał wydrzeć z nich wyznanie, że to był tylko żart. Ale Leśniewicz był nieubłagany:

— Nie było elektroniki, nie było takich problemów — powiedział. — A teraz muszę podjąć decyzję. Poważną decyzję. Nie ma w tej kwestii żadnych wytycznych, żadnych ustalonych odgórnie reguł. Jestem sam...

— Ale powiedzże wreszcie!

— Dziecko ma wodogłowie. Matka nie jest w stanie urodzić jego trzynastocentymetrowej główki. Są teraz dwie możliwości...

— Cesarskie cięcie.

— Tak. Ryzyko operacji, rozpłatamy młodej, ładnej dziewczynie brzuch i wyjmiemy z niego kalekę.

— To znaczy....

— Tak, to jest już ewidentne. Z takim mózgiem można być tylko kaleką. Nie wiem na czym to będzie polegało, ale na pewno niedorozwój umysłowy, może niedowład kończyn, może sto innych historii...

— A druga możliwość?

— Zmniejszyć główkę noworodka, wypuszczając z niej wodę i spowodować normalny poród drogami natury, przyspieszyć oxytocyną....

— A wtedy?....

— A wtedy zabijemy płód tym tak zwanym leczeniem wewnątrzmacicznym. I co byś zrobił na moim miejscu? Tertium non datur.

— Taka dziewczyna... Widziałeś jaka była szczęśliwa. Jak mogłeś, wiedząc, rozmawiać z nią tak spokojnie?

— Dziewczyna istotnie niebrzydka. Interesował się nią nawet mój Marek, a to poważny, rozsądny młodzieniec. Mówi, że to Perła Powiatu. Jedyna, bo nie ma innych pereł w tym powiecie, wyjąwszy, rzecz jasna, ten szpital. (...)

Nagle ogarnęło go przerażenie. Poczuł krople potu na czole i miał ochotę zerwać z ust maskę, która zaczęła go dusić. Bezwiednie zacisnął palce na ramieniu schylonego Leśniewicza i poczuł, że musi natychmiast wydrzeć z rozchylonej pochwy jego dłoń penetrującą tam jak zabójca, szukający w zaułku ofiary.

— Andrzeju — wyszeptał gorączkowo — Andrzeju, posłuchaj, a jeśli ta cała cholerna aparatura się omyliła, jeśli coś tam w niej nawaliło, przesunął się jakiś pieprzony tranzystor, czy coś innego, Andrzeju....

W tym momencie Leśniewicz wyczuł właściwe miejsce na ciemieniu i bezbłędnym, pewnym ruchem wprowadził tam ostrze długiej igły. Natychmiast z drugiej strony na jego rękawice trysnęło mętne, nie istniejące jeszcze, a już ginące życie. Skurcze stawały się teraz coraz częstsze i blada twarz dziewczyny nie rozstawała się już z grymasem bólu.

— Podstawcie nerkę — zaordynował lekarz. — Chcę wiedzieć ile tego będzie. Siostro, niech pani zadzwoni na pediatrię po doktora Fałacińskiego, będzie mi tutaj potrzebny. (...)

— Myślę jak ona mogła to! zrobić. Wszyscy ją podobno ostrzegali. Przecież wiadomo, że to są historie dziedziczne.

— Nieprawda — pediatra uśmiechnął się z pobłażaniem do ignoranta. — Prawdopodobnie brała jakieś leki, żeby pozbyć się tego kramu i stąd rozszczepienie kręgosłupa, które najczęściej prowadzi do wodogłowia, a dalej stopy, widział pan, stopy szpotawe, klatka piersiowa puklerzowata...

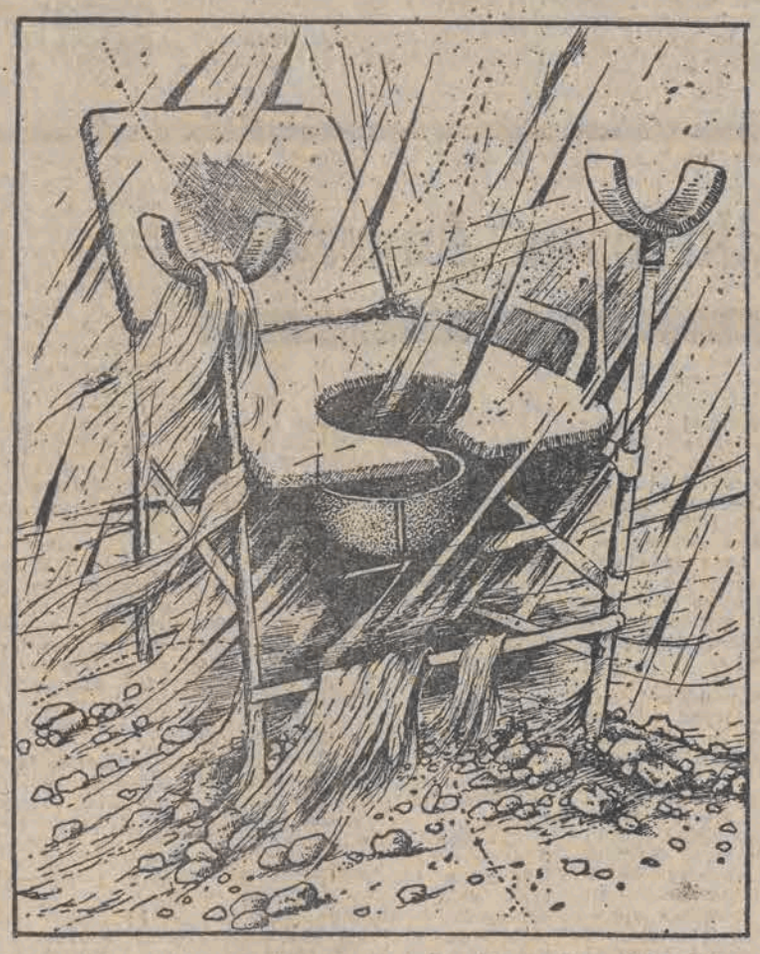

Rys. Janusz Szymański-Glans

— Ale... on się ruszał, chciał żyć, doktorze. Głowę miał jak popsuta lalka...

— To były tylko takie atawistyczne odruchy poniżej kory mózgowej. Nic nie czuł, niech pan się nie przejmuje.

— Więc to niekoniecznie po ojcu?

— Oczywiście, że nie. Tym bardziej, że z tym ojcem to przecież tylko plotka. Kto dzisiaj trafi za młodymi? W ankiecie jest ojciec nieznany. Kto by zresztą próbował dociekać, kiedy jest już po wszystkim i na szczęście skończyło się dobrze.

— Dobrze...

— Może dla odprężenia odbierzemy teraz normalny poród? — zaproponował Leśniewicz.

— Chwilę odpocznę, Andrzeju. Można włączyć ten telewizor?

— Tak, oczywiście. Nie najlepiej odbiera, ale można popatrzeć. Jak wrócisz do formy, wejdź na oddział. Czuję, że zmienisz styl po tej, jak to nazwałeś, porcji ohydy

— Nie, to nie jest ohydne, ale tak dramatyczne i szokujące, że czuję się jakbym dostał solidne lanie. Przyjdę za jakieś pół godzinki.

— Dobrze. Przyślę ci kawę przez salową.

Nie mógł skupić się na tym, co działo się na ekranie telewizora. Zresztą odbiór rzeczywiście był kiepski Rytmiczne błyskanie przerywające emisję drażniło go i powodowało oczopląs. Wyłączył. Zapalił papierosa Zaraz przyszła mu na myśl Anna. W podobnej fabryce urodziła mu dwóch synów w odstępie jednego roku. Są zdrowi, dorodni, mądrzy Akurat nie trafiło na niego Trafiło na tę biedną dziewczynę o wilgotnym spojrzeniu Te dzieci ich rozdzieliły: Annę uziemiły w domu, a jemu odebrały spokój. I ten zwyczajny, codzienny spokój w cichym gniazdku i spokój ducha, sumienia, kiedy zostawiał ich samych we troje, żeby wyrwać się w plener, albo poszaleć z przyjaciółmi. Ileż to razy w środku dobrej zabawy, albo przy sztalugach rozstawionych na dzikiej łące dopadał go ni stąd ni zowąd wyrzut, który tak często widział w oczach Anny. „Jestem przecież artystą — próbował się wtedy usprawiedliwiać. — Jestem twórcą, człowiekiem nieszablonowym, nie mogę zszarzeć, spowszednieć, zmieszczanieć dlatego, że korona naszego szczęścia ma cztery nogi, dwie głowy i woła jeść. Daję jej przecież pieniądze, dużo pieniędzy, niczego jej nie żałuję, ale nie mam prawa rzucać tego, co robię, żeby zostać kucharką, sprzątaczką, niańką...". Nie był pewny czy te argumenty go przekonują, ale Anna przyjmowała je ze zrozumieniem. Kiwała potakująco głową i uśmiechała się do niego: leć, leć, mój orle — mówiła, a on odpowiadał ciężkim, bezradnym westchnieniem i leciał. Dokąd? Gdyby przynajmniej wiedział dokąd....

— Przyniosłam kawę panu doktorowi — salowa nieśmiało zatrzymała się w progu świetlicy.

— Tak, dziękuję, proszę postawić na stole.

Ledwie wyszła, spróbował powrócić do myśli, które go wprawdzie męczyły, ale wymagały jakiejś konkluzji Nie lubił zostawiać czegoś niedokończonego, nic nie odkładał na później, choć czasem zżerał go taki upór, niejedną noc mu zabierał i niejeden świt. Nie zdążył jednak domyśleć do końca swoich spraw. Nie zdążył nawet dopić kawy, bo od strony sali porodowej dobiegł rozdzierający krzyk kobiety i natychmiast zapragnął być tam, przy niej.

W przedsionku założył ogromne białe kalosze i rozejrzał się za czapką i maską, które rzucił na jakiś stolik, ale już nie pamiętał gdzie. A może przy zwyczajnym porodzie nie trzeba takich akcesoriów? Zajrzał ostrożnie do boksu, w którym Leśniewicz i jego ekipa skupili się nad kobietą imponujących rozmiarów. Ważyła na pewno ponad sto kilogramów, a jej ogrom przerastał wszystko, co kiedykolwiek widział. Wydawało się, że wypełnia sobą cały boks i przygniata do ścian drobniutkie postacie lekarza, położnej i pielęgniarki. Leśniewicz dostrzegł jego zauroczenie i mrugnął do niego z uśmiechem. Henryk znów sięgnął po notes i rysował szybkimi kreskami.

— Rozwarcie? — spytał lekarz pochylonej nad pacjentką położnej.

— Trzy i pół, prawie cztery palce. Niech pani teraz oddycha brzuchem O, tak. Mocno, mocno, rytmicznie. A jak przyjdzie skurcz, to głowa na dół, chwycić za te drążki i mocno przeć, jakby pani kupę robiła, jasne?

— Tak, tak, kochana, o Boże święty! Dziecino moja, wyjdź już, wyjdź, ulżyj i sobie, i mnie...

— No już, nie gadać! Będzie skurcz, uwaga!

Ława mięsa zebrała się w sobie i naprężyła.

— Tak, tak i jeszcze mocniej! — dopingowała położna. Długie mięsiste wargi rozchyliły się lekko i pomiędzy nimi wybrzuszył się czarny, obły kształt główki... Ukazał się tylko na moment i zaraz zniknął w czeluści.

— Oddychać, odpoczywać, oddychać! — padały dalsze polecenia.

— Chyba coś ze mną nie w porządku — biadoliła pacjentka. Głos miała z lekka przepity i groteskowo słabiutki, omdlewający przy zwalistości jej ciała.

— Wszystko w porządku, oddychać!

— Nie, ale... psychicznie chyba coś... nie tak . sama nie wiem... czy mi się chce... czy kupę mi się chce.... czy siku....

— To normalne objawy. Musi pani zrobić tę kupę i będzie po wszystkim.

— O Jezu miły! Tyle czasu, tyle godzin...

— Skurcz idzie! Teraz rodzimy.

I znów ten nadludzki wysiłek, od którego drżą pokłady tłuszczu, żyły nabrzmiewają na czole, trzęsie się fotel, szyby dygocą w oknie, ugina się podłoga, zarysowują się ściany Tak! Właśnie tak będzie to wyglądało na jego nowym obrazie. Ból, wysiłek i wszystko się wali, idzie w gruzy, a triumfuje wola i rodzi się człowiek.

Leśniewicz zerknął nań ukradkiem i uśmiechnął się znowu, widząc rozentuzjazmowanego kibica, który z pięścią zaciśniętą przy ustach, aż do zbielenia paznokci, rodził razem z pacjentką Idzie, idzie! Przedziera się taranem do światła! Nożyce lekarza jakimś zupełnie krawieckim gestem przecinają zbielały, bliski rozdarcia brzeg pochwy. Straszny krzyk, strumień krwi zalewający prześcieradła i ukazuje się główka Ma twarz, nosek uszka, zamknięte w kwaśnym grymasie oczy... człowiek, prawdziwy, maleńki człowieczek!

— Jeszcze, jeszcze, teraz już łatwiej. Idą barki... i już.

Z chlipnięciem wpada do podstawionych dłoni marmurowo biaława istotka.

— To wcześniak — mówi półgłosem stojący obok Henryka doktor Fałaciński. — Donoszony noworodek jest bardziej różowy, właściwie czerwony, a wcześniaki są takie właśnie przybielone, ale to minie.

— Ma pani córkę — informuje dyrektor.

— Córuś moja — jęczy z ulgą położnica — jak tez mnie wymęczyłaś!

Cięcie nożycami pomiędzy klemami zaciskającymi pępowinę i położna podsuwa tyłeczek dziecka pod oczy matki.

— Popatrzeć. Nic jej nie brakuje?

— Nie. Jaka ładna!

— Waży... zaraz... dwa trzysta.

— Urośnie.

— No to jeszcze raz przycisnąć i urodzimy łożysko.

— O rany, znowu przyciskać?

— Przeć, przeć! To już pójdzie lekko. O tak i już jest. Całe, proszę zapisać, urodzone metodą Duncana. Teraz niech pani odpocznie, za chwilę pan doktor zeszyje krocze.

— Tak, tak, odpocznę...

— I co? — Leśniewicz trąca lekko ramię zapatrzonego w noworodka Henryka.

— Cudowne... to jest naprawdę cudowne... — w głosie malarza dygoce łkanie wzruszenia.

— Chodź, zapalimy po całym i biorę się za to szycie. Całe szczęście, że jutro Pacuł wraca z urlopu. Jak widzisz, nie jest tu lekko. (...)

■

Ewa Filipczuk

☆ ★ ☆

Napisać o najważniejszym. Teraz.
Kiedy nie jest za późno. Jeszcze pamiętam.
Wiem o czym. O tamtym nie można.
O innym przy innej okazji.
Ale jak to wyrazić w grudniowy poranek,
Kiedy niebo nad domem jest zaprzeczeniem nieba.
Wszystko, co nieuporządkowane odrywa mnie.
Rozprasza. A więc jak. Jak
Znaleźć takie słowa
Które nie będą na próżno.
Nie przyjdą za późno.
Żebym mogła obronić się.
Żebym mogła odpocząć
Po wierszu.

Okno II

Mój los już przesądzony Staję w wielkim oknie
Rozsuwam pajęczynę i patrzę na płomień
To spadające liście i wszystkie poranki
To bratki które na klombach usychają co dzień
Drzewa leżące pokotem i cienie na ścieżce
Ślady obcego mężczyzny jak kręgi na wodzie
To co się kiedyś zdarzyło I co będzie jeszcze
I dziecko I staruszka I jesień w ogrodzie

Inwazja

wiatr był dzisiaj zbyt mocny i rozproszył
wszystko —
odwagę żółtej lampy stojącej na stole
ostre kryształki cukru popiół z papierosa
przyszłość z dewizą chwiejną Flavit Deus

wielka armada płynie po ciasnym pokoju
aż dzwoni cienkie szkło filiżanek z kawą
niezwyciężeni Hiszpanie opuszczają ciemność
stają się rojem motyli o różowych żaglach

po chwili lekko lądują na kartkach historii
mijając wzburzoną pościel i La Manche dywanu

bowiem wiatr był zbyt mocny i rozproszył
wszystko —

Wysoka Góra

w szklance dogasa
nie wypita herbata

mężczyzna odszedł
za wysoką górę

tutaj
widział ciągle
otchłań kobiecej twarzy

to go bolało
to była rana

odszedł
myśląc że dogada się z Charonem
przekupi dróżnika

ale ona
schowała wszystkie drobne
na czarną godzinę

teraz
brzęczy nimi
triumfalnie

nie ma wysokiej góry
nie ma pociągów i wioseł

wróci kiedyś
na pewno wróci

mężczyzna
białe niebo
poza wszelkim poznaniem

Mężczyźni

Muszą przychodzić
Z naręczem snów
Ze śmiercią która się czai
Z mapą niepokojów
Giną wtedy kartki z wierszami
Wino czerwone jak morze
Wzbiera Spada liść
To ostatni dzwon
A kobiety brzęczące jak pszczoły
Owady uwikłane w pajęczynę
Przeczuwają odwrót
Boli jak zwykle Na dłoni
Rysuje się kolejna ścieżka
Znów są niczyje

Wydawnictwo Łódzkie w 1986 roku

W bez mała trzydziestoletniej historii Wydawnictwa Łódzkiego bywały okresy lepsze i gorsze Lata ostatnie przyniosły zapowiedź całkiem nowych jakości, które świadczą iż łódzka oficyna wydawnicza przekroczyła opłotki prowincjonalnego zaścianka i stała się liczącą w skali ogólnopolskiej instytucją kulturotwórczą Co jest oczywistą korzyścią także dla łódzkiego środowiska literackiego i naukowego.

Wydawnictwo Łódzkie powoływano kiedyś z myślą o potrzebach tego środowiska. Takie funkcje pełni i dzisiaj. Jednak obecnie — co ważne — twórczość łodzian funkcjonuje i sprawdza się w szerszym kontekście literatury polskiej i obcej, którymi wydawnictwo wzbogaca swoje edytorskie plany. Można powiedzieć bowiem tak: autorytet wydawnictwa służy wsparciu prestiżu drukowanych autorów — i odwrotnie — wysoka wartość proponowanych edytorowi książek wpływa na ocenę wydawnictwa.

Dobre notowania zależą również od długofalowej i wybiegającej dalej niż na rok, dwa polityki planów i zamierzeń, które w rezultacie tworzą profil wydawnictwa i decydują o jego specyfice. Myślę tu także o seriach wydawniczych, które zawsze przyciągają uwagę czytelników i stanowią najlepszą wizytówkę edytora.

WŁ to wydawnictwo średniej wielkości (w porównaniu z takimi potentatami jak choćby z jednej strony PIW, a z drugiej KAW), które stawia przede wszystkim na współczesną literaturę polską (prozę i poezję), w tym także twórczość pisarzy łódzkich. Drugim znaczącym elementem zamierzeń edytorskich WŁ jest piśmiennictwo o charakterze naukowym i popularno-naukowym kształtujące świadomość społeczno-polityczną i kulturalną (tu także książki o historii i współczesności regionu łódzkiego). W zakresie przekładów WŁ zwraca się przede wszystkim ku literaturze narodów Związku Radzieckiego i Jugosławii. Sporo tytułów w prawdziwie masowym nakładzie to literatura dla dzieci i młodzieży oraz lektury szkolne.

Potwierdzenie tej charakterystyki znajdziemy również w planie wydawniczym na rok 1986. Na liczbę 85 tytułów, które mają się ukazać w bieżącym roku więcej niż połowa to literatura współczesna. Nie jestem w stanie przedstawić wszystkich książek z tego zakresu, tym bardziej, iż większość powieści znam tylko z tytułu bądź ogólnikowego omówienia. Zatrzymam się więc przy niektórych: te wydają się być godne polecenia przyszłym czytelnikom. Otrzymają oni w roku 1986 nowe powieści Ryszarda Binkowskiego („Zaćma"), Wiesława Jażdżyńskiego („Kolonia wszystkich świętych"), Andrzeja Makowieckiego („Nie ma pociągów do Barcelony"), Tadeusza Giegiera („Wąwóz Belzebuba") i Karola J Stryjskiego („Są jeszcze sprawy drobne"); nowe tomy prozy H. Czarneckiego, Z. Fijasa i E. Kopczyńskiego oraz dwa debiuty: K Solińskiego „Atebe" i J. Tomkowskiego „Ragadon". Wraca na polski rynek księgarski twórczość Andrzeja Brychta: jego „Opowieści z tranzytu" przewidywane w 50-tysięcznym nakładzie mogą stać się bestsellerem.

Ze wznowień, w sporych nakładach (od 10 do 30 tysięcy) WŁ zapowiada tomy R. Gajdy, K. Obidniaka, B. Sztajnerta, J. Waldena i B. Ruthy. Autorów nie trzeba czytającej publiczności przedstawiać. Ukaże się wreszcie, jako początek dawno zapowiadanych pism wybranych, powieść Emila Zegadłowicza „Motory" w opracowaniu krytycznym Jerzego Tyneckiego z oryginalnymi ilustracjami Stefana Żechowskiego, I tej książce nietrudno wróżyć edytorski sukces.

W dziale poezji oprócz nowych tomów Doroty Chróścielewskiej, Mirosława Kuźniaka, Andrzeja Wiktora Mikołajewskiego i Henryka Hartenberga na uwagę zasługują wybory wierszy (w nowo powołanej serii „Wiersze polskie") Cypriana Kamila Norwida (100 tys. nakładu!), Juliana Przybosia (50 tys.) i Mirona Białoszewskiego (50 tys.). Zapowiadany jest także tom poezji Mariana Piechala „Miasto Troiste".

W dziale satyr, fraszek i aforyzmów WŁ wyda tomy T. Fangrata, T. Giegiera, R. Gorzelskiego, I. Sikiryckiego i J. Sztaudyngera a także antologię w opracowaniu J Czarnego i Giegiera zatytułowaną „Trudno nie pisać satyry". Jeśli już o antologiach mowa: ukaże się „Współczesna aforystyka polska", także zbiór szkiców i esejów krytycznoliterackich pod tytułem „Kaskaderzy literatury" (tu m.in. prace o Wojaczku, Bursie, Hłasce). Niezadługo w księgarniach powinien się znaleźć „Łódzki Almanach Młodych" prezentujący młodych poetów, krytyków, tłumaczy i prozaików.

Prawie dwa miliony trzysta tysięcy egzemplarzy sygnowanych przez WŁ to literatura dla dzieci i młodzieży. Wśród autorów znajdziemy starszych (Walery Łoziński) i młodszych klasyków (W. Broniewski, A. Świrszczyńska) tej twórczości. Także autorów łódzkich: L. Skompską i J. Krakowskiego.

W dziale literatury naukowej i popularno-naukowej piętnaście tytułów i znane w nauce polskiej nazwiska Bohdana Baranowskiego („Ludzie gościńca"), H. Evert-Kapesowej („Historie konstantynopolitańskie") Janusza Górskiego („Z historii myśli ekonomicznej"), Janusza Tazbira („Świat panów Pasków"), M. Olechnowicza („Polscy badacze folkloru białoruskiego"). Tu także studia o powieści politycznej (S. Majchrowskiego), o twórczości Parandowskiego (J Lichański) i Berenta (H. Muszyńska-Hoffmanowa).

Pora zachęcić przyszłych czytelników literaturą przekładową, czyli pora przejść do dobrze już przyjętych serii wydawniczych. I tak w „Bibliotece Jugosłowiańskiej" możemy spodziewać się trzech powieści: M. Lalića — „Wojenne szczęście", A. Hienga — „Orfeum" i J. Nenadića — „Dorotej". W serii „Trzy wieki kultury europejskiej", w której dotychczas ukazały się dwie powieści osławionego markiza de Sade i wciąż czytana powieść Fieldinga o Tomie Jonesie, znów de Sade, tym razem jako autor nie tłumaczonej dotąd „Justyny" (50 tys.) oraz, jako próba zatarcia śladów po francuskim skandaliście, w stutysięcznym nakładzie, opowieść dla młodzieży „Pięć tygodni w balonie" Juliusza Verne'a. Tu jedna uwaga: seria jak seria — tzn. te „Trzy wieki...", ale dlaczego w takiej zgrzebnej szacie edytorskiej?

Następna seria to „Człowiek i jego cywilizacja". Po C. Levi-Straussie i W. Ullmanie kolejne nobliwe nazwiska i cenne książki. W roku 1986 czytelnik otrzyma R. Girarda „Kozła ofiarnego", M. Granta „Gladiatorów", A. Kupera „Między charyzmą a rutyną" i B. Diaza de Castillo „Pamiętnik żołnierza Korteza", wszystkie w nakładach odpowiadających atrakcyjności poszczególnych tomów: od 10 do 50 tys. egzemplarzy.

Także seria „Podróże, przygody, odkrycia" przyniesie trzy następne tytuły. I one długo na ladach księgarskich nie poleżą.

Z literatury rosyjskiej WŁ proponuje kolejny tom „Poezji narodów Związku Radzieckiego". Tym razem będzie to antologia pt. „Poezja rosyjska do roku 1917", która — można się spodziewać — zostanie podobnie pięknie wydana jak poprzednie. Poza tym tom „Poezji wybranych" S. Ostrowoja oraz autobiograficzna proza S. Jesienina pt. „Jar".

Na koniec tej tytułowej wyliczanki zostawiłem rzecz, która gotowa pobić wszelkie rekordy popularności. Myślę tu o imponującym zamierzeniu, jakim jest polska edycja „Ilustrowanej historii świata" J. M. Robertsa, której tom pierwszy ukaże się właśnie w bieżącym roku. To znaczy powinien się ukazać.

Taką uwagą powinienem opatrzyć wiele wymienionych wyżej tytułów. Plan planem a poligraficzna rzeczywistość wciąż skrzeczy. Myślę, że nie zdradzam tajemnic WŁ, jeśli powiem, iż poślizgi z roku 1985 stanowią w bieżącym planie wcale niemały procent. Zatem szukając zapowiadanych tytułów w księgarniach proszę tę poprawkę wziąć pod uwagę.

GRZEGORZ GAZDA

Pamiątki pana Andrzeja

O tej zaskakującej książce Andrzeja Kuśniewicza bardzo trudno jest pisać letnio i „obiektywnie". Jeżeli ktoś lubi ten rodzaj literatury, powinien powiedzieć po prostu do potencjalnego czytelnika: Książka jest dobra... a zresztą, co ci będę opowiadał, przeczytaj sam. Jednak obowiązki recenzenta są nieco inne. Nie wystarczy wszak stwierdzić, że książka jest dobra, warto jeszcze powiedzieć, dlaczego.

„Mieszaniny obyczajowe" są utworem zaskakującym, przede wszystkim dlatego, że autor, znany nam dotychczas jako twórca pokrętnej, niełatwej w odbiorze i często amorficznej prozy, objawia się tu jako uroczy gawędziarz, którego wspomnień, a także refleksji nad czasem dawnym i teraźniejszym słucha się z prawdziwym zainteresowaniem. W opowieściach powraca atmosfera Galicji z całą jej egzotyką, przewija się mnóstwo najpewniej autentycznych, przepysznych figur (jak choćby Ksenia, czy kuzyn Leons — obie postacie warte osobnych powieści), wreszcie szczegóły dla prawdziwych smakoszy: bogate opisy obiadów i kolacyjek, detale strojów damskich i męskich, pikantne historyjki z lwowskich, a potem warszawskich lokali. Wszystko to osnute delikatną mgiełką nostalgii za czasem przeszłym i dokonanym. Lecz nie jest to tylko kolejny tom wspomnień, choć porównania z Iwaszkiewiczem, Wańkowiczem, Waldorffem, czy nawet „Wspomnieniami polskimi" Gombrowicza, nasuwają się nieodparcie.

Patronuje tej gawędzie imć pan Jarosz Bejla, narrator „Pamiątek Soplicy" Rzewuskiego Ta nieco autoironiczna parantela sugeruje znaczny dystans do opisywanego świata — do dziś bowiem głowią się historycy literatury, czy istotnie Rzewuski podzielał wszystkie poglądy swego bohatera. Konserwatyzm, jaki reprezentuje Kazio, główna postać „Mieszanin", można by nazwać „konserwatyzmem światłym", bez żadnych aluzji do na przykład „absolutyzmu oświeconego". Istotą takiego konserwatyzmu jest pewna wierność wyniesionym z domu, w tym wypadku ziemiańskiego, lub nabytym we wczesnej młodości, zasadom, które przekonująco formułuje jedna z postaci: „...parasol noś i przy pogodzie; nie przejmuj się zbytnio niczym, a już szczególnie polityką; gafa i nietakt gorsze od politycznej kląski; uwielbiaj piękne panie i ich ulubieńców; psy rasowe i koty; ubieraj się tylko u dobrych krawców; kupuj tylko solidne towary, bo na tandetę cię nie stać; i tak dalej". Tak pojęty konserwatyzm nie oznacza wcale ciasnego zasklepienia się w przeszłości i bałwochwalczych pień dla „dawnych, dobrych czasów" Przeciwnie, autor patrzy na nie z pewną, ledwie uchwytną, ale jednak ironią. To zresztą chyba jedyna słuszna postawa człowieka myślącego, zwłaszcza w czasach, kiedy niezwykle trudno te, wymienione już, święte i godne podziwu zasady, zachować.

Poprzez sielankową rzeczywistość przeoruje się krwawa i okrutnie historia — to u Kuśniewicza motyw częsty, ale tym razem wsparty silnie zaznaczoną nutą osobistą. Kazio spogląda na przeszłość z perspektywy zdarzeń dzisiejszych najnowszych i — z trudem stara się spękane resztki złudzeń pozlepiać na powrót w spójną całość. Oto fragment jego rozmyślań, snutych na rue de Rivoli przed pomnikiem Temidy: „Pomyślał, jak przemyśliwają często nasi z Kraju, nie mający co ze sobą począć, ani dostatecznej ilości środków, by się zabawić, ani zbytniej chęci, by zabrać się do jakiejś pracy: jakie będą przyszłe dzieje rzekomo obiektywnego, bezstronnego, równego dla wszystkich prawa? Racje mocniejszego? Łatwo zgadnąć, to przecież reguła. Ale idzie nam tu nie o fakty, ale zasady. Jakaś abstrakcja? Enigmatyczne złudzenie opieki czegoś nad kimś? Czego? Na dziś, na jutro?".

Podstawową cechą każdego prawdziwego inteligenta jest wątpić w powszechnie przyjęte mity, nadzieje, wyobrażenia, ufać zaś tylko własnemu ratio, ale te rozważania zaprawione są aż nazbyt widoczną goryczą.

Proponuję wszystkim lekturę tej opowieści, fascynującej także jako intelektualna przygoda, zawiera bowiem kilka warstw. Może ktoś sam znajdzie odpowiedź na rzucone w zakończeniu hasło „Point de reveries". Autor tej odpowiedzi nie daje wprost, bo też nie takie sobie postawił zadanie.

WITOLD JABŁOŃSKI

Andrzej Kuśniewicz, Mieszaniny obyczajowe, Warszawa 1985. PIW.

Z półki recenzenta

SUWALSKI PARK KRAJOBRAZOWY

Otrzymaliśmy kolejny (drugi z cyklu) tom poświęcony naszym narodowym parkom. Jest to „Suwalski park krajobrazowy". Piszę o tej publikacji, bowiem dziś szczególnie ostro występuje zagrożenie zachwiania równowagi ekologicznej, a tym samym zagrożenie dla człowieka i jedynie od nas zależy, czy będziemy żyć w krajobrazie drzew, krzewów i ptaków czy też na piaszczystej pustyni.

Książka, o której mowa, nie rości pretensji do publikacji encyklopedycznej, ani nie jest przewodnikiem. Ukazuje jedynie piękno i urok Suwalszczyzny, wspaniałość i niepowtarzalność flory i fauny, wielkie i jedyne w swoim rodzaju bogactwo służące narodowi.

„Suwalski park krajobrazowy" zawiera wielką ilość fotografii (w tym sporo barwnych) oraz szkice historyczne dotyczące omawianego obszaru, a także teksty prozatorskie, wiersze, poezję ludową, reportaże i wspomnienia. W sumie: jest to publikacja ważna i bardzo na czasie. Na podkreślenie zasługuje ponadto staranne przygotowanie edytorskie tego albumu, a drukarni Domu Słowa Polskiego należą się słowa uznania za druk i oprawę.

Suwalski park krajobrazowy. LSW 1985. Str. 238. Cena 1.400 zł.

CZAS PRZESZŁY NIEDOSKONAŁY

Łódzki Oddział KAW opublikował rozważania Karola Józefa Stryjskiego na temat naszej najnowszej historii, dając całości wielce znamienny tytuł „Czas przeszły niedoskonały". O czym jest ta książka? Na pewno nie jest pełnym zbiorem wiedzy o PRL. Ale jak pisze autor we wstępie „Jest raczej próbą ujawnienia bagażu własnych przemyśleń, garścią osobistych a więc skażonych subiektywizmem refleksji nad dziejami Polski Ludowej". Od siebie dodam, że lektura jednak zmusza do głębszego zastanowienia się nie nad tym co było, lecz nad przyszłością kraju leżącego między Bugiem i Odrą.

Karol Józef Stryjski: Czas przeszły niedoskonały. KAW w Łodzi 1985. Str. 160. Cena 140 zł.

HIERARCHIE I SYLWETY

Wystarczy zajrzeć do spisu treści tej książki, aby z grubsza zorientować się czego ona dotyczy. I tak, wypisuję na chybił trafił: Los Lechonia, Niezwykłości Choromańskiego, O Tadeuszu Brezie, Stanisław Piętak, Maupassant nieznany, Nasz przyjaciel Claudel, Karel Krejči...

Wojciech Natanson postawił sobie pytanie dotyczące hierarchii literackich: Jak się tworzą? Na jakich opierają się kryteriach? Jak się przekształcają? Jak trwają? Odpowiada — czy wyczerpująco? — na 226 stronicach swojej najnowszej publikacji noszącej tytuł „Hierarchie i sylwety".

Wojciech Natanson: Hierarchie i sylwety. LSW 1985. str. 226. Cena 180 zł.

JAN HUSZCZA DLA DZIECI

Znakomity poeta, satyryk, prozaik i tłumacz Jan Huszcza napisał kilkanaście wierszy dla najmłodszych, które zilustrowała Zenona Plonk, a starannie wydał Łódzki Oddział Krajowej Agencji Wydawniczej, za co należą się tej oficynie podziękowania, bowiem książek dla dzieci ciągle jest za mało. Całość uzupełniają wiersze Maksyma Tanka i Maksyma Bohdanowicza w przekładzie Jana Huszczy. Zachęcając rodziców do kupna tej książeczki, przytoczę tytuły paru wierszy: Uwaga, zły pies! Tęcza, Po deszczu, Krzyś, Telewizor i pszczoły, Wrona i czyżyk, Zimowa przygoda.

Polecam tę dobrze wydaną książeczkę.

Jan Huszcza: Wierszyki z różnych półek. KAW w Łodzi 1985. Str. 24. Cena 70 zł.

Ballada mroczna i okrutna

Dwudziestowieczny dramat hiszpański jest rzadkim gościem na polskich scenach. Byłby prawie nieobecny, gdyby nie spuścizna po *Federiku Garcii Lorce* (1898—1936), którego *Krwawe gody*, *Dom Bernardy Alba* i *Czarująca szewcowa* weszły trwale do kanonu repertuarowego naszych teatrów. Każda z tych sztuk miała u nas po wojnie po kilkanaście realizacji scenicznych.

W Łodzi dwa dramaty Garcii Lorki wystawił po raz pierwszy Teatr Wojska Polskiego za dyrekcji *Leona Schillera* w odstępie półrocznym. Premiera *Krwawych godów* odbyła się 16 grudnia 1948, a *Domu Bernardy Alba* — 10 czerwca 1949. Oba przedstawienia reżyserował *Józef Wyszomirski*. Po ten drugi dramat sięgnął ponownie w dziesięć lat później Teatr Nowy (premiera: 18 lutego 1959), powierzając jego reżyserię *Jerzemu Uklei*. W roli tytułowej wystąpiła *Wanda Jakubińska*. Dwukrotnie oglądała także Łódź *Czarującą szewcową*, w Teatrze Powszechnym i w Teatrze Jaracza.

Nas — w obliczu nowej inscenizacji w Teatrze Powszechnym — szczególnie interesują rzecz prosta realizacje *Domu Bernardy Alba*. Premiera w Teatrze Wojska Polskiego przypadła na sam schyłek ery schillerowskiej w Łodzi. Chyba z tego powodu odbyło się zaledwie pięć przedstawień. Nieco więcej, bo 22 razy, zagrał sztukę Teatr Nowy, ale i to przecież bardzo niewiele. Zawiniła, jak głoszą przekazy krytyczne z tamtego czasu, mało drapieżna, anemiczna reżyseria. Niezbyt pomocny był chyba także przekład *Jana Winczakiewicza*, nie współbrzmiący z poetyckim pięknem oryginału.

Słowem nie mamy dobrej tradycji w wystawianiu *Domu Bernardy Alba*. Nowy kształt sceniczny, w jaki przyoblekł sztukę *Adam Hanuszkiewicz* w Teatrze Powszechnym, jest swego rodzaju przełomem, ambitną próbą dokopania się w dramacie Garcii Lorki tkwiących tam wartości ideowych i teatralnych.

Doświadczony reżyser zaczął działanie od warstwy literackiej. Sztuka weszła w próby w nowym przekładzie *Jarosława Marka Rymkiewicza*. Znany poeta, translator i imitator klasycznej literatury hiszpańskiej (Calderoni), gwarantował właściwy poziom poetycki tekstu. Przysłuchując się pełnym uroku frazom wypowiadanym ze sceny, możemy się rozsmakować w dramacie Garcii Lorki, choć problematyka utworu jest nam zdawałoby się tak odległa (czy rzeczywiście? Do tematu jeszcze wrócimy). Należy wyrazić w tym miejscu wdzięczność Rymkiewiczowi za przekładowy majstersztyk na miarę oryginału.

Do opracowania scenografii spektaklu zaprosił Hanuszkiewicz już tradycyjne *Xymenę Zaniewską* i *Mariusza Chwedczuka*. Z tym duetem pracował swego czasu w Telewizji Warszawskiej, porozumienie między artystami całkowite. Sceneria przedstawienia zsynchronizowana jest w pełni z koncepcją reżyserską, tworzy mroczny monolit, konsekwentny w każdym szczególe.

Tu czas przejść do omówienia reżyserskich założeń i ich realizacji. Napisałem wyżej, że problematyka *Domu Bernardy Alba* jest nam odległa tylko pozornie. Rodzajowość wsi andalużyjskiej i straszliwy obyczaj matriarchalny stanowi dla nas egzotykę. Ale w czym tkwi z reguły smak egzotyki? W uczuciu bezpieczeństwa i komfortu, które pozwala widzowi nie angażować się w obce, dalekie, choć malownicze sprawy. Czy tak jest i w przypadku historii o okrutnej Bernardzie i jej pięciu zniewolonych córkach? Chyba nie. Prawda, że zamiana domu żałoby w więzienie dla kobiet, straszliwą klauzurę, do której za jednym wyjątkiem nie ma z woli matki dostępu żaden mężczyzna, to fakt patologiczny. Czy jednak nie może on egzemplifikować zjawisk o szerszym znaczeniu? Domostwo Bernardy służyć może za klasyczny przykład ujarzmienia umysłów, narzucania im cudzej woli wbrew naturze, okaleczania psychicznego, popychania w obsesję.

W tym właśnie kierunku idzie odczytanie tekstu Garcii Lorki przez Hanuszkiewicza. Pojemną aluzją obejmuje reżyser wszelkie formy ucisku. Nasycenie seksem i erotyką ścian, w których rozgrywa się akcja sztuki, jest więc obrazem oporu, jaki w oczywisty sposób rodzi się w jednostkach ciemiężonych. Gdy taki podtekst podłoży się pod strofy Garcii Lorki, nieugiętego bojownika o wolność i godność ludzką, wówczas ofiara życia Adeli po krótkim lecz dogłębnym zachłyśnięciu się wolnością nabiera cech symbolicznych. Ta interpretacja każe zapewne Hanuszkiewiczowi nadać śmierci Adeli charakter religijnej ekstazy.

Taka jednorodna motywacja reżyserska, bardzo efektowna w pomyśle, prowadzi siłą rzeczy do pewnych uproszczeń psychologicznych. Gdzie króluje doktryna, tam nie ma miejsca dla psychologicznych niuansów. Ofiarą takiego odczytania dramatu pada przede wszystkim postać tytułowa. Bernarda Alba sprowadzona zostaje do aufzejerki z obozu koncentracyjnego, tracąc swoją wewnętrzną złożoność.

Można by wprawdzie zadać pytanie, czy do tak świadomie amputowanej z wszelkich subtelności roli należało angażować na zasadzie występów gościnnych najlepszą aktorkę dramatyczną, jaką dysponuje dziś teatralna Łódź — *Ewę Mirowską*. Zdyscyplinowana wykonawczyni podporządkowuje się idei nadrzędnej przedstawienia, ale nie znajduje w tym ujścia dla swego pełnego, dojrzałego aktorstwa. Po prostu Bernarda Alba przestaje być z woli reżysera główną postacią spektaklu, pełni tylko funkcje stałego zagrożenia, na którego tle dojrzewa dramat jej córek. Wyrobionego widza, który wybierze się do teatru *na Mirowską*, czeka więc rozczarowanie.

Posępny korowód córek Bernardy — niby obozowe Kommando — tworzą: *Ilona Bartosiewicz* (Augustias), *Ewa Harasimowicz* (Magdalena), *Julitta Sękiewicz* (Amelia), *Barbara Szcześniak* (Martirio) i *Magdalena Cwenówna* (Adela). Stanowią one rozpisany na głosy, zindywidualizowany chór, przepojony wszakże jednym pożądaniem, któremu na imię mężczyzna.

Nieco zróżnicowana jest sytuacja Augustias, która ma narzeczonego i za zgodą matki może się z nim spotykać. Jednak świadoma jest ona, że młodszy od niej znacznie chłopak kieruje się tylko rachubą na posag.

Z kolei Adela nie podporządkowuje się zakazowi matki i oddaje się kochankowi. Ten akt w interpretacji aktorki sublimuje się, traci charakter seksualnego ekscesu i staje się płomiennym protestem przeciw ujarzmieniu. Reakcja innych sióstr, które dokonują na niej samosądu, świadczy o ich niskim poziomie świadomości, nie pozwalającym zrozumieć, że Adela walczy o ich wspólną sprawę.

Nową inscenizację Domu Bernardy Alba zaliczyć należy z pewnością do ciekawszych wydarzeń bieżącego sezonu teatralnego w Łodzi. Nie podzielony na akty spektakl (choć w oryginale sztuka posiada ich trzy) tworzy sugestywną i jednorodną jakość sceniczną.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Frederico Garcia Lorca, Dom Bernardy Alba (La casa de Bernarda Alba); przekład: *Jarosław Marek Rymkiewicz;* reżyseria: *Adam Hanuszkiewicz;* scenografia: *Xymena Zaniewska* i *Mariusz Chwedczuk;* Teatr Powszechny w Łodzi, premiera 22 lutego 1986.

Poemat to jak obraz

„Ut pictura poesis" — to słynne sformułowanie Horacego wpisane w świadomość literacką dwudziestego wieku, nadawałoby się znakomicie na określenie kształtu większości utworów Anny Pogonowskiej. Autorka, posiadająca w swoim dorobku kilkanaście tomików, prezentuje — począwszy od debiutanckich „Węzłów" z 1948 roku — podobne koncepcje artystyczne i niemal niezmienną optykę poetycką. Poznanie świata, zdolność jego ogarnięcia i opisu w kategoriach liryki opiera głównie na odbiorze zmysłowym, za którego podstawę przyjmuje kontakt wizualny. Między innymi, właśnie z faktu uprzywilejowania percepcji wzrokowej wynika obrazowość tej poezji.

Pogonowska śmiało korzysta z doświadczeń swych poprzedników, posługując się swobodnie ich zdobyczami formalnymi, że wskażę tylko na morfologię metafory czy niedyskursywny tok przekazu lirycznego. Obecność tych elementów, zupełnie nieprzypadkowa — jeśli weźmiemy pod uwagę dużą autorską świadomość źródeł inspiracji, ujawnia pewne trwałe pokrewieństwa artystyczne. Największe kręgi oddziaływań zakreśla we współczesnej poezji polskiej niewątpliwie romantyzm i dlatego fakt, że twórczość Pogonowskiej znalazła się w ich promieniu absolutnie nie dziwi. Podobnie sprawa wygląda z symbolizmem, którego echa raz po raz odzywają się dzisiaj w najnowszych pozycjach literackich. A zatem demaskowanie Norwidowskich czy Leśmianowskich filiacji nie prowadzi do błędów merytorycznych, ale utrudnia wskazanie pokrewieństwa najistotniejszego. Anna Pogonowska jest bowiem nade wszystko spadkobierczynią europejskiej i rodzimej awangardy. Przynajmniej w aspekcie formalnym (mam tu na myśli głównie sposób narracji) nie podlega to żadnej dyskusji.

Ostatni zbiór wierszy Pogonowskiej zdaje się potwierdzać zarówno tę tezę, jak i większość sądów ferowanych w stosunku do jej dotychczasowych dokonań. Jego zawartość nadaje rangę precedensu niezwykłej stałości, z jaką poetka realizuje założenia wyjściowe. Wzorem poprzednich propozycji, świat przedstawiony w tym najnowszym tomiku ma charakter postrzegalno-wyobrażeniowy, a nie symboliczno-pojęciowy, choć i tutaj zaznacza się, widoczna mniej więcej już od schyłku lat sześćdziesiątych, pewna polaryzacja obu poetyk. Obejmuje ona jednak marginalny obszar materii lirycznej, podczas gdy w większej części autorka pozostaje wierna pierwotnej strategii poetyckiej. Rzuca to światło na zaskakujący zwrot w kierunku dyskursywności wiersza, jaki miał miejsce w zeszłym dziesięcioleciu. Zaowocował on książką „Wizerunek", choć mówiąc nawiasem, zapowiedzi takiej reorientacji tkwiły już w „Ceremoniale" z 1969 roku. Tendencja ta, przynosząc wprawdzie nowe doświadczenia artystyczne, uległa jednak wytłumieniu. Anna Pogonowska z dużym wyczuciem wybrała tylko elementy najbardziej wartościowe i najlepiej harmonizujące z, wypracowanym podczas sporej już literackiej drogi, kształtem własnej twórczości. Powyższa konkluzja może w jakimś stopniu ułatwić zrozumienie zagadkowego zjawiska, że autorka tak często i chętnie odwołująca się do zmysłów, osiąga przy tym efekt emocjonalnej powściągliwości i dyscypliny intelektualnej na miarę pozeji Wisławy Szymborskiej czy Ewy Lipskiej.

Problem sensualnego charakteru wierszy Pogonowskiej został uprzednio tylko zasygnalizowany. Teraz pragnę nawiązać do rozważań wstępnych, uściślić je i pokusić się o próbę podsumowania. Jak już stwierdziłem, wzrok dominuje w tej poetyce nad innymi zmysłami, co jest zresztą zgodne z prawami teorii poznania. Taka struktura odbioru rzeczywistości oraz kreacji świata przedstawionego prowadzi niejednokrotnie do ograniczania udziału pozostałych receptorów. Literackim odpowiednikiem tego procesu staje się wykorzystanie chwytu synestezji. Pojawia się on u autorki „Albo i albo" w zawoalowanej i dość osobliwej postaci, niemniej jednak w niektórych wierszach bywa całkiem czytelny.

Pogonowska już w pierwszym okresie twórczości zamanifestowała swój chrześcijanizm. „Przemiany" z 1951 przyniosły sporo takich wierszy-deklaracji. Zaletą książki „Albo i albo" jest to, że w niej zaznacza tę postawę najsubtelniej, posługując się tylko sugestią lub aluzyjnym nawiązaniem. Tak należy chyba potraktować wiersz „Oświecenie", przynoszący odległe skojarzenia z iluministyczną filozofią św. Augustyna.

W utworach podejmujących motywy przyrody sprawdza się najlepiej „plastyczna" metafora poetki. Zachwycona naturalnym krajobrazem autorka kontempluje piękno najdrobniejszych jego szczegółów. Wykazuje przy tym ogromną wrażliwość na przypadkowy i nietrwały mikropejzaż, którego niepowtarzalną ornamentykę próbuje utrwalić. Taka optyka determinuje niejako niechętny stosunek do miasta, rychło przeradzający się w programowy antyurbanizm. Wiersze pisane w tym duchu zawsze, moim zdaniem, należały do najsłabszych osiągnięć Pogonowskiej, ale te pomieszczone w tomiku „Albo i albo" wydają mi się już zupełnie chybione.

W omawianym zbiorze można wyróżnić kilka małych cykli, z których najwyraźniej wyłaniają się trzy: grupa jednozwrotkowych utworów bez tytułów, obdarzonych potężnym ładunkiem liryzmu, dalej zestaw monochromatycznych szkiców ze szpitala (kolor różowy nie pełni w nich, wbrew pozorom, funkcji barwy, lecz oznacza kategorię uczucia — nadziei), wreszcie cykl „pocztówkowy", będący zapisem z licznych podróży poetki.

Ogółem, blisko osiemdziesiąt wierszy zawiera ostatnia książka Anny Pogonowskiej — „Albo i albo". Zważywszy, że są to w większości utwory bardzo dobre, dostatecznie dużo, by po tę pozycję sięgnąć.

PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ

Anna Pogonowska: „Albo i albo". PIW, Warszawa 1985, s. 96, cena 60 zł.

Po wizycie izraelskiego baletu

Pierwszy impuls: choreografia

Wprawdzie zespół baletowy Bat-Dor Dance Company nie jest w Izraelu zespołem najstarszym, ani też pewnie największym, ale, jak wynika z miarodajnych informacji, jest nieformalnie zespołem reprezentacyjnym tego kraju, odbywającym liczne podróże po świecie. W Polsce gości Bat-Dor po raz pierwszy.

Kieruje nim od samego początku tj. od 1967 r. Jeanette Ordman, sprawująca zarazem funkcję pierwszej solistki zespołu, który pod jej kierownictwem zwerbował wielu utalentowanych tancerzy i zapewnił sobie współpracę znakomitych zagranicznych choreografów, dzięki czemu w ciągu dwudniowych występów Bat-Dor zawierających w łącznym programie osiem utworów, mogliśmy zapoznać się z dziełami również ośmiu choreografów.

Podstawą wyszkolenia tancerzy Bat-Dor jest klasyka, mają oni jednak, jak mogliśmy się przekonać, świetne opanowanie techniki tańca współczesnego. A oto wrażenia z występów izraelskich tancerzy według kolejności prezentowanych utworów, przy czym, zgodnie z drukowanym programem, nazwiska choreografów podawane są przed nazwiskami kompozytorów.

IMPLOZJA. Choreografia **Matthew Diamond**, muzyka — **Igor Strawiński:** „Symfonia w trzech częściach". Na tle motorycznej muzyki ożywają, eksponowane światłami, poszczególne grupy tancerzy, ustawionych w głębi sceny w równej linii, każda z trzech grup zademonstruje z wielką precyzją swój odrębny repertuar ruchowy a gdy wzrok obejmuje całość, wtedy każdy tancerz wykonuje odmienne zadania, co dzięki idealnemu zgraniu rytmicznemu daje poczucie zbiorowego ładu panującego nad indywidualnym niepokojem. W drugiej części w skupionym nastroju obserwujemy pełne wewnętrznego napięcia pas de deux, a w trzeciej obojgu partnerom zagrażają nieprzyjazne działania grupy męskiej i żeńskiej, zakończenie jednak ma symboliczną wymowę przetrwania miłości. Co uderza w koncepcji choreografa, to kontrast (a może niespójność) pomiędzy przekazywaniem muzyki w pierwszej części przez ściśle formalne jej odpowiedniki w układzie ruchowym tańca, a nasyceniem treścią, omalże anegdotą, części następnych. Znakomicie odtańczyła swoje zadania para tancerzy Patricia Aharoni i Philip Salvatori.

OTELLO. Dramatem miłości i tragicznej w skutkach zazdrości miał być chyba w założeniu utwór pt „Otello", z choreografią **Johna Butlera** do Uwertury do „Otella" **Antonina Dworzaka.** Jednak czy to wskutek zamysłów choreografa, czy inspiracji muzycznej czy wreszcie wskutek stylu wykonania, zwłaszcza przez Desdemonę **(Jeanette Ordman)** dominowała konwencja melodramatyczna, choć zarówno Otello **(Reda Sheta)** jak i Jago **(Philip Clyde)** wykazali się dużymi umiejętnościami tanecznymi i interpretacyjnymi (zwłaszcza Clyde). Utwór całkiem świeży (premiera 1982) w ogólnym jednak wyrazie prezentujący się niezbyt świeżo.

Z kolei nastąpiły CANTARES (Pieśni) z Baletu „Iberica" w choreografii **Oscara Araiz** do muzyki **Maurycego Ravela:** „Rapsodia hiszpańska". Na tle nasyconego błękitu południowego nieba dziewięć postaci kobiecych w powłóczystych i zarazem powiewnych szatach. Lekkość i wdzięk, powściągana namiętność, przekazywanie niuansów nastroju utworu muzycznego, wszystko to zaowocowało artyzmem wysokiej próby. Z całej świetnej grupy wymieńmy pierwszą z programu **Miriam Paskalsky.**

Na koniec wieczoru postanowiono uraczyć widzów utworem nieco lżejszego rodzaju, jak to nieraz bywa w zwyczaju składanych programów baletowych. Wykorzystano zarówno nagrania piosenek Edith Piaf w jej wykonaniu, jak i przede wszystkim mit jaki powstał wokół tej znakomitej artystki. PIAF VAUDEVILLE. Choreografia, **Rodney Griffin,** muzyka — piosenki **Edith Piaf**

Bohaterka, zwrócona była tyłem do widowni rzeczywistej a twarzą do widowni wyimaginowanej, którą markowały umieszczone w głębi sceny światła rampy, stamtąd też dobiegały nagrane na taśmę zapowiedzi (być może autentyczne) występów słynnej piosenkarki, stamtąd też po każdej piosence, czyli po każdym ilustrującym ją tańcu czy to Jeanette Ordman czy jej partnerów, którzy odtwarzali postacie mężczyzn z życia Edith Piaf, rozlegał się grzmot oklasków i nie wiadomo było czy oklaski słyszalne są z taśmy czy też rozlegają się na widowni Teatru Wielkiego.

Utwór skomponowano zgrabnie, choreograf stworzył duże możliwości popisu dla doskonałych zresztą tancerzy zespołu, a kierowniczka artystyczna i primabalerina w jednej osobie czyli p. Ordman, tancerka niewątpliwie wielce zasłużona dla sztuki baletowej Izraela, ofiarnie wzięła na siebie wszystkie trudy interpretacji, otoczonej nimbem postaci Edith Piaf.

Po tak, jak opisałem, przeżytym pierwszym wieczorze, nie obiecywałem sobie samych wspaniałości w programie drugim, choć zarówno „Implozja", jak i „Cantares" ujawniły wielkie możliwości zespołu. Powiem od razu, że drugi wieczór był w całości niezwykle udany, co świadczy dowodnie o tym, ile znaczyć może choreografia.

IN AND OUT (Wewnątrz i na zewnątrz). Choreografia — **Hans van Mannen, realizacja — Mea Venema, muzyka Laurie Anderson i Nina Hagen** Utwór nasycony znaczeniami, trudnymi jednak i ryzykownymi w odczytywaniu. Bo czy wolno nam kojarzyć pionowo ustawione kabiny, natłoczone ludźmi, ze złowieszczymi prysznicami w obozach zagłady? W każdym razie utwór pełen jest niepokojów, na przemian z pogodniejszymi nastrojami, jest dynamiczny i ekspresyjny, z nieustannym, bardzo sprawnym przemieszczaniem się grup wykonawców, trzyma w napiętej ciekawości: co będzie dalej... INTEGRAL DANCES (Tańce integralne). Choreografia — **Choo San Goh,** muzyka — **Georg Telemann:** „Uwertura C—dur na trzy oboje, smyczki i organy". Zdecydowana intencja wyrażenia formy muzycznej przez odpowiedniki ruchowej formy, stąd może wrażenie trochę „zabawy" w taniec, a trochę jakby „etiudy". W całym utworze ogromna różnorodność repertuaru ruchowego, świadcząca o wielkiej pomysłowości choreografa, z odczuciem naturalności stosowanych środków.

MEDYTACJE. Choreografia — **Igal Perry,** muzyka — **Leonard Bernstein:** „Chichester psalms". Muzyka chyba nieco eklektyczna, ale silnie pobudzająca wyobraźnię bogactwem harmonii i instrumentacji, nieoczekiwanymi zderzeniami nastroju, np. sola głosu chłopięcego skontrastowanego z ostrym krzykiem męskiego chóru recytującego. Pełen napięcia przebieg działań tanecznych zakończony podporządkowaniem się ludzi, w kornej postawie jakiejś potężnej mocy. Popis solistów: **Miriam Paskalsky i Moshe Goldberga.**

CLIVEN KINGDOM (Rozdarte królestwo). Choreografia — **Paul Taylor,** realizacja — **Linda Kent,** muzyka: **Arcangello Corelli, Henry Cowell, Malloy Miller.** Niełatwo wyinterpretować główny sens myślowego przesłania utworu. Pomiędzy takty muzyki dawnego mistrza zaczynają się wkradać współczesne rytmy i brzmienia, i tak będzie do końca. Wyjątkowo drastyczne zderzenie odmiennych emocji i nastrojów następuje też pomiędzy muzyką a tańcem. Na tle Corellego dwie tancerki wykonują jakieś pradawne ruchy orientalnego(?) tańca, to znów czterech tancerzy we frakach wykonuje afrykański taniec obrzędowy, słowem jakieś przedziwne i niepokojące pomieszanie stylów i epok, może jakaś wizja współczesności, wewnętrznie skłóconej. Czy też, jak sugerowałoby motto, następuje rozdarcie pomiędzy tym co w człowieku jest pozostałością zwierzęcia a nabytą kulturą? Naprawdę utwór przebogaty, dający świadectwo wymowności tańca w sferze podświadomości, niewyrażalnej dla słowa.

Jak się znów, tym razem dzięki izraelskim gościom, mogliśmy przekonać, w balecie światowym dzieje się wiele nowego za sprawą całej plejady odkrywczych choreografów, a także, jak widać, wytrawnych pedagogów. Imponuje też znakomita często umiejętność operowania światłem i wysoki poziom techniczny muzycznych nagrań.

Niestety, odstajemy dość wyraźnie od najlepszych. Czy sobie to wszyscy uświadamiamy?

JERZY KWIECIŃSKI

GUNTER GRASS

Szczurzyca (2)

(Die Rättin)

(fragmenty)

Ach, rumowiska waszych samochodów, w których ongiś dało się mieszkać. Kontenery i magazyny towarów. Skrzynki, które nazywaliście sejfami i skarbcami; leżą odblokowane: strzeżone tajemnice do kitu. My wiemy o wszystkim, tylko my! A to coście przechowywali w zroszonych beczkach, zapomniawszy o nich lub przesłali pod fałszywe adresy, odnajdujemy oto, te wasze po tysiąckroć ziejące trucizną składowiska: miejsca te odgradzamy, ostrzegając odpowiednimi zapachami nas samych, jako że tylko my zostaliśmy.

Przyznać należy: te wasze śmieci godne są nawet podziwu! I często ktoś z nas jest zdumiony, jak burze naładowane kurzem promieniotwórczym przenoszą ponad wzgórzami na równiny potężne elementy budowlane. Patrzcie, żegluje dach z włókna szklanego! W ten oto sposób wspominamy człowieczą pychę: wciąż wyżej, coraz bardziej stromo... Patrzcie, jak marnie sczeznął jego postęp!

Ja tymczasem widziałem, co wyśniłem, widziałem w tej wędrówce trzęsącą się żelatynę i taśmy filmowe, widziałem sunące żelastwo i folię unoszone podmuchem burzy, widziałem truciznę wyciekającą z beczek; i dostrzegłem ją, szczurzycę, jak ze szczytu usypiska śmieci obwieściła, iż człowieka już nie ma. Oto jest wołała, wasze dziedzictwo!

Nie, szczurzyco, ależ nie! krzyczałem. Jeszcze jesteśmy sprawni. Wyznaczyliśmy przyszłe terminy w urzędzie finansowym, na przykład u dentysty. Zarezerwowaliśmy miejsce w samolocie. Jutro jest środa, a pojutrze... Garbaty człowieczek stoi na mej drodze, mówiąc: trzeba jeszcze to i owo napisać, ażeby nasz koniec, jeśli miałby nadejść, rozważnie się odbył.

Moja dusza błąka się na wschodzie
i północy, gdzie leży Harapanda.
Co pozostało oprócz
wietrznej wyspy Gotlandii.
Jak wodorosty odbierały śledziom powietrze
makrela również belonie.

Może być, chciałbym opowiedzieć,
pragnąc słowami
odsunąć koniec,
zacząć od meduz,
więcej, coraz ich więcej,
cały ogrom,
aż morze, moje morze
jedną meduzą.

Albo rozkażę wynurzyć się bohaterom z albumów,
rosyjskiemu admirałowi, Szwedom, Dönitzowi,
komuś jeszcze, aż dość będzie
dobytku z rozbitych statków na brzegu —
burta i dzienniki pokładowe,
odliczony prowiant —
i wszyscy uczczeni co poszli na dno.

Kiedy zaś w Palmową Niedzielę ogień z nieba
pokrył miasto Lubekę wraz z kościołami,
płonął tynk domostw;
po rusztowaniu ma piąć się teraz wysoko Malskat,
malarz, żeby nam gotyk
się ostał.

Albo niech mówi, bo nie mogę wywołać
piękna, organiścina z Greiswaldu
ze swoją R., łódź przyholowała do żwirowego brzegu.
Licząc skrupulatnie, przeżyła ona
jedenastu plebanów i wciąż
radziła sobie nieźle z cantus firmus.

Teraz nazywa się, jak zwała się córka Wiclawa.
Nie powie teraz Damroka,
co usłyszała od piastugi.
Siedząc teraz na ławce przy organach
naśmiewa się z jedenastu po kolei plebanów:
pierwszy, niejaki Mucker,
przybył do Saksonii...

Zapraszam was: jakoż Anna Koljaczkowa
z Bysewa pod Firogą,
przy Materni,
ukończy sto siedem lat.
Aby uczcić jej urodziny nóżkami w galarecie,
grzybami i ciastem,
zjadą się wszyscy, gdyż
szeroko rozwidla się kaszubskie ziele.

Ci zza oceanu: przyjadą tu z Chicago.
Najdłuższą drogę mają Australijczycy.
Komu na Zachodzie nieźle się wiedzie,
zjawi się, by pokazać tym,
co zostali w Rębiechowie, Kartuzach, w Kokoszkach,
jak stoi niemiecka marka.

Pięciu ze Stoczni Lenina to cała delegacja.
Czarne garnitury zyskają błogosławieństwo Kościoła.
Nie jedynie poczta państwowa,
państwo polskie jest także obecne.
Przybędzie również nasz pan Matzerath
z szoferem i prezentami.

Ale koniec! Kiedyż nadejdzie koniec?
Wineta! Gdzie jest Wineta?
Pojawią się ci dzielni na morzu; tymczasem
kobiety okażą się równie wspaniałe.
Na wszelki wypadek poczta w butelce,
nie wiedzieć jakim kursem.

I nie staje już nadziei.
Gdyż razem z lasami,
winno się to napisać,
umierają bajki.
Tuż pod węzłem odcięto krawaty.
Wreszcie zostawiając za sobą nicość,
wycofują się mężczyźni.

Lecz gdy morze ukazało kobietom Winetę,
było już za późno. Odeszła Damroka
i Anna Koljaczkowa powiedziała: No i poszło.
Ach, co to będzie, skoro nic nie będzie!
Co wówczas wyśniła mi szczurzyca, jak zapisałem:
Nowa Ilsebill jak szczur zeszła na ląd.

Gdy w październiku dziewięćdziesiątym dziewiątym u szkunera Adolfa Junga obstalowano „Dorę", stalowy statek (ewer) z drewnianym dnem, spłynął na wodę w marcu 1900 w stoczni Wewelsfleth, ani przypuszczał jego właściciel Ryszard Nieckels, co może się wydarzyć ze statkiem przystosowanym do żeglugi na wodach hamburskiej śluzy Graskeller, zwłaszcza w naszym stuleciu, które hucznie zapowiadane i nieociosane, wychynęło się na światło dzienne z wypchanymi torbami, jakby chciało kupić świat.

Statek był długi prawie osiemnaście metrów i szeroki cztery siedemdziesiąt. Wyporność „Dory" trzydzieści-osiem-przecinek-pół BRT, nośność wynosiła siedemdziesiąt ton, zarejestrowano jednak sześćdziesiąt pięć. Statek towarowy odpowiedni do przewozu zboża i bydła rzeźnego, materiałów budowlanych i cegły.

Przewoźnik Nieckels pływał z ładunkiem nie tylko po Elbie i na wschód od niej, odwiedzał również niemieckie i duńskie porty wysoko aż po Jutlandię a i porty pomorskie. Przy sprzyjającym wietrze pokonywał cztery węzły na godzinę.

W 1912 „Dora" została sprzedana przewoźnikowi Janowi Henrykowi Jungclausowi który statek bez żadnego uszczerbku utrzymał przez pierwszą wojnę światową, a w roku dwudziestym ósmym, w okresie marki rentownej, kazał wbudować silnik o mocy 18 KM. Zamiast Wewelsfleth miał teraz na rufie Krautsand jako port macierzysty: białymi literami na czarnym tle. Zmienił się napis, kiedy Jungclaus sprzedał statek przewoźnikowi Pawłowi Zenzowi z Cammin nad Zalewem Kamieńskim, z małego miasta na Pomorzu, które obecnie nazywa się Kamień Pomorski.

Tamtejszym „Dora" wcale się nie spodobała. Pomorscy przewoźnicy wybrzydzali, wyrażali się o niej jak najgorzej ze względu na płaskie dno statku przyrównując je do łopaty. Nadal „Dora" przewoziła zboże, węgiel, bydło rzeźne, ale także drzewo budowlane, cegłę, dachówkę, cement; do drugiej wojny światowej budowano przecież wiele: koszary, obozy barakowe. Teraz właścicielem „Dory" był Otto Stöhwase, a na rufie widniał jako port macierzysty Wolin; tak nazywa się miasto i port, które z wyspą Uznam leżą przed wybrzeżem pomorskim.

Kiedy od stycznia do maja roku czterdziestego piątego duże i małe statki, przepełnione cywilami i żołnierzami, płynęły po Bałtyku i nie wszystkie z nich dobiły do portów Lubeki, Kilonii, Kopenhagi i innych miast zachodnich, na pokładzie „Dory", wkrótce przed ofensywą Drugiej Armii Radzieckiej w kierunku Bałtyku, znaleźli się uciekinierzy z Gdańska, którzy chcieli dostać się do Stralsundu. Było to wtedy, gdy zatonął „Gustloff". To było wtedy, gdy w Zatoce Neustadzkiej spłonęła „Cap Arcona". Było to wtedy, gdy wszędzie i nawet do wybrzeży neutralnej Szwecji nadpływało nieprzeliczone mrowie zwłok; nie wszyscy z żyjących wierzyli w ocalenie, nazywając dlatego koniec, jak gdyby nic przed tym się nie stało, godziną zero.

W dziesięć lat potem, podczas gdy wszędzie panował uzbrojony pokój, ciągle jeszcze o tej samej długości i szerokości statek „Dora", wyposażony w silnik o mocy 36 KM przez nowego właściciela, firmę Koldewitz na Rugii, nazywał się teraz „Ilsebill": przypuszczalnie w nawiązaniu do dolnoniemieckiej bajki, której brzmienie było wspaniałe — gdzie wszędzie w Niemczech, a więc także na wyspie Rugii, zbierano bajki.

Imię żony rybaka, która od mówiącej piastugi pragnęła mieć coraz więcej i więcej aż w końcu zapragnęła być Bogiem, „Ilsebill" służyła jeszcze długo pływając po zatokach Bałtyku, do Peenemünde i do portów śródlądowych, aż w końcu lat sześćdziesiątych, kiedy wciąż jeszcze panował pokój pod bronią postanowiono ją przeznaczyć na wrak i w porcie Warthe na wyspie Uznam zatopić zamiast fundamentu pod molo. Stalowy kadłub, którego rufę zdobiła nazwa miasta Wolgast jako portu macierzystego, miał być zatopiony.

Nie doszło do tego, ponieważ na bogatym Zachodzie, któremu przegrana wojna przyniosła w zamian szczęście, znalazła się kupcowa, pochodząca z Greiswaldu, drogą zaś okrężną przybyła do Lubeki, a darząc sentymentem pomorską starzyznę, obojętnie jaką, czy z Rugii, albo jak ten stalowy bezmasztowy statek z drewnianym dnem w inne miejsce przemieszczoną — w każdym razie kupcowa ta poszukiwała takiej coraz już rzadszej łodzi z dennym włókiem.

W końcu po przewlekłych pertraktacjach kupcowa uparta jak jej ziomkowie, nabyła ów statek za twardą zachodnią walutę od

Rys. Günter Grass

Niemieckiej Republiki Demokratycznej jako ostatniego właściciela; odholowanie statku kosztowało drożej aniżeli kupno.

Długo stała „Dora" jako „Ilsebill" w Travemünde. Czarny kadłub i przedni maszt, błękitno-biała sterówka i pozostałe nadbudówki. W ciągu długich weekendów i tygodniowych urlopów nowa właścicielka, którą lubię i chcę nazywać Damroka, szorowała, czyściła, malowała swój statek, aż, chociaż z zawodu była organiścina i od młodości rękoma i nogami oddawała cześć Bogu i Bachowi, pod koniec lat siedemdziesiątych zdobyła patent na prowadzenie statku w żegludze przybrzeżnej. Zostawiła organy wraz z kościołem i plebanami, wyzwoliła się z muzycznej pańszczyzny i zwana nadal kapitanem Damroką, acz jej statek częściej przebywał w porcie niż był na morzu, stała zamyślona na pokładzie, jak zrośnięta ze swoim zawsze niepełnym kubkiem kawy.

Dopiero na początku lat siedemdziesiątych Damroka powzięła pewien plan, który po próbnej żegludze po Zatoce Lubeckiej i w pobliże Danii, od końca maja tego roku — według chińskiego kalendarza jest to rok szczura — ulegnie zmianie.

Ów w roku 1900 zbudowany statek, który wielokrotnie zmieniał właścicieli i porty macierzyste, stracił bezanmaszt, a po ostatniej przebudowie otrzymał silny motor Diesla, obecnie przerobiony w porcie Travemünde na statek badawczy o nazwie „Nowa Ilsebill" ma realizować program badawczy z kobiecą załogą. W przedniej części została odgrodzona ścianą z desek wąska przestrzeń na sypialnię. Rozbudowane na kształt szafy, w dziobie wydzielone miejsce przeznaczone na worki żeglarskie, roboty szydełkowe i punkt pierwszej pomocy. W śródokręciu ładownia z długim stołem w przyszłości ma służyć badaniom. Nad maszynownią z nowym motorem o mocy 180 KM znajduje się sterówka, altanka z drewna z oknami wychodzącymi na wszystkie strony, poszerzona o małą kuchnię w kierunku rufy; raczej przegroda niż kambuz.

Od pięciu kobiet aż ludno: wąski i skromnie zamieszkany jest pokład. Wszystko funkcjonalne: stół do badań pełni rolę stołu jadalnego. „Nowa Ilsebill" ma pływać po federacyjnych, duńskich, szwedzkich wodach nabrzeżnych, i jeśli otrzyma pozwolenie — wzdłuż brzegów NRD. Zadanie badawcze zaprogramowano: trzeba dokonać dokładnych pomiarów gęstości występowania meduz w zachodniej części Bałtyku, gdyż zjawisko to w Morzu Bałtyckim wzrasta nie tylko statystycznie. Cierpią na tym kąpieliska, ponadto pewien gatunek meduz, które pożywiają się planktonem i larwą śledziową, przynosi szkody rybołówstwu. Instytut Badań Morskich w Kilonii zlecił dlatego taki program badawczy. Oczywiście, środki są, jak zwykle, niewystarczające. Oczywiście nie chodzi o zbadanie przyczyny, lecz o ustalenie stopnia fluktuacji zasobów. Oczywiście wiadomo już teraz, że dane uzyskane z pomiarów będą kiepskie.

Tak mówią kobiety na pokładzie, skore do śmiechu, do sportu, uszczypliwe języczki jadowicie kłujące; najmłodsze jeszcze nie posiwiały. Już przy wyjściu statku — w tyle molo z machającymi turystami — dziób rozpruwa gęstwę meduz, która zwiera się za rufą.

Do tych rejsów piątka kobiet, jak się spodziewam, musiała solidnie się przygotować. Potrafią robić węzły. Spuszczanie kotwicy, cumowanie idzie im jak z płatka. Z utrzymaniem wytyczonego kursu radzą sobie raz lepiej, raz gorzej. Biorą kurs po marynarsku. Pani kapitan Damroka kazała oprawić swój patent w ramkę ze szkłem i wisi on w sterówce. Poza tym żadnego obrazka, co by mogło kojarzyć się z ozdobnym wystrojem, za to echosonda obok starego kompasu i barometru.

Wprawdzie wiadomo, że Morze Bałtyckie jest zachwaszczone wodorostami, zarośnięte morską trawą, nasycone w nadmiarze meduzami, na powierzchni jak żywe srebro, zawierające ołów i co tam jeszcze, musi być jednak zbadane, gdzie czego więcej lub mniej, gdzie to nie występuje, gdzie szczególnie jest zarośnięte, nasycone, i to bez względu na wszystkie szkodliwe substancje, które należy określić. Dlatego statek badawczy został wyposażony w instrumenty pomiarowe, z których jeden nazywa się „rekin-miara", żartobliwie przezwany „licznikiem meduz". Oprócz tego mają być zmierzone, zważone, określone występujące zasoby planktonu i ikry śledziowej i innych organizmów, które pożera meduza. Jedna z kobiet jest specjalistką w tej dziedzinie. Zna wszystkie dane z wcześniejszych pomiarów i biomasę zachodniego Bałtyku z dokładnością do przecinka. Na tym papierze będzie figurować jako specjalistka.

Przy słabym wietrze północno-wschodnim statek badawczy trzyma kurs. Spokojne jak morze i pewne jego tajemnic wykonują swoje marynarskie prace. Powoli, ja tak chcę, przyzwyczajają się nazywać siebie wedle spełnianej funkcji i wołają „Hej, maszynistko!", albo „Gdzie podziewa się specjalistka?". Tylko najstarszą z kobiet, choć zajmuje się kuchnią, będzie nazywał Starą.

Jeszcze nie był wypróbowany rekin-miara. Sporo czasu na snucie opowieści. W odległości trzech mil od kąpielisk wybrzeża holsztyńskiego pani kapitan opowiada sternikowi z zamierzchłej przeszłości, jak to przez siedemnaście lat była wierna swojej parafii i przeżyła jedenastu po kolei plebanów. Na przykład pierwszemu — „To był niejaki Mucker, przybył z Saksonii" — który wygłaszał za długie kazania, skracała je chorałem „Dość jest". Ponieważ sternik uśmiecha się w głębi duszy i z natury pozostaje zgorzkniała, Damroka skraca te historie i uśmierca pierwszego z jedenastu klechów po nagłym upadku z nawy organowej: „Pozostało tylko jeszcze dziesięciu"...

Nie, powiada wyśniona przeze mnie szczurzyca, takiego bajdurzenia mamy po same uszy. Raz to było i się nie odstanie. Czarne na białym wszystko stoi zapisane, Gówniane mędrkowanie i kościelna łacina. Po naszemu, utuczyć się z tego można, przeżreć do uczoności. Te spleśniałe pergaminy, oprawne w skórę foliały, wydania zbiorowe naszpikowane fiszkami i przemądrzałe encyklopedie. Od D'Alemberta do Diderota, wszystko jest nam znane; święte oświecenie i wstręt poznania po nim. Każda eliminacja ludzkiego rozumu.

Jeszcze dawniej, za czasów już Augustyna, byłyśmy nadsyte. Od Sankt Gallen do Uppsali — nie było klasztornej biblioteki, z której byśmy nie czerpały wiedzy. Jakiekolwiek znaczenie mogłoby mieć określenie szczuroczytelnik, jesteśmy oczytane, w czasach głodu cytaty były dla nas omastą, my znamy wybornie literaturę piękną i fachową, nas sycili przedsokratycy i sofiści, scholastycy! Ich zawiłe zdania złożone, które bez przerwy skracaliśmy, były zawsze strawne. Przypisy, ach cóż za wyśmienita przekąska! Dla nas od zarania rozgarniętych, rozprawy i traktaty, ekskursy i tezy były po wielekroć ucieszne.

Och, wasz pot dobywający się przy myśleniu i rzeka atramentu! Ileż papieru zaczerniono, żeby wesprzeć wychowanie rodzaju ludzkiego! Pisma polemiczne i manifesty. Spotęgowane słowa i sylaby. Rachowano stopy wersu i interpretowano sens. Jakież przemądrzalstwo. Nie pozbawiony był człowiek wątpliwości. Jednemu słowu przeciwstawiano siedem. Spór o to, czy Ziemia jest okrągła a chleb rzeczywiście jest ciałem Pana, rozlegał się ze wszystkich kazalnic. Zwłaszcza kochałyśmy teologiczne waśnie. W istocie można było czytać Biblię tak i owak. I opowiadała szczurzyca, która ani słyszeć chciała o Damroce i jej plebanach, co zapamiętała z okresu żarliwej wiary przed i po Lutrze: kłótnie mnichów i spory teologów. I wciąż szło o prawdziwe słowo. Naturalnie raz po raz mówiono o Arce Noego; w moim śnie podciągnęła ona Arkę, jak żądał Bóg, do trzech pięter.

Tak! zawrzeszczała, powinien był nas zabrać do swojej skrzyni z drzewa jodłowego. W pierwszej księdze Mojżesza nie stoi zapisane: szczury precz! Mógłże nawet wąż, co stało wydrukowane do czytania jako że jest wyklęty spośród bydła i wszystkich zwierząt na ziemi, ich dwojga — wąż ze swoją samicą — znaleźć się w drewnianej skrzyni? Oszustwo to było! Złożyliśmy odwołanie, wciąż protestujemy.

Zmuszony byłem patrzeć na ruchome obrazki odwijające się w widzeniu sennym, jak Noe nakazał wprowadzić przez kładkę do wielopiętrowej arki po siedem par czystych zwierząt, po parze nieczystych. Rozkoszował się swoją menażerią jak dyrektor cyrku. Żadnego rodzaju nie zabrakło. Nie zapomniał nawet dżdżownicy i robakowej, a wszystko zaś tupało, kłusowało, podskakiwało, przemykało się, dreptało, pełzało, fruwało. Uciekali parami: wielbłąd i słoń, tygrys i gazela bocian i sowa, mrówka i ślimak. I również parami pies z kotem lis z niedźwiedziem, nieprzeliczone gryzonie: popielice i myszy, przy tym ależ tak — myszy leśne, polne, pustynne, domowe i skoczki. Atoli ilekroć tylko szczur ze szczurzycą chcieli włączyć się do szeregu, by jednocześnie poszukać schronienia, wrzeszczano: Precz! Won! Wstęp wzbroniony!

To nie Noe pokrzykiwał. Ten spoglądał w milczeniu z grymasem na twarzy na listę obecności stanąwszy pod bramą wiodącą do skrzyni: na tabliczkę glinianą, na której naznaczał kreski. A pokrzykiwali jego synowie Sem, Cham i Jafet, trzech masywnych drabów, którym Bóg później pobłogosławił i rzekł do nich: rośnijcie i mnóżcie się, a napełniajcie ziemię. Ci zaś wtedy wrzeszczeli: odsuńcie się! Albo: szczurom wstęp wzbroniony! Wypełnili ściśle słowa ich ojca. Żałosny był widok, jak biblijną parę szczurów przebraną w kudłatą skórę z długowłosych owiec odkryto z pomocą kijów pod zwisającym brzuchem hipopotama i wychłostano przed kładką. Na pośmiewisko małp i świń, cóż, wyszydzeni zrezygnowali.

Podczas gdy Arka się zapełniała, rzekła szczurzyca, a ręka Boga by nas nie uniosła, nie, ściślej mówiąc: gdybyśmy się nie wkopali w głąb, nie wydrążyli podziemnych chodników i nie przebywali we wnękach z pęcherzami powietrza — nie byłoby nas dzisiaj. Nikt by nie zasługiwał na wspomnienie, komu udałoby się przeżyć gatunek ludzki.

■

Polemiki • Listy • Opinie

PODATEK OD RZEMIOSŁA

Rzetelna krytyka powinna łączyć w sobie dwie funkcje: służebną wobec czytelnika oraz postulatywną pod adresem artysty, jeśli ten raczy przyjąć argumenty.

Zachwianie równowagi powoduje smutne rozpasanie twórców lub wyniesienie na tron krytyka, który tłumi wszelkie przejawy buntu ze strony poddanych artystów. Zazwyczaj tworzą się zwalczające nawzajem frakcje i dopiero czas, i rozmaite koniunktury weryfikują mylne oceny i osłabiają zaciekłość polemik.

Andrzej W. Mikołajewski tomikiem poetyckim „Na wszystkich progach" po raz trzeci usiłuje sforsować żelazne drzwi do złotej komnaty, w której na mahoniowym łożu spoczywa Muza, obiecując kilka rozkoszy doczesnych. Jednakże za każdym razem używa on do tego celu poszczerbionej siekiery, zmieniając co najwyżej trzonek, zamiast wysadzić drzwi trotylem. Środki wybuchowe nie są dostępne w powszechnej sprzedaży, a więc na poczet obiektywnych trudności zaliczyć wypadnie przedsionkowe męki wspomnianego autora.

Twórczość Andrzeja Mikołajewskiego nie poraża światłością. Każdy wiersz jest zaledwie projektem wiersza i nie znalazłem ani jednego, który zadowoliłby mój wybredny gust. Ale summa summarum autor jest poetą młodym (ma zaledwie niecałe czterdzieści lat), więc nieporadności stylistyczne i niedojrzałość treści przypisać należy niedoświadczeniu artysty. Jako poeta cierpi Mikołajewski na rozkojarzenie jaźni. Raz jest Diogenesem w beczce, kiedy indziej znów „ruchem uformowanym przez światło" (cytat) lub Don Kichotem etc., co jest o tyle korzystne, iż zachęca do czytania klasycznych tekstów. Ale poeta nie jest popularyzatorem filozofów czy artystów i powinien w miarę swych możliwości kleić własną osobowość. I ewentualnie poprzez nią nawiązywać do innych. Te możliwości u Mikołajewskiego dostrzegam. Wyróżnia się spośród tabunu poetów wydanych i nie wydanych, jednak w dalszym ciągu jest to rzemiosło. Brak tego olśnienia, które przekonałoby czytelnika.

Autor mówi, a poezja nie jest mówieniem. Przestawienie szyku wyrazów urzewni może zdanie, ale prawdziwy amator poezji nie dozna wzruszenia. Zamysł rymowania wydaje się tu szlachetny, jednak powinien ukazywać nowe — że tak powiem — obszary, a nie powiększać osiągnięć przeszłości. Twierdzenie, iż są to utwory klasycyzujące jest niepoważne i stanowi chowanie głowy w piasek, z kuprem wystawionym na kopy krytyka.

W przeciwieństwie do poprzednich tomików: „Znajomych miejsc" i „Pieśni Syzyfa", w których Andrzej Mikołajewski był mistykiem i chciał ocalać, w tomie „Na wszystkich progach" dochodzi do głosu myślenie. Modlić się wypada o właściwą oprawę formalną tej poezji w przyszłości. Jaką? O to już niech głowa boli Mikołajewskiego. Osobiście życzę mu wszystkiego najlepszego i mam nadzieję, że w duchu nie ustawia mnie przed plutonem egzekucyjnym, albowiem nie człowieka, ale poetę krytykuję.

TOMASZ KUBIAK

KTO POMOŻE?

Pracuję nad monografią **ALEKSANDRA ZELWEROWICZA**, wybitnego aktora, reżysera i pedagoga. Serdecznie proszę o skontaktowanie się ze mną tych Czytelników „Odgłosów", którzy mają w swoich domowych zbiorach rozmaite, związane z nim materiały archiwalne: wycinki prasowe, recenzje, afisze, programy, zdjęcia, listy, dokumenty itp. Interesują mnie również relacje tych z Państwa, którzy zetknęli się osobiście z Zelwerowiczem. Nawet najmniejsze informacje mogą mieć dla mnie znaczenie, a za wszystkie będę wdzięczna i zobowiązana.

BARBARA OSTERLOFF
ul. Bracka 20A m. 28
00-028 Warszawa

BŁĘDY I NIEŚCISŁOŚCI W ARTYKULE O ANDRZEJU STRUGU.

Z uznaniem przyjąć należy pomysł popularyzacji w „Odgłosach" sylwetek wybitnych działaczy okresu międzywojennego (mam nadzieję, że będzie to dłuższy cykl). Po interesujących esejach Edmunda Lewandowskiego o Józefie Piłsudskim i Marii Koszutskiej w numerze 11 „Odgłosów" z 15 marca br. ukazała się pierwsza część szkicu Zenona Janusza Michalskiego „Myśl polityczna Andrzeja Struga".

W artykule tym natknąłem się na kilka niejasności i błędów wymagających wyjaśnienia i sprostowania. Uściślenia wymagają dwa fakty z biografii A. Struga. Autor podaje, iż pisarz urodził się w 1871 roku w Lublinie, a w 1883 roku, po ukończeniu gimnazjum, rozpoczął naukę w Instytucie Rolniczym i Leśnym w Puławach i w okresie studiów „zapoznał się z programem niedawno powstałej Polskiej Partii Socjalistycznej". Mam wątpliwości czy dwunastoletni A. Strug mógł rozpocząć studia, na pewno nie mógł wówczas poznać programu PPS, bowiem partia ta rozpoczęła działalność dziesięć lat później w 1893 roku. Może więc właściwą datą rozpoczęcia studiów w Puławach jest rok 1893 a nie 1883?

Następnie dowiadujemy się, iż w 1895 roku A. Strug został aresztowany, uwięziony w Cytadeli i następnie skazany na trzy lata zesłania, a nieco dalej, iż w 1891 roku powrócił do kraju (a więc cztery lata wcześniej niż został aresztowany i skazany!). Data powrotu jest oczywiście błędna. Andrzej Strug przebywał na zesłaniu w latach 1897—1900 i właśnie w 1900 roku powrócił do kraju (podaję za „Małym słownikiem pisarzy polskich", Warszawa 1966).

W innym miejscu autor artykułu podkreśla, iż A. Strug przeciwstawiał się kierownictwu PPS. „które mszcząc się za wytykanie racjonalistycznych tendencji oskarżyło Marcina Kacprzaka..." W cytowanym zdaniu są dwa błędy. Lewica polskiego ruchu robotniczego „wytykała" PPS nie „racjonalistyczne" ale raczej reformistyczne tendencje, a oskarżony działacz II Proletariatu a później PPS nazywał się Marcin Kasprzak. Przy tej okazji pragnę przypomnieć, że nieżyjący już Marcin Kacprzak (przez „c"), przez pewien czas profesor Uniwersytetu Łódzkiego był wybitnym lekarzem, jednym z pionierów medycyny społecznej w Polsce.

Wreszcie wypada sprostować nazwisko dowódcy I pułku ułanów legionów. W artykule podano „Belina-Prużnowski, a winno być: Belina-Prażmowski.

Wskazując na zawarte w artykule błędy (być może powstałe w maszynopisie lub druku) i nieścisłości nie miałem zamiaru dokuczyć autorowi. Wręcz przeciwnie. Sądzę bowiem, iż pozostawienie ich bez sprostowania rodzić może u Czytelników podejrzenie co do wiarygodności innych faktów zawartych w tym interesującym artykule.

Łódź, 16 III 1986 r.

WŁODZIMIERZ OBRANIAK

„SŁODKA CHATKA Z MARCEPANA"

W odpowiedzi na artykuł, który ukazał się na łamach „Odgłosów" 15.02.86 r. pt. „Słodka chatka z marcepana", Wojewódzki Urząd Telekomunikacji w Łodzi uprzejmie wyjaśnia:

W dniu 18.12.84 r. dokonano odbioru technicznego budynku przy ul. Zamenhofa 1/5 w zakresie instalacji telekomunikacyjnej, w którym uczestniczył przedstawiciel Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji w Łodzi. Podczas odbioru stwierdzono szereg nieprawidłowości, które uniemożliwiły wykonanie instalacji telefonów w tym budynku. Na tę okoliczność spisano stosowny protokół z przedstawicielami wykonawcy tj. Łódzki Kombinat Budowlany Łódź—Śródmieście, w którym były zawarte zalecenia dotyczące prawidłowego wykonania pionów instalacji telefonicznej zgodnie z obowiązującymi przepisami w tym zakresie Ministerstwa Budownictwa i Materiałów Budowlanych. Pomimo tego wykonawca nie zastosował się do ww. zaleceń a budynek został zasiedlony bez powiadomienia Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji w Łodzi o usunięciu usterek.

Z chwilą przystąpienia Urzędu do wykonania instalacji telefonicznych u poszczególnych abonentów okazało się, że kable instalacyjne ułożone w pionie przez Łódzki Kombinat Budowlany Łódź—Śródmieście mają przerwy. Brak drożności tych pionów zmusił pracowników Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji do położenia kabli instalacyjnych na klatkach schodowych i rozprowadzenie ich do poszczególnych abonentów. Powyższe prace zostały wykonane z konieczności uruchomienia abonentów. Abonentów nie obciążono dodatkowymi kosztami za kable instalacyjne.

Jednocześnie informujemy, że 26.02.86 r. Łódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa zorganizowała spotkanie zainteresowanych stron w sprawie niesprawnej instalacji telefonicznej w budynku przy ul. Zamenhofa 1/3. Na powyższym spotkaniu wyjaśniono wszelkie kwestie dotyczące instalacji i po zapoznaniu zainteresowanych z protokołem z 18.12.84 r. stwierdzono, że Wojewódzki Urząd Telekomunikacji w Łodzi nie ponosi odpowiedzialności za zaistniałą sytuację.

Przedstawiciele Spółdzielni Mieszkaniowej powyższe sprawy omówili z przedstawicielami wykonawcy tj. Łódzki Kombinat Budowlany Łódź—Śródmieście oraz inwestorami, aby w przyszłości przy oddawaniu podobnych budynków instalacje telefoniczne były wykonywane prawidłowo.

inż. ZBIGNIEW ROMANOWSKI

Do wiadomości:
1. Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji, Sekretariat Dyrektora Okręgu Łódź, al. Kościuszki 5/7, Łódź, do sprawy: AG-056/N-21/86.
2. Rzecznik Prasowy Prezydenta m. Łodzi, Urząd Miasta Łodzi, ul. Piotrkowska 104, Łódź.

„SŁODKA CHATKA Z MARCEPANA"

Po przeczytaniu artykułu Jolanty Wrońskiej pt. „Słodka chatka z marcepana", a później „Requiem dla nieboszczki" nie sądziłam, że zapragnę napisać odpowiedź. Najpierw dlatego, że sądziłam iż na tak niedobre teksty posypie się bez liku sprostowań i ripost, po wtóre, że nie do mnie akurat należy koreferowanie nierzetelnych artykułów pisanych „byle huczek był". Zapewne autorka artykułów również jest zdziwiona, że z taką swadą i zacięciem (no cóż, „ja po prostu, niestety mam talent") udowodniła, że polskie budownictwo ma wady w sferze projektowania i wykonawstwa a rezonansu nie ma.

Jeżeli wolno mi formułować opinie środowiska moich znajomych, to sprawa ma się następująco: Na początek jeden dogmat — wszyscy jesteśmy za wysoką jakością w budownictwie — i nie tylko. Należymy do wielkiej rodziny lokatorów rozpaczających z powodu pękających płytek, nieszczelnych okien, złych tynków, koślawych ścian. I w sprawie poprawy jakości budynków — i nie tylko — każdemu przyklaśniemy. Jolancie Wrońskiej nie klaszczemy, bo opublikowanie własnego stanowiska wobec projektu i ogłoszenie wykazu usterek, których usunięcia należy żądać od wykonawcy w okresie gwarancji połączone z niechęcią do projektanta, wykonawcy i zarządcy budynku (czasami „wygarnięta prawda" dotyczy nawet... lokatorów) nie przyczyni się walnie do załatwienia chociażby najmniejszego z budowlanych problemów.

Ustalmy zatem stan faktyczny: budynek pięciopiętrowy, w centrum, o niebanalnej, wypracowanej fasadzie, mieszkania — w górnych granicach normatywu. W związku z rozpoczęciem użytkowania lokatorzy zgłaszają via administracja usterki, które wykonawca usuwa. To mniej więcej wszystko. A Jolanta Wrońska jak Tadeusz Rejtan z szaleństwem w oczach rzuca się u progu tych M- i w takich słowach opisuje los mieszkańców tego budynku, jakich ja użyłam w wypracowaniu maturalnym pisząc o ofiarach zbrodni.

Spróbuję przyjrzeć się zarzutom autorki i zobaczymy co z tego zostanie:

1) Dlaczego taka kąśliwość w stwierdzeniu o drewnianej elewacji frontowej (winno być „drewnianych elementach elewacji"), miedzianej blasze pokrycia dachowego, okrągłych oknach — wszyscy to widzieli, prawie wszystkim się podoba i po co tu szydzić?

2) Po co autorka przytacza plotki (według jej własnych słów) o elicie lokatorów-prominentów i nonsensowne szczegóły ponadnormatywnego wyposażenia sanitariatów (kryształ, marmur itp.)? Po pewnym czasie, gdy sprawa trochę się zatrze w pamięci czytelników, pozostanie niejasne wspomnienie machlojek i prywaty. W każdym razie konkretów w tej sprawie brak.

3) „Facet pod pięćdziesiątkę z przepitym obliczem, który załapał się na mieszkanie z racji posady ciecia" — to akurat szczególnie niefortunne stwierdzenie, jak na analizę działalności dozorcy budynku. No niech już będzie, że „facet", co do wieku to nie wiadomo czemu Jolanta Wrońska te lata mu wytyka, mieszczą się wszak w kodeksowym przedziale 18—65. „Przepite oblicze" brzmi efektownie acz niekonkretnie. Jeżeli Jolanta Wrońska widziała w czasie godzin pracy uchlanego dozorcę należało zastosować przepisy ustawy antyalkoholowej. Jeżeli nie, no cóż, piętno naszych nałogów szpeci nas wszystkich. Wątpię, czy zawód dozorcy winien znaleźć się jako pierwszy w poprawce zgłoszonej do kodeksu pracy, że wyłącznie dla abstynentów. Otrzymanie przydziału mieszkania przez dozorcę w bloku, w którym pracuje jest prawidłowe. Czyżby Jolanta Wrońska uważała, że gospodarz domu „nie zasłużył sobie", żeby mieszkać w tym budynku i powinni sklecić mu jakąś stróżówkę wpodle bramy, albo co?

4) W dalszych częściach artykułu autorka przytacza wykaz usterek. Trzeba oszklić okienka na dachu, założyć osłony wentylacyjne, zdjąć niepotrzebny mieszkańcom pręt na klatce schodowej, przegrodzić piwnice, uzyskać opinię rzeczoznawców odnośnie terakoty i stolarki. Podzielam opinię mieszkańców, że wykonawca musi te usterki usunąć. Szybko i dobrze. Ustalić kto podpisał zlecenia na dodatkowe wykucie bruzd dla instalacji telefonicznej i żądać postępowania dającego satysfakcję spółdzielcom — ukarania winnego pracownika i winnego przedsiębiorstwa. Ten temat, istotnie bulwersujący nie został przedstawiony jak należy.

5) Dalsza treść zawiera stwierdzenie wyjątkowo paskudne: „Jest uzasadnione i dające się udowodnić domniemanie, że robotnicy pracujący przy budowie wielokrotnie złośliwie niszczyli, demolowali i psuli, jakby z zawiści do inteligencji, stanowiącej trzon mieszkańców budynku". Dlaczego zatem mając „uzasadnienie" i dowody Jolanta Wrońska nie kieruje sprawy do prokuratora? Gospodarcze przestępstwa są ścigane wyjątkowo bezwzględnie, a tu niszczycielom i marnotrawcom pobłaża obywatelka Jolanta Wrońska i inni (co zrobią z tymi dowodami?)

Myślę, że nie ma potrzeby rozliczać dalej wszystkich rewelacji autorki. Fachowiec od mieszkalnictwa widzi krzywdę mieszkańców w fakcie, że w kwotę czynszu za lokal spółdzielczy wlicza się... spłatę kredytu zaciągniętego na budowę. Ruganie projektanta za okno w przedpokoju (niesłychane), brak wentylacji w garderobach itp. jest w porównaniu z powyższym zarzutem głupstwem. Horror określany słowami „martyrologia lokatorów", „cierpienia mieszkańców... odejmujących sobie od ust", „wyjątkowa złośliwość losu" ma jeszcze odwrotną stronę: choć zostało to dokładnie udowodnione, że projektant, wykonawca i zarządca budynku unicestwili materialnie naiwnych mieszkańców, nagle autorka dowodzi, że mieszkanie w tym „spartolonym" budynku to kopalnia diamentów niemalże. Ponoć natychmiast po zasiedleniu zaczęły się szwindle z mieszkaniami, na których udręczeni spekulanci zarobili kokosy. Osobiście uważam to stwierdzenie za równie prawdziwe jak umieszczone na wstępie artykułu wieści o marmurach, fontannach itp.

Jak dawniej znudzone mieszczki gderały na swoje pokojowe, stangretów, szewców, krawców itp., tak spora grupa publicystów polskich (a jakże — wrażliwych, subtelnych, wymagających tylko dobrej, najlepszej roboty) prezentuje antybudowlane zadęcie. Ze szczególnym wyróżnieniem wykonawców. Bo spójrzmy tylko: Zasłużony architekt projektuje coś niebanalnego, potrzebnego ludziom, a wykonawca paprze jego piękny projekt i stwierdza (ten architekt), że nie mogło być inaczej.

Słuszne są zachwyty bywalców nad dyscypliną i organizacją robót na Zachodzie. Czyżby ktoś mógł pomyśleć, że zachodnia firma budowlana nie uchybiłaby pięknemu projektowi działając w warunkach naszego rynku? A przecież budowy łódzkich firm budowlanych poza granicami naszego kraju dowodzą wyjątkowo dobrej jakości robót. Czy z tego nic nie wynika? Dlaczego autorka z całkowitym lekceważeniem wypowiada się o niskich płacach, braku ludzi, sprzętu, materiałów, przygwożdżając swoją pogardę stwierdzeniem „terror bezkarnych brakorobów". Dlaczego autorka nie pochyli się nad ich trudem? Myślę, że wówczas potrafiłaby docenić ich pracę.

W Łodzi przy ul. Bratysławskiej 6 wykonano budynek według szczególnie niefunkcjonalnego projektu. Lokatorzy od lat czynią starania o nadanie mieszkaniom w tym budynku statusu mieszkań rotacyjnych. A może są inne rozwiązania? Może tam coś da się ulepszyć, przeprojektować, nawet kosztem zmniejszenia ilości mieszkań. Jeżeli czułe serce Jolany Wrońskiej zapędzi ją pod wskazany adres, być może będzie mogła tym mieszkańcom pomóc. Może powstanie jakiś sensowny projekt modernizacji. A ponieważ będą to roboty nietypowe, to chyba będzie trzeba zlecić Kombinatowi „Śródmieście" przyjęcie wykonawstwa w możliwie szybkim terminie, z materiałów wykonawcy, i raczej niedrogo. Myślę, że członkowie Rady Pracowniczej tego przedsiębiorstwa nie odmówią.

(Imię i nazwisko wyłącznie do wiadomości redakcji)

SCENA ROBOTNICZA

Zespół Teatru Robotniczego ZDK „Poltex" powołał do życia Scenę Robotniczą. Teatr jest młody. Pierwsze próby odbywały się zaledwie kilka m-cy temu, a już dziś możemy oglądać efekty tej pracy, którą tworzy grupa zapaleńców i entuzjastów propagowania twórczości amatorskiej. Wystawiono jednoaktówkę Tadeusza Śliwiaka „U Serafina".

Plany i zamierzenia twórców i wykonawców Sceny Robotniczej napawają optymizmem. Oby tylko nie skończyło się na próbach... Jedno jest pewne. Pomysł znakomity. Ale też trudny w realizacji i z tego zdajemy sobie sprawę. Przyszłe spektakle muszą być starannie dobierane, przygotowywane, proste i zrozumiałe dla przeciętnego widza, a być może scena Teatru na Ogrodowej ożyje na nowo, jak niegdyś bywało.

Sądzę, że Teatr Robotniczy ma wielką szansę przed sobą, by stać się w przyszłości ulubionym teatrem. Świadczą o tym spektakle Teatru Zwyczajnego z Warszawy, istniejącego od kilku już lat przy RSTK w Warszawie.

Daje się zauważyć duże zainteresowanie młodzieży szkolnej m. in. Studium Medycznego z Pabianic. Spektakl został zaakceptowany przez młodzież i będzie prezentowany w innych środowiskach młodzieży, w środowisku robotniczym na terenie całej Polski, nie tylko w Łodzi. To zachęcająca oferta na początek. Scena amatorska wcale nie oznacza sztuki gorszego rzędu pod warunkiem, że spełni oczekiwania widza, trafi do jego świadomości, pobudzi wyobraźnię, zachęci do oglądania innych spektakli, co nie jest dziś sprawą ani prostą, ani łatwą.

Tak, czy inaczej należy się duże uznanie dla twórców i wykonawców pierwszej Sceny Robotniczej w Łodzi. Duże brawa!

Warto zapamiętać, iż reżyserem i scenografem w jednej osobie, jest Piotr Werner, zaś wykonawcami są: Paweł Dziedzic — żołnierz służby zasadniczej, Jacek Marczyński — pracownik administracji państwowej i Sławomir Borowicki — pracownik Komunalnego Przedsiębiorstwa Usług Socjalnych.

Spektakl ten zostanie zaprezentowany na scenie ZDK „Eskimo" w ramach dorocznego przeglądu zespołów podczas obchodów II Łódzkich Dni Kultury Robotniczej, które będą trwały od 16 do 26 maja 1986 roku. Już w kwietniu Teatr Robotniczy weźmie udział w ogólnopolskim przeglądzie Form Dramatycznych Teatrów Amatorskich w Modlinie.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

CZY NIE MOŻNA BYŁO INACZEJ?

Moi teściowie mieszkają na wsi. Do pociągu ok. 2 km. Posiadają gospodarstwo rolne, które zamierzają przepisać na syna, ale to potrwa ze względów prawnych.

Moja teściowa od 5 lat cierpi na psychozę miażdżycową (takie rozpoznanie). Już po raz piąty przebywała w szpitalu w Zgierzu na oddziale psychiatrycznym-zamkniętym od 29 sierpnia 1985 r. do 8 marca 1986 r.

6 marca 1986 r. przyszło pismo ze szpitala, które mówiło, aby teść natychmiast stawił się do szpitala w sprawie b. pilnej. W szpitalu zlecono mu zabrać teściową w najbliższym terminie. Gdy pojechał na następny dzień po teściową (oboje 1925 r. urodzenia), którą trzeba było ubrać, (ze względu na zaawansowaną chorobę — trzeba teściową ubierać, karmić, myć...) zwrócił się do pielęgniarek o przewóz karetką pogotowia do domu. Tam powiedziano mu, że takich karetek przewozowych nie ma, a jeżeli już są, to bardzo drogie. Starszy człowiek nie wiedząc co robić, zabrał więc teściową.

W Zgierzu musieli wsiąść w autobus, potem w tramwaj do Łodzi, potem w tramwaj na dworzec kolejowy, a wreszcie w pociąg. Dojechawszy do Rogowa szedł z teściową pieszo. (Pech chciał, że nie było taksówki).

Ponieważ drogi na wsi są w bardzo złym stanie i trudne do przebycia ze względu na topniejący, śliski śnieg, więc teściowa prawie co krok upadała. Gdy doszli, a właściwie dowlekli się do domu byli cali zmoczeni. Teść ze zmęczenia ledwo oddychał (zmiany w płucach).

Chciałabym się dowiedzieć, czy rzeczywiście można było wypisać teściową ze szpitala w takim stanie (wsiadając do tramwaju trzeba było jej — dosłownie zginać nogi w kolanach aby weszła na stopień), a jeżeli tak, to czy rzeczywiście nie można było załatwić tej „przewozówki" za darmo lub za niewielką opłatą? Czy rzeczywiście kosztowałoby drożej od taksówki osobowej — jak oświadczyła jedna z pielęgniarek. Czy służba zdrowia powinna leczyć, czy narażać na jeszcze inne choroby oprócz tych, które już niestety mamy?

ALEKSANDRA GRALAK
(Popień)

RESTAURANTE
MAZURKA
Honrado con su
servicio al Papa
GANSO

Bogowie, autobusy i gęsi...

ze str. 1

się, niestety, gwałtownie renowacji. Asceza, przynajmniej w ciągu dnia, jest tu jednak hojnie wynagradzana światłem; wpadające przez niewielkie, wypełnione witrażami okna, rozsypuje się w złote, szkarłatne i fioletowe refleksy ułatwiając i uprzyjemniając kontakt z nowym bóstwem przybyłym zza wielkiej wody. Bóstwo to wprowadzane od samego początku nie tylko w aurze złotych ołtarzy i subtelnych barw, ale także miecza i krwi, wydaje się święcić dziś kompletne zwycięstwo zdolne zaskoczyć nawet Hiszpanów czy Polaków. Ale bliższe przyjrzenie się religijnemu Meksykowi przekonuje, że:

zwycięstwo Kościoła katolickiego jest pozorne,

jakby hołdy składane na każdym kroku Chrystusowi i Jego Matce w istocie dotyczyły ciągle Huitzilopochtli, w każdym razie jego również.

Pewien niepokój wywołują już same kościoły, szczególnie te największe i najbardziej reprezentacyjne.

NA PRZYKŁAD STOŁECZNA KATEDRA.

Jest to właściwie osobne miasto z nawami jak aleje i ołtarzami jak pałace, przy czym ołtarz główny (aktualnie w renowacji) wywołuje już taki dystans zarówno rzadkim przepychem jak i swoistą warownością, że myśl o piramidach pojawia się niemal automatycznie.

Przejrzystość planu Bożego lśniąca tak wszechwładnie w katedrze św. Piotra w Rzymie, prowadzące ludzkie myśli na niebotyczne wysokości łuki katedry w Amiens, w meksykańskiej świątyni zmieniają się w masywne stacje uszminkowanej śmierci; tryskająca z szyi ofiary strużka krwi złoci się, wygina i rozgałęzia wyczarowując sceny biblijne, puste ornamenty, wizerunki świata — pyszne miraże życia.

Kościoły, kościółki, kościółeczki można zresztą spotkać w Meksyku dosłownie na każdym kroku; na każdej stacji kolejowej, autobusowej, w każdej restauracji czy sklepie, w każdej taksówce, pesero czy ciężarówce, nie mówiąc już o mieszkaniach prywatnych. Otoczony muszelkami, kwiatami, paciorkami wizerunek Dziewicy z Guadalupe jest wszechobecny wyprzedzając o kilka długości reklamy Pepsi-Coli.

Spór ikonodułów i ikonoklastów, nauki kościoła w zakresie oddawania czci obrazom, rozważania o metodach boskiej interwencji w los człowieka zostały w ten sposób za jednym zamachem rozwiązane, czy może raczej unieważnione. Święta Opiekunka Meksyku spadła do roli amuletu o wyraźnie pogańskiej proweniencji używanego przez tzw. prostych ludzi i docentów uniwersytetu, młodych kierowców i zgrzybiałe sprzedawczynie tortilli, bogatych i biednych — prawie humorystycznie wygląda zakaz poruszania się po ulicach w strojach duchownych wydany przez władze.

A kiedy zapadnie noc amulety puchną i płoną, przybierając postać prawie upiorną; setki olbrzymich, zbudowanych z lamp i umocowanych na przodzie ciężarówek krzyży sunie po drogach zagłuszając warkot silników. Gasną tylko wtedy, kiedy któryś kierowca, nie stosując się do rad Doktora z Akwinu zalecającego, żeby człowiek nie wszystko zrzucał na Boga, za mocno naciśnie pedał gazu i zsunie się w przepaść towarzyszącą tutaj zwykle przynajmniej jednej stronie szosy.

Te średniowieczno-pogańskie wysepki w nowoczesnej metropolii łączą się i osiągają swoje apogeum 12 grudnia — podczas święta Dziewicy z Guadalupe. Setki tysięcy, a może i miliony ludzi zjeżdżają tego dnia do stolicy i udają się do poświęconej patronce Meksyku bazyliki. Olbrzymi plac przed świątynią zapełnia się, płoną ognie, setki ludzi pielgrzymuje na kolanach do ołtarza, umierają dziesiątki chorych, którzy przybyli tu, aby odzyskać zdrowie... Fascynujące widowisko trwa całą noc: ogląda je również olbrzymia figura oświeconego papieża Jana Pawła II...

Po takiej nocy trudno zdobyć się na jakiekolwiek opinie, byłyby one najwyżej dowodem zarozumiałości. Jak w wielu innych miejscach i przy wielu innych okazjach w Meksyku ma się wrażenie zaglądania do olbrzymiego kotła, w którym wrze wszystko, co człowiek — wydawałoby się — ma już dawno poza sobą, ale być może i trochę tego, co dopiero na niego czeka, czego sam z nadzieją wypatruje: wiary i pasji.

Nie muszą one przecież zaraz tylko restaurować amulety i pochody flagellantów, mogą także towarzyszyć odbywającym się jednocześnie na placu przed bazyliką tańcom i koncertom mariachis, w których Meksykanie ofiarowują Bogu to, co zapewne najbardziej przypada mu do gustu: swoją pełną wiary i pasji radość...

Wkrótce bazylika opustoszeje, pandemonium minie, a na terenie oczyszczonym paroksyzmem z czarnej magii od rana zaczną klekotać wybuchy petard — rozpoczną się

OBCHODY BOŻEGO NARODZENIA — NAVIDAD.

Na ulicach, w temperaturze ponad 20 stopni Celsjusza, wyrosną choinki i kilkunastometrowe, kolorowe świece z drgającymi płomieniami, a pod nimi zacznie się kręcić nieustająca, organizowana przez kościoły katolickie, fiesta nasuwająca skojarzenia ze średniowiecznymi Narrenfeste.

Korowody samochodów wyjadą w okolice Amecameca po drzewka, zabierając przy okazji do podręcznych lodówek trochę śniegu spod wulkanu Popocatepetl, zaczną się „posady" — przyjęcia, podczas których część gości zostaje przed domem i odpowiadając śpiewem na pytania gospodarzy prosi o pozwolenie wejścia do środka, naśladując w ten sposób tułaczkę Józefa i Marii po Betlejem, na patiach, bądź po prostu na podwórkach zawisną „piniaty", rozhuśtane, ozdobne, gliniane kule wyładowane słodyczami, które trzeba rozbić drewnianym drągiem — z zamkniętymi oczami! — żeby dobrać się do zawartości...

„Con dinero o sin dinero, hago siempre lo, que quiero".

„Z pieniędzmi, czy bez pieniędzy, zawsze robię to, co chcę", śpiewają dwaj młodzi chłopcy w zatłoczonym do granic możliwości autobusie przepychającym się wolno przez Insurgentes. Za oknami, przed kolejnym skrzyżowaniem, zatrzymał się najnowszy model „Forda — Mustanga" (cena: 8,5 miliona pesos); jego właściciel, elegancko ubrany Mulat, rozmawia przez telefon...

„FORD — MUSTANG".

air-condition, miejsca aż za dużo, telefon — rozlatujący się autobus, tłok, upał...

A jednak... Dopóki trwa piosenka nie ma się ochoty siedzieć w „Fordzie", nawet gdyby było to możliwe, a jak piosenka się skończy, zawsze można razem z chłopcami wskoczyć do następnego, takiego samego autobusu i znów bez zainteresowania patrzyć na kolejnego „Mustanga", słuchając tym razem: „Felicidad es la forma de navegar, por la vida, que es el mar" — „Szczęście jest rodzajem żeglowania przez życie, które jest morzem".

Repertuar chłopców jest niewyczerpany i autobusów też nie brakuje. A kątem okna widać zamieszczoną w „Excelsiorze" reklamę restauracji polskiej „Mazurka", uhonorowanej — jak zawsze podkreśla jej właściciel inż. Tadeusz A. Podbereski — usługami dla papieża:

„Myśleliście Państwo kiedyś, dlaczego jest obfitość kurczaków, kaczorów i indyków, ale nie gęsi!? Ponieważ tamte ptaki rosną i rozmnażają się bez trudności cały rok. Natomiast gęś jest ptakiem bardzo trudnym. Hałaśliwy, dumny, niezależny, atakuje i gryzie, a rozmnaża się raz do roku, składając małą ilość jaj.

Najgorsze z wszystkiego jest to, że w odróżnieniu od innych ptaków, każdy kawaler wybiera tylko jedną damę. Proszę wyobrazić sobie karmienie tego hałaśliwego samca przez cały rok, tylko po to, aby gęś była zadowolona! A jak jedzą!

Wiemy to wszystko i hodujemy je na naszym ranczo, wyłącznie dla klientów „Mazurka". Mimo że są kosztowne i się nie opłacają. Podajemy je bez kości, z ryżem „dzikus". Danie naprawdę królewskie!...".

Nic dodać, nic ująć, może poza niebotycznymi cenami, które znajomość z „Mazurką" ograniczają niestety, wyłącznie do reklam w gazetach.

Sylvia, młoda Brazylijka, która przyjechała do Meksyku studiować archeologię, zwierzyła mi się, że chyba wcześniej niż zamierzała wróci do swojego Salvador w Bahia „bo tu *jest tak smutno, Meksykanie nie umieją się cieszyć i jakoś nie mogę się przyzwyczaić".*

Smutno w Meksyku! Być może... Ale jest to smutek Malcolma Lowry'ego, smutek Octavio Paza, smutek tych wszystkich, którzy stanęli oko w oko ze śmiercią, niezależnie od tego w jakiej postaci im się objawiła; bo jest przecież wiele rodzajów śmierci — dla każdego inna — zanim przyjdzie ta ostatnia, najbardziej normalna.

Staram się wyobrazić sobie przez chwilę Brazylię, a potem wracam na polskie ulice, na których pewnie nikt nigdy nie napisze: „no se puede vivir sin amar". („Nie można żyć bez miłości"). (M. Lowry „Pod wulkanem").

Niedługo też trzeba będzie do tego wrócić. Pendejo!

RYSZARD NAKONIECZNY

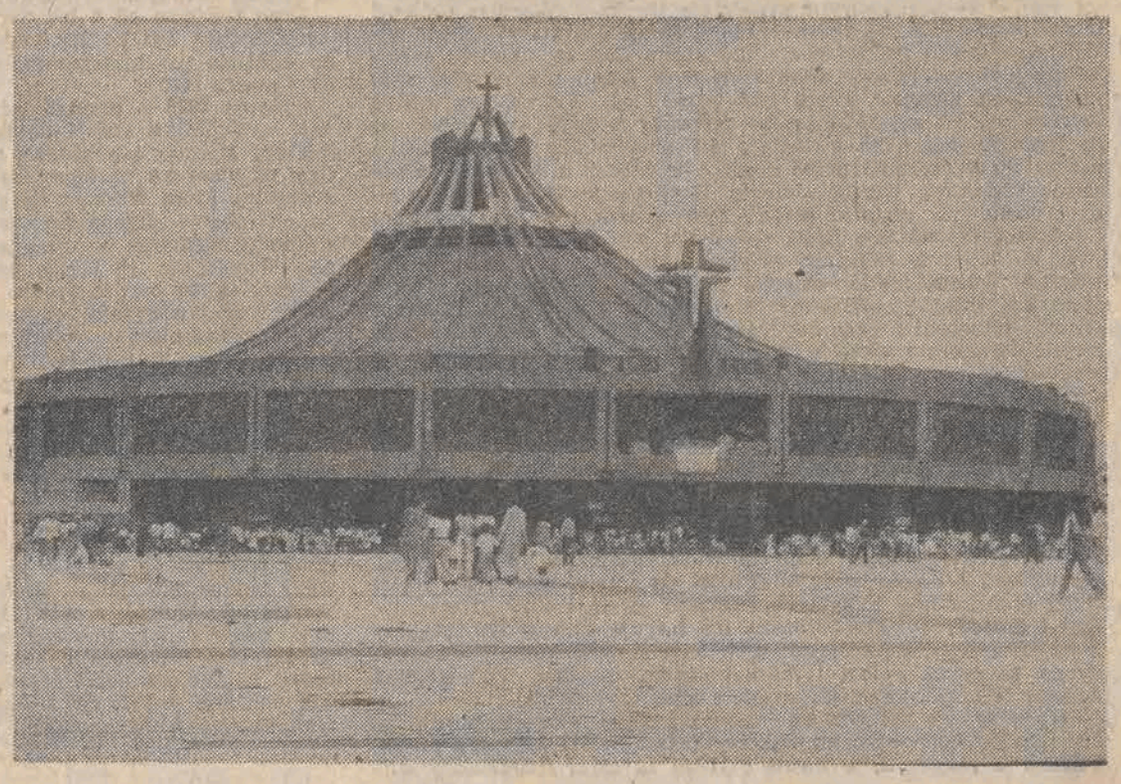

W stronę surrealizmu

Siedzę w Ogrodzie Luksemburskim. Siedzę na jednym krzesełku, a na drugim trzymam wyciągnięte nogi... A tak! Jak wszyscy, jak wszyscy... Takie to teraz obyczaje. Nogi — na ślicznym, czystym i ani odrobinę nie zdezelowanym krzesełku. A jest październik, czyli koniec sezonu i raczej przywykłam, że o tej porze roku ławki parkowe stanowią już jedną zrujnowaną kupę zwaloną w którymś kącie albo i na środku. A tu nie. Każdy kącik dokumentnie wypielęgnowany — a pośrodku salon.

Jak to więc jest z tą elegancją—Francją?

Bo niby, co to za elegancja: siedzieć pod rzeźbą starożytnej bogini, a nogi wyzute z butów na sąsiednim krześle?

A z drugiej strony — ogród niby publiczny, a tu trawniki ostrzyżone na jeża rozścielają się najgłębszą zielenią i nikt sobie przez nie drogi nie skraca, kwiaty odchwaszczone, drzewa przystrzyżone, wyrzeźbione boginie są co prawda trzeciorzędne, ale nikt ich za to nie kamienuje, fontanny nie pozatykane petami szemrzą, a ludzie są cicho.

No właśnie, aż zaczynam myśleć szeptem...

Nie ma tranzystorów. Psów wprowadzać nie wolno. Nikt nie nawołuje: — *Izaureczko, chodź do mamusi!...* — Może dzieci mają jakieś inne parki, tylko dla siebie, albo w ogóle może jest więcej parków, a mniej dzieci. Dobrze, jeśli jest taki rezerwat dla człowieka, chcącego posłuchać własnych myśli.

JEST DZIESIĄTA GODZINA.

Siedzę sobie na słoneczku w Ogrodzie Luksemburskim, po prawej pałac wzniesiony przez Katarzynę Medycejską — żeby jej przypominał florencki pałac Pittich. Na wprost fontanna, dalej na prawo angielska część ogrodu i przepiękna kasztanowa aleja z zamykającą jej perspektywę kopułą obserwatorium, za mną Panteon, ale stąd nie widać nawet jego kopuły.

Przeglądam brulion. Notatki i notateczki. Za każdą zamknięty na zawsze czas co przeminął w miejscu zakreślonym.

„Bieganie po podziemnych korytarzach metra, zmiana poziomów, schody i znowu korytarze zabierają tyle czasu, że jeżeli ma się w perspektywie przejechanie dwóch przystanków to lepiej machnąć ręką na metro i przejść te dwa kilometry pieszo, ale w Paryżu — a nie po odrapanych tunelach oblepionych ciągle tymi samymi reklamami...".

„Jest tak gorąco, że całą godzinę przesiedziałam w Notre Dame. Przepiękny kwartet a capella śpiewany przez mnichów za głównym ołtarzem. Tu mieszka średniowiecze. Gdzieś tu za tym murem: Heloizę poznał Abelard...".

„...cała gastronomia Dzielnicy Łacińskiej, jest opanowana albo przez Bałkany, albo przez Amerykę Łacińską; co za zrządzenie losu, że to dokumentne odfrancuzienie spotkało pramiejsce pra-Paryża...".

„Pierwszy raz widzę przeszło sto gatunków sera naraz. Doliczyłam do osiemdziesięciu trzech, ale usłyszałam za sobą: — Ja ci powiem Gośka, ty musisz mu powiedzieć, że na śniadania to on ci musi dawać... — i odwróciłam się: dziewczyny, chyba z bardzo najnowszej Polonii, jedna miała na sobie jeszcze ojczyźniane buty, niosła koszyk pełen ślimaków, na którym leżały dwie pomarańcze. Zmieniła dietę".

„Pont Neuf. Ale mam szczęście! Zupełnie nadzwyczajne, że jestem tu w październiku — Pont Neuf jest cały zabandażowany. Zatrzymuję się na chwilę u jego wjazdu, oto w tym miejscu — konny wóz staczając się z pochyłości zabił Piotra Curie. Most owinięty jest tkaniną, podobną do grubego torlenu, jest w kolorze złotego ugru. Półmetrowej szerokości pasami owinięty tak jak obandażowuje się złamaną nogę, pasmo przy pasmie. Na okrągło. Z oddali wygląda jakby zrobiony był ze słomy. Gigantycznej. To przez słońce i ugrowość tkaniny wyzłoconej tak połyskliwie. Dużo ludzi. Oglądają. Zjawisko jest nie tylko niecodzienne, ale niezwykłe samo w sobie. Jak dobrze, że jestem tu sama i że nie muszę mówić czegokolwiek! Jest przede mną zabandażowany most, jest przede mną plastyczne dokonanie — to naprawdę nie potrzebuje komentarzy. To trzeba zobaczyć. Dlatego się tak cieszę, że mi się to przytrafiło i wiem, że tego nie zapomnę, nawet, jeśli kiedyś stanę przed tym mostem znowu, już uzwyczajnionym, już po swojej wyjątkowości...".

„...i zdawało się, że nie można już dodać żadnego cudu — do tego cudów zbiorowiska jakim jest to miasto. A tymczasem ono — właśnie pod koniec swego dwudziestowiecznego istnienia zafundowało sobie ten gmach — syntezę ostatniego stulecia i chwała niech będzie jego projektowym autorom panom Rogers i Piano! Pięć pięter szkła i stali. Wszystkie żyły tego organizmu — wywalone na zewnątrz i pomalowane tak, żeby się żadnemu hydraulikowi nie pomyliły. Jest w nim coś z szybu i okrętu, rafinerii, kotłowni, tła trybuny: ku czci i gmachu w odwiecznym remoncie".

Jest piękny.

Być może, że gdybym miała mieszkać w mieście zbudowanym wyłącznie z bunkro-bloków i za jedyne do rozrywki oka — miała takie coś — wolałabym uciec do lasu. Ale tu w mieście, gdzie można wysycić wzrok przekrojem wszystkich epok — Pompidou jest dokumentem jednej z nich. Naszej.

Jest fajny. Od strony placu, od frontu — cała ściana po przekątnej przecięta przeszkloną kiszką schodów uczepionych do permanentnego rusztowania. Wysoko w górze dwie plansze. Matta i Klee.

Centre Pompidou — czynne jest od 12 do 22. W zakończeniu tygodnia, bo nie wiem, jak po polsku nazwać weekend, już od dziesiątej. Nieczynne we wtorki. Wstęp do muzeum 15 fr., do wielkiej galerii 16 fr, na wystawy czasowe 10 fr. Karnet na cały dzień i na wszędzie 30 fr. W niedzielę wstęp wolny. Roczna karta wstępu 115 franków.

NAJCHĘTNIEJ KUPIŁABYM ROCZNĄ I ŚPIWÓR.

Czas zamknięcia przeczekałabym na placu żyjącym własnym programem. Już nie rozróżniam języków, w których — swoje ballady, protest-songi, swoje wiersze i zwierzenia intymności, swoje życie, wyśpiewują ci wszyscy... za parę groszy, rzuconych do puszki po jakiejś konserwie. Śpiewają, krzyczą, wymadlają. Z gitarą, z fletem, z bębnami, obłożeni instrumentami, których nie znam ani pochodzenia, ani nazw. Czasem jest to do tłumu, czasem do jednego słuchacza. Opisują świat, swój świat niekiedy zbyt brutalnie już poznany, a czasami zwyczajnie po prostu młody.

O dwunastej otwierają Pompidou i od razu jest pełno ludzi. Forum wypełnia się błyskawicznie, chodzą gdzieś w jedną stronę, w drugą, spieszą na projekcje, na wykłady, odczyty, video, do biblioteki.

Przeglądam w księgarni albumy. *„Klee i muzyka"* 192 strony, 125 franków. Otwarcie wystawy Klee odbędzie się za tydzień. U nas za dwa tygodnie — Triennale Tkaniny. Znamienne wydarzenie. Wielka wystawa. Też nie jakieś tam sroce spod... No właśnie!

Pytał mnie kiedyś pewien mój zagraniczny kolega artysta, z którym oglądałam Muzeum Włókiennictwa, ja z dumą, on w zachwyceniu — czy nie można by wydać chociażby pocztówek z reprodukcjami tkanin...

Opowiadano mi w tymże Muzeum, że jak kiedyś ktoś opowiedział, że zobaczył w kiosku RUCHU widokówkę, na której było Muzeum Włókiennictwa — to wszyscy pracownicy jako żyw rzucili pracę i obiegli wszystkie kioski w mieście, by kartki wykupić, za swoje...

Oglądam album Klee, którego otwarcie wystawy odbędzie się za tydzień. Są też pojedyncze pocztówki. Są zestawy slajdów. Są katalogi duże, drogie. I małe. I kartka książki, znormalizowana kartka, ze znormalizowaną perforacją u boku, aby wpiąć razem z innymi podobnymi kartkami i skompletować sobie samemu książkę, czy encyklopedię wręcz.

WIOZĘ DO LYONU,

nabyty w Muzeum katalog z wystawy 40-lecia naszej tkaniny artystycznej. W prezencie. Porównuję wydawnictwa. I teraz nie wiem, czy zdobędę się na ten gest. Polska szkoła gobelinu — mówi się na świecie. Dobrze, że jest przekaz ustny.

O! jest Paul — salut! — Paul jest tu księgarzem. To znaczy jest sprzedawcą, tak naprawdę to jest filologiem francuskim i aktualnie zredukowanym profesorem szkoły średniej. Sprzedaje katalogi i albumy w Pompidou. Dziś pracuje od czternastej, ale przyszedł wcześniej, żeby mi towarzyszyć.

— *No, to dokąd dziś chcesz? na górę, czy na dół?*

Na górze, na piątym jest Matta. *„209 dzieł od lat 40 do naszych dni — retrospektywna wystawa malarstwa, rysunku i rzeźby, wielki wkład w ruch surrealizmu amerykańskiego..."*.

— Nie — mówię — nie chcę surrealizmu...

— *Wobec tego idziemy na półpiętro.*

Półpiętro to galeria wymienna. Od 11 września do 11 listopada 1985 r. wystawiają jednocześnie: Raymond Mason, Jean-Michel Alberola, Viswanadhan i Gulam Mohammed Sheikh. Oglądamy całe dwie godziny.

Do każdej ekspozycji przynależy telewizor, w którym na okrągło z magnetowidu leci wywiad z autorem. Mam wrażenie, że byłam na czterech wernisażach i poznałam czterech autorów.

— Patrz! — mówię do Paula — to jest pomysł. On teraz mówi o tamtym obrazie i wszyscy odwracają się w tamtą stronę. Pewnie, że to nie to samo co żywy autor, ale on przecież nie może siedzieć tu przez dwa miesiące. Och! chcę takie u nas, w galerii na Piotrkowskiej i w parku Sienkiewicza...

— *Przecież to zupełnie proste, zwyczajne video, nie macie video?*

— No, wiesz Paul! Mówisz jakbyś nie wiedział, że jesteśmy krajem bardzo zniszczonym wojną...

— *Jaką wojną?*

— Jak to jaką? światową...

— *Coś ty! przecież to było czterdzieści lat temu...*

— No to co z tego, że czterdzieści? Czy jak coś było dawno to znaczy, że nie było?

— *A mówiłaś, że nie lubisz surrealizmu...*

— Wcale nie mówiłam, że nie lubię, tylko, że nie chcę.

Paul musi do roboty. Po drodze oglądamy w małym foyer wystawę fotograficzną. Reportaż — Teatr CRICOT 2. Obok anons: *„20h 30 Ou'ils crevent, les artistes de Tadeusz Kantor"*. Mówię po polsku — *Niech sczezną artyści.*

Patrzy zdziwiony.

— *To polski teatr.*

— Tak?

Zawracamy. Czytamy jeszcze raz anons. Jedynym polskim słowem jest: Tadeusz. Paul mi wierzy.

— Musisz to zobaczyć. To genialne. I przyjechało ci pod sam nos. Fart!

Kładzie palec na: 20h 30.

— *Pracuję do dwudziestej drugiej.*

— Oh! Nie możesz się zwolnić?

— *Mogę* — odpowiada — *ale mamy właśnie kryzys.*

— Jaki kryzys?

— *Światowy.*

— Voilà, jutro idziemy na górę. Do surrealizmu.

OBOK POMPIDOU, W JEGO SZCZYCIE JEST „POMPIDZIĄTKO" —

kraina zrealizowanych snów. Basen pełen wspaniałych dziwolągów. Wymyślnych stworów, skonstruowanych na miarę dziecięcych wyobrażeń, a może skopiowanych z ich własnej twórczości i przerobionej na te pstro pomalowane fontanny, które teraz psikają, pryskają, unoszą się, wiercą, machają, czym się da i obracają.

Przez cały czas wokół ocembrowania sterczą wypięte pupska przechylonych ku wodzie dzieciaków. A na schodach obok — miejsce spotkań tych, którym już nie wypada przewieszać się przez obramienie basenu.

Dziewczyna dopiero co wyszła z salonu: rock-frisure, gdzie można kazać sobie ustawić na głowie najwspanialszy grzebień z włosów zlepionych na żel. Ona sobie kazała. A teraz upina siebie na schodach. Długa, wiotka, obklejona czarnymi atłasowymi spodniami. Chłopak patrzy na nią oczarowany. Wyciągają ku sobie i opierają o siebie swoje dłonie. Zwinął palce pomiędzy jej palcami: — *Je t'aime.*

Obróciła ukoronowaną głowę na bok i jakby nieco uniosła ramiona...

Powtórzył.

— *Teraz mi to mówisz, hm, no to zmarnowaliśmy dwa tygodnie...*

— *Jakie to u ciebie wszystko proste.*

Przez moment wydało mi się, że już gdzieś, kiedyś jakbym to słyszała, może w innym języku. A może mi się zdaje że to słyszałam? A może mi się zdaje, że usłyszałam teraz, tak? A może już wszystko mi się tylko zdaje.

Są takie miejsca wybrane, gdzie wszystko nabiera innego wymiaru, gdzie zdawać się może jeszcze w ogóle coś...

Ma l'amour neuve

TAMARA ROSZAK

■

Wacuś czyli jak minęły święta

JOLANTA WROŃSKA

Tamtego roku Wielkanoc obeszliśmy w schronisku nad Morskim Okiem. Święta niby wiosenne, a tu trzaskający mróz, zagrożenie lawinowe oraz niepokojące trudności z transportem niezbędnych zapasów paliwowych. Zaczem, przymusowe uwięzienie w schronisku urozmaicaliśmy sobie już to rozgrywaniem nie kończących się partii brydża, już to ślizgawką na zamarzniętej tafli Morskiego Oka albo piciem wódki zgoła. Wydelegowana, a starannie dobrana ekipa udała się z kolędą po znajomych gazdach celem złożenia serdecznych życzeń świątecznych, podzielenia się jajeczkiem oraz wynegocjowania pewnych uzupełnień spożywczych. Nadzieja, że gazdowie podzielą się swymi wódecznymi zasobami z biedną studenterią była oparta na chwiejnych przesłankach. Co do tego zdania były podzielone. Tym bardziej więc radował pełny sukces ekspedycji taszczącej pęczki butelek, a nawet nieco spyży i wiwendy pod postacią placka z jabłkami od gaździny oraz pęta czosnkowej kiełbasy.

Wszystko wskazywało więc na to, że święta udadzą się nadspodziewanie. Towarzystwo było dobrane, alkohole liczne, kierownictwo schroniska życzliwe. Ostatnie wspólne święta przed końcem studiów i rychłym rozstaniem skłaniały do wspomnień. Pośród nich, rychło na czoło wysunęła się postać Wacusia. Była to postać legendarna, o której słyszał każdy student nawiedzający naszą uczelnię w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Wacuś bowiem miał to do siebie, że studiował gruntownie prawo rzymskie z karnym na zmianę i znowu od początku i jeszcze raz. Twardym był Wacuś zawodnikiem, nie zrażał się łatwo, byle co nie mogło mu przeszkodzić, nawet relegacja za brak postępów w nauce. Miał ponadto Wacuś cech kilka, wyróżniających go dodatnio spośród mrowia pospolitych studentów. Po pierwsze Wacuś miał tatusia. Tatuś — rzecz ludzka, zdarza się. Ale tatuś Wacka miał jakąś niewyobrażalną ilość pieniędzy ulokowanych w rozległych dobrach ruchomych i nieruchomych. Dodatkowo tatuś Wacusia posiadał tylko jednego dziedzica fortuny, Wacusia właśnie, skutkiem czego strzegł go jak oka w głowie. Biedna i przemądrzała studentka nie miała żadnych szans na upolowanie Wacusia, albowiem fundamentalną zaletą przyszłej pani Wacusiowej miały być grunta orne, warsztaty samochodowe, z ewentualną zamianą na inne źródła stałego i solidnego dochodu. Nie oznaczało to bynajmniej, że musiał Wacek, na skutek tatowych restrykcji unikać powabów życia. Wprost przeciwnie. Należał on do największych birbantów w południowej Polsce, w którego towarzystwie niejeden syn przyzwoitej rodziny utracił stypendium, rodzicielskie zaskórniaki oraz dobrą reputację.

Niestety, trzeba to także głośno powiedzieć, przy Wacusiu nigdy nikt się nie pożywił. Zawsze płacił wyłącznie swoje rachunki, skrupulatnie rozliczał dłużników i wyznawał zasadę — „nie dla psa kiełbasa". Było nawet jeszcze gorzej. Nadzwyczaj lubił otóż Wacuś, kiedy to jemu stawiano, płacono zań, wielkodusznie nie pamiętając o odzyskaniu należności. Zupełnie zaś tragiczna była ta Wacusiowa przypadłość, skutkiem której w niepojęty jakiś sposób natychmiast wyniuchał kto, gdzie, z kim miał właśnie zamiar napić się wódeczki lub też zorganizować jakieś przyjemne występy artystek z zaprzyjaźnionej uczelni aktorskiej. Wszelkie próby zorganizowania imprezki intymnie i w ukryciu nieodmiennie kończyły się niespodziewanym przybyciem Wacka, rozsiadającego się za stołem, jakby nigdy nic. Nie było siły na faceta, toteż nic dziwnego, że z ulgą przyjęliśmy wiadomość, że onże Wacek znudził był sobie wieczne studia i postanowił spróbować szczęścia w złotodajnej Ameryce.

Pożegnaliśmy chłopaka ponad dwa lata temu i mieliśmy nadzieję nigdy więcej go nie oglądać. Tak to wspominając miłe studenckie czasy sączyliśmy wytwornie „krwawą maryśkę" i porykując rzewnie nieśmiertelne „góralu czy ci nie żal". Nad wyraz miła sielanka w górskim schronisku skończyła się w głębokiej nocy odtańczeniem zbójnickiego przy ognisku.

Nad ranem, ciężkie nasze głowy oderwał od poduszek grzmot potężnego silnika samochodu wytrwale wspinającego się serpentynami w stronę Morskiego Oka. Łoskot odbijał się gigantycznym echem wśród uśpionych gór, wywołując w skacowanych głowach bolesny efekt zwany „tupotem białych mew". Strasznie wściekli na tego jakiegoś barbarzyńcę, zakłócającego spokój a zwłaszcza zakaz wjeżdżania samochodem w sąsiedztwo Morskiego Oka, zwlekliśmy się z łóżek. Niebawem przed schroniskiem stał liczny komitet powitalny, a zza zakrętu ukazał się ogromny, lśniący i absolutnie wspaniały mercedes w kolorze jadowicie czerwonym. Zatrzymał się u wejścia i ktoś wysiadł.

Zdumionym oczom rozespanej studenterii objawił się ni mniej ni więcej tylko Wacuś we własnej osobie. Osobie co nieco spasionej, ale niewątpliwie nie dającej się z nikim pomylić.

Wacuś promieniał. Czyż w najśmielszych snach mógł marzyć o tak pięknej chwili, jak ta, gdy zbaraniała gromada zachłannie gapiła się na niego i na jego wspaniały pojazd? Czy mógł marzyć o lepszym zadośćuczynieniu za tyloletnie drwiny inteligentów gołych jak myszy? Przyjaciel nasz otworzył ramiona gestem papieża błogosławiącego narody i szedł ku nam z powitaniem. Jakże było dalej trwać w niemocie i zacukaniu? Powitaliśmy powróconego zza morza jak brata. Jednegośmy tylko pojąć nie mogli. Jakim cudem, przywrócony ojczyźnie Wacuś wyniuchał nas w tym górskim schowanku?

A Wacuś tymczasem już tokował jak za dawnych czasów. Znów najlepiej znał się na wszystkim, o wszystkim miał mnóstwo krytycznych uwag, głównie zaś, też zresztą po staremu, o naszym ciężkim życiowym frajerstwie. Szczególnie teraz czuł się Wacuś ekspertem od robienia pieniędzy, jako ze szczęśliwie pomnożył tatowy majątek w tej strasznej Ameryce. W ogóle wysłuchaliśmy dokładnych sprawozdań o tym, jak to „u nas w Stanach wszyscy robią byznes". Bez wątpienia amerykański akcent Wacusia przydawał jego polszczyźnie ciekawych asocjacji z narzeczami z wysp Hula-Gula, nie przeszkadzało nam to jednak wcale a wcale.

Zresztą, nie można powiedzieć, przetarł się nasz przyjaciel po świecie, manier nabrał wykwintnych, ludzkie się zrobiło panisko, uczciwie wkupił się do kompanii. Wyniósł z wielkiego bagażnika mercedesa butelkę Johnie Walkera. Sztuk jeden. Na blisko trzydzieści głów.

Trudno, skoro jest Wielkanoc, należy serdecznie odnosić się do każdego bydlątka. Nie dajmy sobie, drodzy przyjaciele zepsuć radości świętowania byle drobiazgiem. Bawmy się, albowiem ostatnia to okazja przed damoklesowym mieczem egzaminów dyplomowych i straszliwą chwilą objęcia pierwszej w życiu dorosłej posady.

W miłym nastroju pokładliśmy się spać, a o szarej, porannej godzinie rozpętało się piekło. Strugi lodowatej wody wyrywały z pościeli. Piętrowe klątwy soczystym „rrr" grzmiały w świeżym górskim powietrzu, a ofiary zmykały gdzie się dało. Zaskoczenie było kompletne. Niezmiernie uradowani bacowie i juhasi, dumni z udanej zasadzki, przybywali uczynić zadość prastaremu obyczajowi lanego poniedziałku wielkanocnego. Rycząc radośnie taszczyli kolejne wiadra wody z pobliskiego źródełka. Wszystkich ogarnął jakiś szał. Polewaliśmy się wzajemnie, wyciągając strachliwych z kryjówek i solidarnie zamienialiśmy się w sople w dwudziestostopniowym mrozie. Odmrażanie odbywało się natychmiast, przy pomocy nacierania śniegiem i tarzania.

Wesołutko było bardzo, aż naraz ktoś spostrzegł, że nie ma wśród nas naszej gwiazdy Wacusia. Natychmiastowe poszukiwania wykazały, iż nasz ulubieniec zabarykadował się w swoim pokoiku, przytomnie unikając polewania. Próby sforsowania drzwi i dopełnienia ludowego obrzędu wywołały u Wacusia atak furii. Co więcej, suchutki i bezpieczny, nie omieszkał zza drzwi powiadomić nas o bezdennym naszym zdziczeniu i barbarzyństwie, o jego, Wacusia, potępieniu, słowem „u nas w Stanach coś takiego byłoby niemożliwe". Obraziliśmy się na Wacka śmiertelnie. Nie będzie tu kapitalista prywatny pluł nam w twarz. Spojrzeliśmy po sobie, a potem oczy nasze spoczęły na ślicznym wackowym autku.

Dwunastu najsilniejszych zaparło się, podniosło mercedesa i zgrabnie, nie naruszając lśniącego lakieru karoserii, wstawiło go między dwa solidne buczki. Jeden z przodu, drugi z tyłu. Między drzewami a zderzakami pozostało kilka centymetrów luzu. Samochód został unieruchomiony trwale i na wieki. Wróciwszy do schroniska przystąpiliśmy natychmiast do rozgrzewania przemoczonych ciał, uznając sprawę Wacka za zakończoną. Wspólnota zainteresowań odkryta między przyszłą inteligencją dyplomowaną a reprezentantami ludności miejscowej została przypieczętowana góralską herbatką (jedna trzecia szklanki herbaty, dwie trzecie spirytusu).

Po jakimś czasie, zwiedziony nikłym hałasem, wychynął ze swej nory Wacuś. Ostrożnie rozejrzawszy się stwierdził, że nikt na niego nie dybie za węgłem z wiadrem zimnej wody. Co więcej, nikt, ale to absolutnie nikt nie zwraca na niego najmniejszej uwagi. Otacza go obojętność. Po prostu Wacusia nie ma. Biedny, nie wytrzymał i postanowił natychmiast opuścić niegościnne schronisko. Spakował się chłop czym prędzej i trzasnąwszy drzwiami wyszedł na ganek.

W zapadłej nagle ciszy wyraźnie dała się słyszeć potężna eksplozja słów. Wyłącznie nie nadających się do druku. Ujrzał Wacuś swe autko zaklinowane między buczkami. I trafił go straszny szlag. Wpadłszy do środka, wyrzucił z siebie fontannę bluźnierstw, żądań natychmiastowego uwolnienia mercedesa, gróźb wsadzenia nas wszystkich jak jeden mąż do kryminału, zrujnowania odszkodowaniem za straty moralne i uszczerbek na mieniu, wreszcie zagroził straszliwą zemstą i dintojrą.

Odpowiedziało mu lodowate milczenie. Oszalały Wacek rzucił się do telefonu, trzęsącymi palcami wykręcił numer milicji w Zakopanem i chaotycznie ryczał do słuchawki. Widać stopień rozpaczy w jego głosie był wystarczająco alarmujący, albowiem już po godzinie, w trakcie której Wacek miotał się po schronisku, przyjechał patrol MO. Zrozumiawszy, że facetowi rąbnięto kosztowny samochód, albo że stała mu się jakaś krzywda na ciele, zdumieni milicjanci ujrzeli nienaruszony samochód dziwnie tylko zaparkowany. Starszy kapral wziął przesłuchanie w swoje ręce, zadając poszkodowanemu parę krótkich pytań: czy ktoś próbował ukraść mu samochód? czy może wóz został uszkodzony? Jakim prawem mercedes znajduje się pod schroniskiem, a nie na odległym o cztery kilometry parkingu? Na dwa pierwsze pytania Wacuś przecząco pokręcił głową, na trzecie — zapłacił od ręki mandat 10 tysięcy złotych. Zapytany jeszcze czego właściwie chce — wyszemrał, że uwolnienia złośliwie zaklinowanego samochodu i ukarania sprawców. Pan kapral spojrzał po zastawionych świątecznie stołach, po nas i grzecznie zapytał, kto jest winien? Wszyscyśmy się oburzyli na takie brzydkie podejrzenie, więc milicja uznała się za niekompetentną, radząc na odjezdnym Wacusiowi, by poprosił o pomoc tych miłych studentów.

Wacuś toczył już pianę. Telefony do strażnicy WOP, do straży pożarnej, GOPR-u i pogotowia kończyły się nieodmiennie tym samym — „to nie należy do naszych kompetencji". Samochodu nikt nie ukradł, nie pokaleczył, Wacka nikt nie poturbował, więc instytucje użyteczności publicznej są bezradne. A ponadto są święta i nie należy porządnym ludziom zakłócać wypoczynku niedorzecznymi żądaniami.

Wacek był bliski apopleksji. Zamknął się w swym pokoju i pracowicie myślał. Długo myślał, aż wymyślił przekupstwo. Przyszedł do gazdów, wymienił cenę w dewizach w zamian za uwolnienie mercedesa. Honorowi górale z obrzydzeniem odrzucili propozycję, choć nawet najstarsi górale nie pamiętają przypadku nieprzyjęcia waluty wymienialnej. Poszarzały na twarzy Wacek wyszedł na dwór. Biedak, wyrzucił z samochodu wszystkie ruchome przedmioty i sam próbował przesunąć blisko dwutonowe cielsko.

Wreszcie poszedł nasz ulubieniec do Canossy. Stanął przed starostą grupy i grzecznie zapytał, co powinien zrobić, by koledzy byli uprzejmi uwolnić pojazd. Starosta, kolega Tomaszek, znany z flegmy, godnie odpowiedział, że żadnych żądań pod adresem Wacława nikt nie wysuwa. Nikt nic od niego nie chce. On tylko bardzo zepsuł nam nastrój lanego poniedziałku. Po czym odwrócił się od skurczonego Wacka, powracając do przerwanego nalewania kieliszków.

Upłynęło kilka godzin, zabawa rozwijała się w najlepsze, aż naraz ktoś, spojrzawszy w okno, krzykiem przywołał całą resztę towarzystwa. W zapadającym powoli zmroku ujrzeliśmy Wacka kroczącego po zamarzniętej tafli Morskiego Oka. W jednej ręce dzierżył wiaderko, a w drugiej — sporą siekierę, najwyraźniej pożyczoną od kierownictwa schroniska. W omal modlitewnej ciszy śledziliśmy wędrówkę Wacusia, gorączkowo zastanawiając się co też nasz ulubieniec zamierza. Jakaś więcej nerwowa koleżanka wyraziła nawet głośne przypuszczenie, że Wacek zamierza się utopić i, że to my będziemy winni. Zrobiło nam się jakoś niewyraźnie, pewnie każdy po cichu zaczynał już współczuć męczeństwu Wacka, choć głośno się do tego nie przyznawał. Ciężkie milczenie rozładował dopiero ktoś przytomnym pytaniem, że skoro idzie się utopić, to na co mu wiaderko? Niby jak? Głowę zanurzy w wiadrze?

Tymczasem Wacek był już na środku jeziora, wyraźnie widoczny na bladoniebieskim tle tafli. Postawił wiadro i zaczął pracowicie wyrąbywać regularną przeręblę. Dopiero co upadłe podejrzenie o cele samobójcze, znowu się pojawiło, a nawet spowodowało, że kierownik schroniska zaczął już wyznaczać ekipę ratunkową i poszedł do schowka po liny, bosaki i ciepłe koce. Reszta, jak przymurowana śledziła z zapartym tchem Wackowe poczynania. Mróz był tęgi, lód na jeziorze miał tak ze dwa metry grubości, ale Wackiem najwyraźniej kierowała ostateczna determinacja, bo mniej więcej po pół godzinie dokopał się wody.

Wszyscy widzieli, jak poszerzył krawędź przeręblı, by zmieściło się w niej wiadro. Następnie zanurzył naczynie aż po pałąk i z widocznym wysiłkiem wyciągnął je pełne. Zatrzymał się na chwilę, chyba by odsapnąć, po czym podniósł wiadro wysoko ponad głowę. I całą jego zawartość starannie wylał na siebie. Oniemieliśmy w zdumieniu, a Wacek spokojnymi ruchami jeszcze dwukrotnie powtórzył operację.

W milczeniu wyszliśmy przed budynek i wszyscy razem, bez umawiania się, wydostaliśmy czerwonego mercedesa z pułapki, ustawiając go grzecznie przed drzwiami schroniska. Wracający z jeziora Wacek wyminął nas bez jednego spojrzenia, po chwili wyniósł swoje bagaże, wsiadł do odzyskanego samochodu i bez zwłoki odjechał.

Nazajutrz w Zakopanem usłyszeliśmy nowinę o tym, jak to pewien bogaty ceper w czerwonym samochodzie zajechał pod hotel „Giewont", na chwilę zniknął w pokoju, po czym zszedłszy do restauracji rozpoczął straszliwy ochlaj. Pił bez przerwy całą noc, a rano okazało się, że ktoś mu rąbnął tego pięknego mercedesa z hotelowego parkingu.

■

Z tarczą i na tarczy

(Ogólnopolski Przegląd Piosenki Aktorskiej)

Na tegoroczny VII Ogólnopolski Przegląd Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu pojechała wyjątkowo liczna i silna grupa śpiewających aktorów, bo w liczbie 15 osób. Wśród tego grona zdecydowanymi faworytkami były dwie znane i świetnie śpiewające aktorki: EWA WORYTKIEWICZ z Teatru im. S. Jaracza i RENATA FRIEMAN z Teatru Powszechnego. Obie znamy dobrze w Łodzi z ich śpiewanych kreacji w teatrze („Huśtawka", „Śpiewnik domowy", „Kram z piosenkami"), obie wiążą swoje zawodowe plany z piosenką aktorską.

Ewa Worytkiewicz znalazła się wśród laureatów, zdobywając III nagrodę. Renata Frieman choć spodobała się bardzo, nie zakwalifikowała się do finału, powracając do Łodzi na tarczy, choć bogatsza o doświadczenia z udziału w tego typu imprezach.

EWA WORYTKIEWICZ: — NIE NADAJĘ SIĘ NA FESTIWALE...

— Podobno nazywano panią drugą „Ewą Demarczyk"?

— Nie znam osobiście Ewy Demarczyk, ale wiem od naszych wspólnych znajomych, że ona bardzo dobrze się o mnie wyrażała. Na studiach aktorskich jako zarzut stawiano mi, że śpiewam w manierze Ewy Demarczyk, która zresztą zawsze była moim ideałem i wzorem. W tym czasie śpiewałam piosenki własnych kompozycji do wierszy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i może stąd te porównania.

— W Krakowie zaczęła się pani przygoda z piosenką?

— Tak, od szkolnego kabaretu, po wczesne własne recitale, przez współpracę ze „Spotkaniami z balladą", Festiwal Piosenki Studenckiej, na którym zdobyłam IV nagrodę aż po programy telewizyjne w krakowskiej i katowickiej tv.

— W planach miała pani studia wokalne?

— Jako 18-letnia dziewczyna zdawałam do Akademii Muzycznej w Łodzi (Wydział Wokalno-Aktorski), zdałam z II lokatą, ale ponieważ równocześnie zostałam przyjęta do PWST w Krakowie, choć dopiero na odwołanie złożone do ministra, wybrałam rodzinny Kraków, nie wahając się już co do wyboru studiów artystycznych.

— Przestała pani kształcić się muzycznie?

— Ukończyłam 4 klasy fortepianu w szkole muzycznej, po czym nastąpiła przerwa spowodowana szkarlatyną, która wzbudziła szmery w sercu i zablokowała moją edukację pianistyczną. W PSSM (Wydział Wokalny) uczyłam się tylko miesiąc, bo nie mogłam pogodzić tej nauki ze studiami aktorskimi.

— Jaki wpływ na to, jak pani śpiewa miała krakowska PWST?

— Niewielki. Jeżeli można mówić o jakimś wpływie, to na pewno miała go atmosfera krakowskich kabaretów.

— Co jest potrzebne aktorce, aby mogła swobodnie i pewnie poruszać się w piosence?

— Wszystko jest uzależnione od predyspozycji głosowych, ważny jest również inny niż w piosence tradycyjnej rodzaj ekspresji, wrażliwość i osobowość aktora.

— Jaki rodzaj piosenki najbardziej panią interesuje?

— Lubię piosenki dramatyczne, drapieżne, nieomal histeryczne, choć pozostaję również pod urokiem piosenek kameralnych, wyciszonych, przy świecach. Najważniejsza dla mnie jest możliwość pokazania w piosence człowieka, który ją wykonuje, a więc indywidualności. Preferuję piosenki trudne, nie przepadam za szlagierami.

— W Łodzi, mimo 6 sezonów spędzonych w Teatrze im. S. Jaracza, jako śpiewająca aktorka zaprezentowała się pani niedawno?

— Angażując się do Łodzi i będąc w tym czasie znana w Krakowie jako przede wszystkim aktorka śpiewająca, powiedziałam dyr. Bogdanowi Hussakowskiemu, aby spróbował zobaczyć we mnie także aktorkę. Dyrektor spełnił moją prośbę i nie obsadzał mnie w rolach śpiewanych.

— Momentem zwrotnym i powrotem do śpiewania była główna rola Gizeli w musicalu „Huśtawka", po której okrzyczano panią „polską Lizą Minelli"?

— Był to dla mnie największy komplement, a Liza Minelli to mój niedościgniony wzór. Rola Gizeli była wspaniała, o takiej się marzy. Bardzo ją lubię i żałuję, że graliśmy „Huśtawkę" tak rzadko, co m.in. związane było z dużymi kosztami spektaklu. No cóż, nie jest tajemnicą, że ludzie w Łodzi wolą „Pchłę w uchu". Szkoda...

— W wyborze repertuaru na „Wrocław-86" zdecydowała się pani na piosenki z „Huśtawki"?

— To organizatorzy zaproponowali mi udział w festiwalu z piosenkami z „Huśtawki", ich wybór należał już do mnie.

— Do Wrocławia jechała pani jako jedna z głównych faworytek i mówiło się, że łatwo sięgnie pani po Grand Prix. Czy pani też mierzyła tak wysoko?

— Do Wrocławia jechałam z przeświadczeniem, że czeka mnie ciekawa przygoda z piosenką, choć wiedziałam, że zainteresowani tym co robię liczyli na mnie. Zbyt długi okres niespiewania przed konkursem sprawił, że osobiście nie liczyłam na jakąkolwiek z nagród. Estrada rządzi się innymi prawami niż teatr, moje sukcesy w „Huśtawce" nie mogły stanowić o powodzeniu na festiwalu, to zupełnie inny rodzaj śpiewania.

— Nie brała pani udziału w eliminacjach wstępnych?

— O tym, że startuję od razu w II etapie dowiedziałam się po przyjeździe do Wrocławia. Sądzę, że głównym powodem takiej decyzji był mój poważny staż zawodowy — 13 lat na scenie.

— I w ten sposób znalazła się pani w koncercie konkursowym. Jakie wrażenia i doświadczenia pozostawił on po sobie?

— Niedobre. Występowałam jako ostatnia na liście uczestników z numerem 22. Konkurs zaczął się około godziny 20, mój występ około 1 w nocy, cały czas oczekiwania to nie były godziny lecz lata. Na ten występ czekałam 3 dni, gdyż przyjechałam wcześniej na próbę z zespołem, nie znałam nowego aranżu, który zresztą nie wydawał mi się zbyt trafny. Przed jury stanęłam straszliwie zmęczona, takie było moje pierwsze odczucie, szalenie istotne i ważne. Ponadto przez 3 noce nie mogłam zmrużyć oka z uwagi na nie kończące się libacje kolegów z sąsiednich pokojów. I jeszcze sprawa samego występu. Trzy gitary, perkusja, syntezator i fortepian mimo wszystko w porównaniu z nagraniami płytowymi z „Huśtawki" brzmiały bardziej knajpowo niż musicalowo. W momencie, gdy dawałam więcej głosu i ekspresji, muzycy z zespołu nakładali na to ekspresję dźwięku. Efekt był taki, że miejscami w ogóle nie było mnie słychać. Całości dopełniał szalony akustyk, raz było słychać bębny, raz gitary, a raz tylko mnie. Takie były odczucia widzów z widowni. Byłam coraz bardziej przerażona i wiedziałam, że muszę śpiewać głośniej, aby choć trochę można było mnie usłyszeć. Po występie miałam tak niedobre samopoczucie, że postanowiłam natychmiast wyjechać nie czekając na werdykt jury. I pewnie tak by się stało, gdyby nie grono przyjaciół — aktorów, którzy siłą zatrzymali mnie i kazali czekać na wyniki. Nagrodą bardzo się zdziwiłam.

— Zajrzyjmy więc teraz za kulisy tej imprezy?

— Stwierdziłam jedno, że nie nadaję się do prowadzenia rozległego życia towarzysko-układowego, mówiąc wprost — nie bardzo daję sobie z tym radę. A przecież wiadomo, że w większości zawodów, a w tym przede wszystkim — wiele od tego zależy. Atmosfera była niezwykle nerwowa i napięta, mimo że pozornie otoczona aurą pozornego ciepła i serdeczności. Gdy przyznano mi nagrodę, zauważyłam, że mnóstwo przyjaciół odwróciło się do mnie plecami, wiernymi pozostali ci, którzy nie byli związani z festiwalem. Być może są to tylko moje odczucia, nie wiem...

— A co jest pewne?

— Na pewno to, że wróciłam bardzo zmęczona psychicznie i fizycznie stwierdzając, że nie nadaję się na festiwale.

— Oglądała pani konkurencję i gwiazdy?

— Tak, choć wyrywkowo, największą gwiazdą była dla mnie Krystyna Tkacz, która zaskoczyła na nowo swoimi propozycjami wokalno-aktorskimi. Podobała mi się Krystyna Janda, Halina Wyrodek i Michał Bajor. Atmosfera na „Gali" była niezwykle gorąca. Po raz pierwszy publiczność oblegała teatr do tego stopnia, że trzeba było czynnej interwencji milicji. Na estradzie obok występujących aktorów siedziało mnóstwo ludzi. Na korytarzach, za kulisami przewijały się tłumy wielbicieli, łowców autografów.

— Podobno miała pani nieprzyjemną przygodę?

— Skradziono mi dyplom, który na chwilę odłożyłam na stoliku inspicjenta tuż po wręczeniu. Na nic zdały się kilkakrotne komunikaty, dyplom przepadł bez śladu. Nie otrzymałam też pamiątkowej deseczki z malowanką plastyka, bo ktoś się włamał do skrzyni, gdzie były przechowywane te pamiątki i skradł 3 sztuki, wśród nich moją.

— A pieniądze?

— Na szczęście miałam przy sobie te 20 tysięcy nagrody.

— Incydentem można nazwać i to, że zdystansował panią student i dwie absolwentki średniej szkoły muzycznej, co w pewnym stopniu obniża wartość pani III nagrody?

— Gdybym wcześniej wiedziała, że w konkursie znajdą się ludzie znacznie młodsi ode mnie, nie zgodziłabym się na udział w takiej konkurencji. W eliminacjach uczestniczyło wielu aktorów w moim wieku, ale wśród nagrodzonych byłam jedyną nestorką.

— Co właściwie daje III nagroda na tej dużej i liczącej się w aktorskim środowisku imprezie?

— Pozostały mi po niej mieszane uczucia i przekonanie, że sprawdziłam siebie, swój stopień odporności na tego typu festiwalach ostatni na szczęście już raz. Wniosek końcowy: nie nadaję się na festiwale.

RENATA FRIEMAN: — WSZYSTKO JESZCZE PRZEDE MNĄ...

— Miała pani zostać pianistką?

— Tak, może zabrakło mi trochę cierpliwości, ale do dziś uważam, że pianiści to najwspanialsi artyści i ludzie o niezwykłych cechach charakteru, gotowi poświęcić życie dla fortepianu.

— Rodowód muzyczny wskazywał na kolejną wybitność w tej dziedzinie?

— Od trzech pokoleń w rodzinie mego ojca byli ludzie o wybitnych i uznanych nazwiskach w muzyce poważnej: Gustaw, Witold i Zbigniew Friemanowie, cała reszta rodziny też była bardzo muzykalna. Jeśli chodzi o mnie ukończyłam PSM i PSSM w Łodzi w klasie fortepianu. Śpiewu uczyłam się na prywatnych lekcjach, żałując dziś, że nie robiłam tego częściej i systematycznie. Teatr muzyczny czy operowy nie są mi odległe.

— Jak przebiegała edukacja wokalna na studiach aktorskich?

— Piosenkę aktorską prowadziła Barbara Fijewska, akompaniował Tadeusz Suchocki, opracowywaliśmy wiele piosenek, cały cykl 20-lecia międzywojennego. Na egzaminie końcowym śpiewałam „Tańczące Eurydyki". Lubiłam utwory, w których mogłam pokazać skalę i siłę głosu. Tekst i muzyka są w piosence jednakowo dla mnie ważne.

— Po dyplomie trafiła pani do Teatru Powszechnego, który w repertuarze preferował pozycje śpiewane i tańczone, wykorzystując przy tym wszystkie pani atuty i umiejętności. Co zapewne miało znaczenie dla pani dalszego myślenia o własnej drodze artystycznej?

— Zadebiutowałam główną rolą Gabrysi — „Dorożki" (wampirzycy-bandytki) w widowisku „Szeryf Brandy". Wszyscy oczekiwali jak sprawdzi się młoda aktorka, która przyszła do teatru w połowie sezonu. W 3 miesiące później zostałam obsadzona w kolejnej głównej roli, gdzie o dziwo nie śpiewałam, ale widząc to niedopatrzenie czym prędzej napisano dla mnie specjalną piosenkę.

— O pani wokalnych talentach dowiedzieli się ludzie z estrady i porwali do siebie.

— Kiedy w Teatrze Wielkim w Łodzi zaśpiewałam 2 songi do muzyki Piotra Marczewskiego, dyrekcja Estrady Łódzkiej i osoby reżyserujące program zapytały mnie — czy będę miała ochotę na współpracę. I tak się zaczęło.

— Kto podpowiedział, że mogłaby pani spróbować swoich sił na przeglądzie piosenki aktorskiej we Wrocławiu?

— Dwie panie z Estrady Łódzkiej: Magda Olczyk i Kalina Jerzykowska. Ta druga była autorką tekstów, które śpiewałam we Wrocławiu. Muzykę skomponowali również łódzcy twórcy.

— Do Wrocławia jechała pani jako jedna z głównych faworytek Łodzi, stawiano na panią i liczono na nagrodę, nawet pierwszą. Ciekawy jestem czy takie obciążenie psychiczne mobilizuje czy raczej paraliżuje?

— Paraliżuje, aż do momentu wejścia na scenę, później nic innego poza śpiewem mnie nie interesowało. Piosenka „Walc Triste" opowiada o dialogu kobiety z mężczyzną, którego chciała zapomnieć, ale wspomnienia okazały się silniejsze i doprowadziły do wybuchu dawno skrywanego żalu, w efekcie raz jeszcze wyciąga jako pierwsza rękę.

— Jak wyglądały eliminacje wstępne do wrocławskiego przeglądu?

— Przybyło 100 kandydatów, na sali tylko jury, na balkonie aktorzy czekający na swoje występy. Na 22 miejsca w II etapie już 9 było zarezerwowanych przez aktorów, którzy sprawdzili się śpiewając na scenie. Nie wiem — kto ich wybierał, weryfikował, a może były to typy z góry narzucone. Do tej pory wiele osób pyta — kto, gdzie, kiedy o tym decyduje? Ale nikt nie był w stanie odpowiedzieć na to pytanie.

— A późniejsze etapy?

— Nie wiem, bo to już finał, do którego nie doszłam. Obserwowałam wielu kandydatów, byłam zachwycona pewnym studentem z Krakowa, obdarzonym wspaniałym głosem, który w bardzo oszczędnych środkach wyrazu potrafił przekazać także swoją wspaniałą osobowość. Podobała mi się również Daniela Popławska z Kalisza.

— W jakiej atmosferze przebiegały konkursowe zmagania?

— W bardzo trudnej i dla mnie zaskakującej. We Wrocławiu spotkało się wielu młodych ludzi, od których należało się spodziewać spontaniczności i naturalności, a jednak wiele z tych osób prowadziło zakulisową reklamę swoich talentów. Byłam naocznym świadkiem rozmowy dwóch absolwentek średniej szkoły muzycznej z Warszawy, które zdobyły II nagrodę z ich opiekunem, a jak się później okazało członkiem jury. Korytarzowe półsłówka były dla mnie ogromnym zaskoczeniem i raz jeszcze potwierdziły moją naiwność, że prawdziwe wartości w spontaniczny sposób wzbudzały u oglądających aplauz i uznanie. A jednak w kilku przypadkach stało się to drastycznym nieporozumieniem.

— Jakie więc w pani ocenie było nastawienie uczestników przeglądu do imprezy?

— Było różne, jedni przyjechali aby zaśpiewać piosenkę i powiedzieć w niej coś od siebie, inni przyjechali po nagrodę. W świadomy sposób dążyli do zaprezentowania się z jak najlepszej strony. Niestety, nie zawsze wewnętrznie dojrzały i przemyślany.

— Co może dać młodej śpiewającej aktorce zwycięstwo we Wrocławiu?

— Dziś nie wiem.

— A porażka?

— Dla mnie jest dopingiem do dalszej pracy, wielką próbą charakteru i przyjętych kanonów piękna. Pozostanę wierna swoim wyobrażeniom o piosence aktorskiej, ale w przyszłości postaram się efektowniej sprzedać swoje myśli. W przeważającej większości zwyciężyły piosenki kabaretowe, efektowne, uznane standardy znanych twórców. Może w tym kierunku będę dobierać swój repertuar, choć wierna swoim przekonaniom.

— Czy nie zastanawiające jest, że aktorki z doświadczeniem, dorobkiem, osiągnięciami zostały zdystansowane przez studentów lub maturzystki szkoły muzycznej?

— Wiele osób było oburzonych, werdykt jury został przyjęty bardzo kontrowersyjnie, słychać było gwizdy. Sądzę, że najwyższy czas określić w regulaminie, dla kogo jest ten przegląd i kto może brać w nim udział. Przydałby się również wyraźny podział na gatunki piosenki aktorskiej. Każdy uczestnik powinien mieć przygotowane dwie odmienne w charakterze piosenki.

— Do Łodzi powróciła pani na tarczy, ale też natychmiast zabrała się do pracy nad nowymi piosenkami, które śpiewa w programie estradowym „Damska wódka"?

— To uroczy program, dający duże możliwości wypowiedzenia się w piosence aktorskiej. Śpiewam 4 piosenki solo i biorę udział w kilku pozostałych. Program powstawał w ogromnych bólach, na kilka dni przed premierą zostałyśmy bez reżysera, który po 3 próbach pojechał atować swój teatr (był dyrektorem) do Chorzowa.

— „Damska wódka" będzie walczyła o laury na Ogólnopolskich Spotkaniach Estradowych w Rzeszowie?

— Och, jak mało czasu i żal, że zabrakło kilku prób na doszlifowanie całości. Miejmy nadzieję, że jeżeli nie zdobędzie laurów w Rzeszowie, to będziemy go mogły zaprezentować łódzkiej publiczności.

— Nieco później oczekiwana jest premiera innego programu estradowego z pani udziałem „Arsen Lupin contra Sherlock Holmes"?

— Ten program został bardzo precyzyjnie przygotowany i jest swego rodzaju ewenementem, bowiem jako pierwszy w Polsce o takim charakterze, a podobno nawet w Europie, jest to musical oparty na magii.

— Za rok znowu pojedzie pani do Wrocławia?

— Nie jestem tego taka pewna, choć wiele osób namawia mnie do tego. Jeżeli okaże się, że nowy repertuar będzie ciekawy a ja odczuję potrzebę jego zaprezentowania w konkursie, to pojadę.

— A marzyła pani o festiwalu w Opolu?

— Cóż, myślę, że w życiu trzeba przeżyć jakieś niespełnione marzenie. Ale... wszystko jeszcze przede mną.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Ewa Worytkiewicz

Renata Frieman

Foto: Zdzisław Walter

1

Czterej pancerni i ratler

Wielu czytelników, w tym liczna grupa osób czasowo zameldowanych w miejscowości Tworki (podpisy nieczytelne), pyta, co dzieje się z ich ulubionym felietonistą Stefanem Życiowym. Istotnie, wyżej wymieniony coraz rzadziej gości na naszych łamach, zasmucając tym faktem sąsiadów, pokątnych zbieraczy makulatury oraz panią Krysię z warzywniaka. W tej dramatycznej sytuacji zostałam upoważniona do złożenia następującego oświadczenia: Redakcja szczerze ubolewa nad bolesną absencją Stefana Ż., wynikłą z poważnego pogorszenia się jego stanu zdrowia niefizycznego, lecz zaznacza, iż ponosi za to tylko częściową odpowiedzialność. Redakcja całkowicie odcina się od bezprawnie firmowanych jej imieniem czynów Stefana Ż. Nie ponosi i nie będzie ponosić żadnej odpowiedzialności z tytułu łatwych do przewidzenia następstw rozwoju choroby byłego felietonisty. Jednocześnie redakcja zawiadamia, że ostatnie komunikaty lekarskie o stanie zdrowia Stefana Ż. są mało budujące. Głoszą one, że u pacjenta stwierdzono ostry atak poezji, reformę gospodarczą oraz zespół Nałęckiego Konrada (reżyser). O dalszym postępie choroby Stefana Ż. opinia publiczna i pani Krysia będą informowane na bieżąco.

Prywatnie dodam, że częściowa wina redakcji sprowadza się do pochopnego wypłacenia Stefkowi gaży autorskiej za ostatni jego felieton. Niestety nie mogliśmy przewidzieć tego, że kolega pewną część swego honorarium przeznaczy na zakup telewizora kolorowego. *No i stało się!* Życiowy samodzielnie telewizor przytargał do domu i bez konsultacji z lekarzem prowadzącym, uruchomił. Już pierwszy emitowany program, czyli łopata pedagogiczna o nazwie „Ekonomia na co dzień", mocno człowieka wzruszył, całkowicie przekreślając efekty wcześniejszej kuracji. Stefek najpierw słuchał i oglądał bardzo pilnie, potem zaczął przekonywać rodzinę, że wysokie ceny chronią ją przed luksusem, następnie gorący pieniądz zamknął w lodówce, zaś szwagrowi kazał obciąć nawis. Dopiero kiedy na ekranie pokazał się facet z wąsikiem, który rzekomo odgrywał jakąś scenkę rodzajową o budżecie domowym, Życiowy wkurzył się nie na żarty. Tymczasem facet w telewizorze gadał z szybkością pepeszy, odstawiał hołubce i stroił miny jak Fantomas w cywilu, co biednego oglądacza doprowadziło do szewskiej pasji. „Nie pozwolę, żeby ten z wąsikiem przedrzeźniał mnie, człowieka chorego!" — powiedział Stefek i już chciał gościa skasować, ale okazało się, że brakuje instrukcji obsługi aparatu, więc za cholerę nie można znaleźć wyłącznika. Tu zaszło podejrzenie, iż producent telewizorów w ogóle nie montuje wyłączników, bo i tak mało kto z tych urządzeń korzysta, co potwierdzają statystyki lekarskie.

W dalszej kolejności Życiowy odebrał solidny ładunek tzw. poezji niepokoju moralnego, którą zniósł bardzo dzielnie, aczkolwiek trochę pochlastał się żyletą. Natomiast gwałtowny powrót schorzeń pacjenta wywołał „Powrót do Edenu" — repeta horroru o wstrętnym krokodylu i brzydkim kaczątku. Użyto kaftan bezpieczeństwa.

Atoli w sobotnie przedpołudnie miało miejsce zdarzenie, które spadło na Życiowego niczym bukiet świeżych kwiatów wczesną wiosną. Oto telewizja po raz dwieście sześćdziesiąty czwarty puściła szlagier siedmiu kolejnych pokoleń znany pod kryptonimem „Czterej pancerni i pies". Życiowy popłakał się jak dziecko. Zaraz po obejrzeniu odcinka serialu, nucąc piosenkę „Jak to fajnie na wojence, że też ich nie było więcej", wyszedł z domu i dotychczas nie powrócił.

Ostatnio widziano go jadącego samochodem „Trabant" z napisem „Rudy" oraz rurą kanalizacyjną na dachu. Podobno często zagląda do sklepów „Polmozbytu" w poszukiwaniu oporopowrotnika i wichury. Psa nabył oczywiście także, ale tylko marki ratler, bo po kursie „Ekonomii na co dzień" biegle wyliczył, że jako osobnik nie zatrudniony na stanowisku robotniczym, czyli psychiczny, ze swego kartkowego przydziału mięsa wyżywi jedynie małogabarytowego czworonoga. Opiekun Życiowego, niejaki Łysol, autorytatywnie stwierdził, iż zachowanie Stefana jest zupełnie naturalne i powszechne w czasach emisji serialu o pancernych. Medycyna określa je jako „zespół Nałęckiego" — od nazwiska twórcy dzieła filmowego.

Ze źródeł zazwyczaj dobrze poinformowanych doszły nas słuchy, jakoby Stefan Życiowy zbierał podpisy pod petycją o niezwłoczne dokończenie serialu „Życie na gorąco". Są jeszcze wolne łóżka...

REZERWOWA II

2

Jeden robi, drugi psuje

Obśmiane już na wszystkie sposoby hasło: „Polak potrafi" — wcale nie jest takie głupie, jakby się to pozornie wydawało. Z hasłami już tak jest, że nadużywane nie tyle powszednieją, co stają się niekiedy zaprzeczeniem treści mających być upowszechnianymi. Otóż Polak potrafił budować, co prawda za pożyczone pieniądze, ale nie potrafił tego, co zbudował, właściwie wykorzystać. Mamy dziś spory potencjał produkcyjny i spore długi oraz kryzys, z którego — mimo wielu i różnych oficjalnych zapewnień — ciągle jakoś wyjść nie możemy. No, więc potrafi Polak, czy nie?

W „Kurierze Polskim" wyczytałem o spotkaniu miłośników barwy i broni z inż. Kazimierzem Czerniawskim, który w czasach okupacji nosił pseudonim „Korebko" i zajmował się produkcją polskiej wersji angielskiego pistoletu maszynowego „sten". Te „stenY" produkowano w Suchedniowie, pod bokiem Niemców, mimo ich kontroli, były lepsze niż ich angielskie wzory. Do „stena" używano amunicji kaliber 9 mm. Każdy pistolet maszynowy wymaga innej, fabrycznie dostosowanej amunicji. Inż. Kazimierz Czerniawski wpadł na oryginalny pomysł. W okupowanej Polsce nie było znów tak łatwo o angielską amunicję 9 mm, było natomiast pełno amunicji o tym samym kalibrze, ale innego pochodzenia. Skonstruował więc tak polską wersję „stena", że pistolet maszynowy mógł strzelać każdą amunicją i na dodatek ładowanej „jak leci" do magazynka. No, proszę — jednak Polak potrafi i takie cuda robić, jak przyjdzie potrzeba.

Kto interesuje się historią drugiej wojny światowej, a szczególnie wojną obronną we wrześniu 1939 roku, powinien wiedzieć, że ówczesne wojsko polskie dysponowało znakomitym karabinem przeciwpancernym Ur 1935, kaliber 7,92 mm. Karabin ten przewyższał swój niemiecki odpowiednik. Był o 7,5 kg lżejszy, miał mniejszą siłę odrzutu — karabin niemiecki mógł niesprawnemu żołnierzowi uszkodzić obojczyk — był karabinem pięciostrzałowym i — co najważniejsze — wybijał w pancerzu otwór trzykrotnie większy. Polski przemysł zbrojeniowy wyprodukował tuż przed wojną pistolet maszynowy MORS 1939. Słynna pepesza G. Szpagina powstała dopiero w 1941 roku. Jedynie Niemcy w 1939 roku dysponowali pistoletami maszynowymi. Tylko, że Niemcy mieli tego sporo, a Polska ledwo 50 pm MORS. Również znakomite karabiny przeciwpancerne Ur 1935 były dokładnie zakonspirowane przed wywiadem niemieckim i żołnierze dostali je dopiero po wybuchu wojny. A więc Polak potrafi zrobić coś dobrego, nawet bardzo dobrego, tylko z wykorzystaniem tego jest gorzej.

Przed rokiem 1918, kiedy nie było państwa polskiego, wielu Polaków emigrowało i szukało dla siebie różnych możliwości wykazania swojej inicjatywy, wiedzy i umiejętności. Franciszek Sokulski budował w Turcji w XIX wieku linie telegraficzne, Ernest Malinowski w Ameryce Południowej kolej transandyjską, Stanisław Kierbedź mosty w Rosji. Jeden zbudował w Warszawie i stąd nazwano go mostem Kierbedzia. Most ten zniszczony został w czasie Powstania Warszawskiego. Władysław Małachowski, który przybrał sobie nazwisko Leon Warnerka, był pionierem fotografii w Anglii.

Polacy — już po odzyskaniu niepodległości — zasłużyli się w rozwoju lotnictwa. Władysław Bernadzikiewicz pracował przed 1939 rokiem nad konstrukcją silnika turboodrzutowego. Jerzy Dąbrowski i Jerzy Drzewiecki byli konstruktorami samolotów bombowych, a Zygmunt Pułaski — samolotów myśliwskich.

A przecież i dziś w pracowniach, laboratoriach, instytutach naukowych i technicznych powstają ciekawe rozwiązania, trwają poszukiwania nowych rozwiązań. Praktyka pokazuje, że wiele rodzimych rozwiązań wcale nie jest gorszych od zagranicznych. Ale ta sama praktyka pokazuje, że wiele oryginalnych rozwiązań nie może doczekać się wprowadzenia w życie.

Napędzanie silników samochodowych drzewnym gazem nie jest nowością. Znane to było już przed drugą wojną światową, a i w czasie tej wojny wykorzystywane przez Niemców. Dziś, kiedy coraz trudniej z kupnem ropy naftowej przynajmniej dla nas, wrócono do tego pomysłu. Taki silnik napędzany gazem drzewnym powstał w Instytucie Technologii Drewna w Poznaniu. Już w 1982 r. zastosowano go w samochodzie dostawczym „Żuk". Zainteresował się tym WZGS „Samopomoc Chłopska" w Krakowie. Miano szerzej zastosować gaz drzewny do napędzania samochodów dostawczych, ale zabrakło blachy miedzianej i cały pomysł jakby się rozpłynął w nadwiślańskiej mgle. Nikt inny tym pomysłem już się nie zainteresował. A na przykład powinni... leśnicy. Paliwa byłoby u nich pod dostatkiem. Wcale nie musieliby wydawać pieniędzy na benzynę. Nie ograniczałyby ich też kartki na benzynę. Ale ich to nie interesuje.

Nie ma żadnego powodu wpadać w zachwyt, jacy to my zdolni, najzdolniejsi na całym świecie. Nic podobnego. Ot, po prostu — jak wszędzie — są wśród nas ludzie zdolni, pomysłowi, dobrze wykształceni. Ale są i tacy, którzy nie potrafią tego wykorzystać. Co jeden zrobi, to drugi zepsuje. I to jest najgorsze, najniebezpieczniejsze. Polak potrafi i dobrze zrobić, noś nowego wymyślić i wszystko popsuć. Może by tak tych psujów jakoś ograniczyć, odebrać im możliwość działania?

WITOLD BOROWY

3

Dwadzieścia centymetrów

Znajoma przyszła kompletnie roztrzęsiona. Zdarzyło jej się okropne przeżycie w sklepie. Stojąc w kolejce po mleko i bułki, czytała gazetę. W pewnej chwili, podeszła do niej jakaś stara kobieta i popychając, zażądała przesuwania się do przodu. Znajoma, zaczytana, nie mogła tak od razu pojąć, czego od niej żądają, ale rychło usłyszała dobitne wyjaśnienie: Tu się nie czyta („Polityki" — jakby co)! Przesuwać się. Znajoma, człowiek rozsądny i na ogół realistka, znosi pokornie i bez sprzeciwu — jak powiada — konieczność tłoczenia się w zapchanych autobusach i tramwajach. Rozumie, że trzeba znieść czyjeś łokcie, plecy czy biust wbity we własne plecy lub brzuch, bo jest ścisk, wszyscy chcą dojechać, każdemu się śpieszy. Ona to rozumie. Ale w jednym punkcie znajoma przyznaje się do niedzisiejszości. Otóż — zgodziwszy się na wspomniane wyżej nieuniknione przymusy — ma ona szczególnie mocno rozwinięte poczucie tzw. „odległości osobniczej", nietykalności, odrębności, czy jak to tam jeszcze nazwać. Jednym słowem — wyjąwszy sytuacje intymne i najbardziej prywatne — znajoma moja nie cierpi być bez potrzeby dotykana. Nie lubi zbytnio namolnego fundowania grabuli każdemu i z byle okazji, nie cierpi obcałowywania się z przyjaciółkami na pożegnanie, nie znosi rozmawiania z drugim człowiekiem nos w nos. Ona lubi mieć komfort półmetrowej odległości od innych jednostek. To jest jej przedwojenny kaprys, ona rozumie jego nieprzystosowanie do dzisiejszych warunków. Ale ona może za to wskazać sto osiemdziesiąt dwa podręczniki naukowe, w których mówi się o konieczności uszanowania wzajemnego między ludźmi owej właśnie odległości osobniczej. Nawet prawodawstwo cywilizowanych krajów uwzględnia to psychologiczne zjawisko, chroniąc niezbywalnym prawem nietykalność cielesną jednostki. To, by nikt bezkarnie nie szarpał człowieka za klapy, nie bił, nie poniewierał itp.

Upodobanie mojej znajomej, tak często narażane współcześnie na szwank, gwałcone w środkach komunikacji masowej, lekceważone na plaży w Międzyzdrojach w sezonie, boleśnie ograniczane w tylu innych sytuacjach, nabrało niestety pewnych cech chorobliwych. Zawsze tak się dzieje, kiedy coś niesłychanie dla nas ważnego bywa nam wydzierane czy opluwane. Zaczynamy wówczas reagować nieco gorączkowo, histerycznie, a nawet panicznie. Robimy się przewrażliwieni i wszędzie wypatrujemy zagrożenia. Otóż moja znajoma ma świadomość, że taką chorobliwą nieco oznaką obrony swej nietykalności osobistej, jest jej reakcja na stanie w kolejce. Kolejka, jako zinstytucjonalizowany produkt współczesności, ma w naszym kraju szereg reguł i prawideł, które — naturalnie wytworzone, zmuszają do uległości. W kolejce należy się zachowywać zgodnie z prawem zachowania masy.

Przeważnie w takich wypadkach, moja znajoma porzuca kolejkę, jak twierdzi bowiem, nie ma takiego dobra spożywczego czy materialnego, dla którego zdobycia zniosłaby cudzy biust na swoich plecach. Boi się bowiem tego, że jej organizm, wprowadzony taką sytuacją w stan najwyższego podrażnienia, mógłby zareagować zupełnie niespodziewanie. I wykonać pokazowe torsje. Niestety, raz już się to zdarzyło mojej znajomej, gdy kilkakroć upominana dama popychająca ją swoim przepoconym i nie domytym cielskiem została w ten właśnie sposób przekonana o prawdziwości przykazania — nie dotykaj bliźniego swego nadaremno.

Mojej znajomej wydawało się mimo wszelkie doświadczenia, iż jej fizyczny wstręt kolejkowy nie jest najbardziej nagannym ze szmergli. Tym razem jednak zdarzyło się, iż prośba o dwadzieścia centymetrów grzeczności, a także o niekomentowanie faktu czytania gazety (kolejka nie mogła ścierpieć prześwitu między moją znajomą, jej rozłożoną „Polityką" a poprzedzającym ją klientem) wywołała taką eksplozję, że w jednej chwili poniosły emocje. „Za plecami — powiada znajoma — stało babsko o kubaturze lokomotywy. Wielgachna, wypasiona i wrzeszcząca na mnie najgłośniej. No więc nie wytrzymałam, puściły mi nerwy, jeszcze raz zażądałam zabrania łap, niepopychania mnie (no, zobacz, pchamy cię, a ty nic nie możesz zrobić, no, spróbuj podskoczyć) i zapowiedziałam, że dam po pysku. I dałam. Jak boga kocham dałam. Pierwszy raz w życiu zrobiłam coś takiego. Ale nim ochłonęłam, po własnym wyczynie, zostałam pobita ja. Stłuczono moje okulary, szarpano odzież, plugawiono słowem". Ucieczka ze sklepu zakończyła ten horror. Ale moja znajoma wciąż nie mogła przyjść do siebie. Było jej potwornie wstyd, że uniesiona nerwami, zachowała się dokładnie tak samo, jak gawiedź sklepowa, zdumiona jej żądaniem nietykalności. Poczucie skondensowanego wstrętu fizycznego spowodowało niekontrolowaną, niedopuszczalną reakcję.

Trudno nie uznać prawa znajomej do zachowania nietykalności, lecz nie sposób usprawiedliwić jej postępku. I to właśnie, napawa ją wstydem i upokorzeniem. Że walcząc o oczywistość, o bezdyskusyjne prawo, unurzała się w gnoju codziennego chamstwa.

Skoro grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą, może dałoby się uratować choćby te dwadzieścia centymetrów grzeczności. Być może jest to ostatnia zapora przed nowocześniejszą metodą ratowania człowieczeństwa: chamstwu — należy się przeciwstawiać siłą.

MALAGA

4

Sport

Rozczarowanie

Ucieszyłam się nawet na wiadomość o tym, że w środę nie będzie normalnej ligowej młócki, a tylko 10 finalistów mistrzostw świata w Meksyku rozegra mecze kontrolne. Polacy w Kadyksie spotkają się z Hiszpanami. Dariusz Dziekanowski, który — jak to zauważono w „Rzeczypospolitej" — pełni teraz rolę rzecznika prasowego polskiej reprezentacji piłkarskiej, odbierając tym samym chleb Edwardowi Mikołajczykowi, oświadczył był dziennikarzom, że „wszystkie nasze przygotowania przebiegają zgodnie z planem, a podczas meczu z Hiszpanią powinna potwierdzić się nasza dobra dyspozycja". Zdanie to wyraźnie świadczy o tym, że Dariusz Dziekanowski doskonale pełni swoją nową rolę.

W środowy wieczór usiadłam przed telewizorem pełna nadziei. Dariusz Dziekanowski nie krył wprawdzie, że „to będzie bardzo trudny mecz", ale przecież jeśli drużyna jest w dobrej dyspozycji, to sobie i z trudnym przeciwnikiem poradzi. Gdy rozległ się sędziowski gwizdek i doping hiszpańskiej publiczności nadzieje mnie nie opuszczały.

Nasi grali wspaniale. Już w pierwszych minutach meczu zrozumiałam, że Antoni Piechniczek wymyślił bardzo chytry plan, a nasi wspaniali chłopcy realizują go z benedyktyńską dokładnością. Najpierw rozpuszczano plotki, że Roman Wójcicki jest chory na grypę i jego miejsce zajmie Stefan Majewski. Trener zaskoczył przeciwnika i na boisko weszli obok siebie Roman Wójcicki i Stefan Majewski. To był chwyt taktyczny znakomity. W ogóle cały mecz był jednym wielkim chwytem taktycznym. I bardzo dobrze. Przeciwników trzeba zmylić. Na trybunie w Kadyksie zasiedli przecież specjalni wysłannicy naszych przeciwników z Meksyku, aby podpatrzeć nasze słabe strony. Więc Antoni Piechniczek postanowił, że nasza drużyna pokaże tylko i wyłącznie swoje słabe strony. Niech się przeciwnik da nabrać. Polacy zaskoczą ich dopiero na miejscu.

Na boisku w Kadyksie Polacy najlepiej grali pod własną bramką. Nawet dość precyzyjnie podawali sobie piłkę na własnej połowie. Gdy jednak przyszło przekroczyć środek boiska dawali się z dziecinną łatwością ogrywać Hiszpanom. Pozwalali im grać dobrze, nie przeszkadzali w kontrach, pozwolili nawet trzy razy celnie strzelić do swojej bramki. Przyznam się, że te gole nawet mnie nie zmartwiły. Wprawdzie Dariusz Szpakowski tłumaczył, że to tylko mecz towarzyski, że tylko sprawdzian, że nie ma czym się martwić, choć — zaraz się zastrzegał — jednak wynik pójdzie w świat i zapiszą go kroniki piłkarskich spotkań.

Do przerwy było dwa do zera dla Hiszpanii.

Hiszpanie mają dobrą passę i od jakiegoś czasu nie dali sobie strzelić bramki. Polakom też to się nie udało i nawet nie bardzo próbowali. Andrzej Buncol usiłował strzelać, ale nie strzelał celnie. Zbigniew Boniek wyraźnie pokazywał obcym obserwatorom, że nie jest zgrany z zespołem i nie bardzo ma z kim grać i z kim się rozumieć podczas ataku na obcą bramkę. W ogóle polscy piłkarze raczej chcieli na siłę dowieść obserwatorom, że drużyna nie jest zgrana, że piłkarze na boisku nie rozumieją się, że nie potrafią wyzwolić się ze złych nawyków ligowej sieczki.

Druga połowa meczu przekonała mnie, że mam rację. Na ogół w przerwie trener bierze swoich chłopców, mówi im, co o nich myśli, gdy grają jak patałachy, chłopcy biorą się do roboty i próbują nadrobić straty. Ale widać Antoni Piechniczek chłopców pochwalił, że znakomicie realizują jego plan zmylenia wszystkich przeciwników naraz. I mimo, że na boisko weszło czterech nowych piłkarzy, zmieniając kolegów, obraz meczu w niczym się nie zmienił. Nasi udawali, że nie potrafią dobrze grać i nie mają po co jechać do Meksyku. Bardzo mnie to wszystko ucieszyło. Ale spryciuchy!

I całą zabawę popsuł mi dopiero Andrzej Feliks Żmuda, który powiedział w pomeczowym komentarzu, że jeśli nasi chcieli zmylić przeciwnika, to zrobili to wspaniale, ale on w to nie wierzy. Oni po prostu nie są przygotowani do mistrzostw. Zatem i obserwatorzy na stadionie w Kadyksie pewnie też nie dali się nabrać.

Rozczarowanie moje pogłębiła wiadomość z Węgier, gdzie nasza młodzieżówka przegrała do 5, nie strzelając Węgrom ani jednej bramki, odpadając tym samym z rozgrywek mistrzostw Europy. A trener Hiszpanów swój skład na Mundial oparł właśnie na graczach młodzieżowej reprezentacji. Tak więc nie mamy ani dobrej reprezentacji kraju, ani dobrych następców. No, bo przecież Polacy w meczu z Węgrami nie mieli już powodu udawać, że nie potrafią grać. Oni po prostu nie potrafili.

Smuto mi się zrobiło. Do mistrzostw zostało kapkę więcej niż dwa miesiące. Co nas czeka w Meksyku? Znów rozczarowanie?

BOGDA MADEJ

Wielki las

(39)

ZBIGNIEW NIENACKI

Wyszedł na piaszczystą drogę i zatoczył się w las. Był pijany, choć potrafił wypić więcej wódki. Lecz ta kolorowa, którą na końcu podała Weronika, musiała mu zaszkodzić. Zataczając się szedł wolno piaszczystą drogą, czkając i powstrzymując wymioty.

Horst zauważył, że Weronika zawiązuje na głowie chustkę.

— Co ty? Dokąd idziesz? — zapytał zaniepokojony.

— To moja sprawa — odburknęła. — A co to? Nie wolno mi?

Nic nie rozumiał. Czyżby chciała tego pyszałka, pijaka, leśnego człowieka? Nigdy nie otrzyma w darze jego domu i sadu. „Suka" — pomyślał kierując się do swojego pokoju.

Noc była ciemna, przepełniona hukiem drzew leśnych i poświstami wiatru. Wierzchołki ocierały się o siebie z lekkim jękiem, wszędzie coś szemrało, trzaskało, postękiwało. Znał dobrze te odgłosy nadleśniczy Tarchoński i nawet je lubił. Zataczał się na całą szerokość drogi, spadła mu czapka, z trudem znalazł ją klęknąwszy i macając wokół siebie jak ślepiec. Ale już z klęczek wstać nie potrafił. Zaczął głośno wymiotować.

Nagle poczuł na swoich plecach uderzenia wilczych pazurów. Usłyszał wściekły charkot i ostre kły zwierzęcia wbiły mu się w kark. Zdawało mu się, że ktoś odrywa od niego zwierzę, aby go nie zadusiło, rzucił się na płask na ziemię i zasłonił twarz dłońmi. Wilk zaczął go wtedy szarpać za ramiona, za łokieć, wyrywał mu z łydek i ud żywe mięso wraz ze strzępami munduru. Tarchoński krzyczał o pomoc, zwierzę gryzło go jak oszalałe. Zapamiętał ogromny, przenikający go do głębi ból.

Raptem charkot ucichł, usłyszał głosy ludzkie. Kilku ludzi szło drogą od strony szosy. Spłoszyli zwierzaka, który — jak sądził — przegryzłby mu w końcu gardło i uśmiercił.

Traktorzysta Budrys i gajowy Wzdręga znaleźli Tarchońskiego na piaszczystej drodze w pobliżu szosy. Zawieziono go do szpitala, gdzie lekarze potwierdzili pokąsanie przez dzikie zwierzę, najprawdopodobniej wilka. Zresztą w całej okolicy wiedziano, że w wielkim lesie od pewnego czasu grasował samotny wilk. Nadleśniczy Masłocha jeszcze wiosną odnalazł ślady jego łap utrwalone w błocie.

Od tego czasu gajowy Wzdręga idąc do swej gajówki w stronę plantacji nasiennej, zawsze nosił przy sobie strzelbę. Mówił o wilku jak wszyscy, ale bacznie patrzył na psa imieniem Ivo w obejściu i w sadzie Horsta Soboty. Pewnego dnia poprosił o przeniesienie w drugi koniec wielkiego lasu, gdzie właśnie zwolniła się gajówka. Kiedy się wyprowadzał i na przyczepę traktora wynosił swoje rzeczy, na jego podwórko przyszła Weronika i zapytała go, czy nie odsprzeda jej szafy na ubrania, która pochodziła z domu Horsta, a zabrał ją kiedyś Wzdręga, kiedy Sobota przebywał w niewoli.

— Czemu nie. Mogę sprzedać — zgodził się Wzdręga.

Dobili targu i tą samą przyczepą odwiózł Wzdręga szafę na ubrania do domu Horsta. Na odjezdnym zapytała go Weronika:

— Pamięta pan ten wieczór u Kuleszy, kiedy pomagał pan mnie trzymać, żeby Kulesza miał zadowolenie?

— Nie pamiętam. Nigdy u was nie byłem — odparł twardo Wzdręga.

Uśmiechnęła się Weronika i kiwnęła głową. Ona też chyba przypomniała sobie, że Wzdręgi tam wtedy nie było.

Rozdział czternasty

Bullow stał w bramie domu i przez wąską jezdnię patrzył w oświetlone szyby wystawowe sklepu z rowerami. Pobliski Pchli Targ już prawie zupełnie opustoszał, pomiędzy zamkniętymi budami straganów włóczyły się tylko psy. Ulica była skąpo oświetlona, przechodniów niewielu. Ukryty w cieniu, mało zauważalny widział dobrze nie tylko wnętrze sklepu, ale i fasadę całego domu. Pierwsze piętro, które stanowiło mieszkanie Bullowa, miało ciemne okna i zasunięte sztory (tak jak je zostawił przed rokiem). To mógł być jednak tylko pozór, że nic się nie zmieniło. Na przykład Yvette przytyła, jej włosy wydawały się bardziej rude niż dawniej. W sklepie nie widział kupujących; Yvette pochylona nad kontuarem i wsparta o niego łokciami, robiła jakieś rachunki, potem na chwilę przeszła do tej połówki sklepu, gdzie na półkach znajdowały się części rowerowe, coś tam sprawdziła. Otwarte drzwi na zaplecze świadczyły, że tam chyba przebywał jej mąż, stary Malajczyk. Na jego pojawienie się czekał Bullow, aby po tak długiej nieobecności jeszcze bardziej upewnić się, że wszystko tu jest jak dawniej.

Cały ten jednopiętrowy dom — ze sklepem na parterze, mieszkaniem na piętrze, mikroskopijnym podwórkiem na tyłach — należał kiedyś do Bernadetty, a teraz formalnym jego właścicielem był Bullow. Do mieszkania prowadziło wejście przez sklep, gdzie znajdowały się drzwi do wewnętrznej sieni i korytarzyka na górę. Ale Bullow mógł także dostać się do mieszkania otwierając sobie bramę przy sklepie. Tą bramą wjeżdżał dawniej samochodem i parkował go na małym podwórku za domem. To właśnie z tej sieni zamkniętej bramą wchodziło się zarówno na zaplecze sklepu jak i do korytarzyka na piętro. Do zamknięcia sklepu pozostawała aż nadto wystarczająca ilość czasu, aby przekręcić klucz w zamku bramy, prześliznąć się do sieni, wejść cichuteńko na piętro i znaleźć się w mieszkaniu. Skrytka z jego starym paszportem znajdowała się w łazience. Bullow musiał mieć przecież bezpieczne miejsce na ukrywanie niektórych swoich papierów i mikrofilmów. Kiedy żenił się z Bernadettą powiedział jej, że powinni wyremontować staroświecką i mocno zniszczoną łazienkę. Wtedy to wymieniono malutkie okienko. Zamiast spróchniałej drewnianej framugi wstawiono gotowe okno z aluminiową ramą. Samo okno przyczepione zostało do aluminiowej framugi dwoma zawiasami z trzema blachowkrętami. Wystarczyło usunąć środkowe blachowkręty w każdym zawiasie, aby dostać się do niewielkiego schowka we framudze. Policja mogła bez końca przeszukiwać mieszkanie, opukiwać ściany, zdzierać tapety, zrywać podłogę, ale wątpliwe czy komuś przyszłoby do głowy, aby zbadać aluminiową framugę w łazienkowym okienku. Zresztą, nie zawierała żadnych wielkich tajemnic: stary paszport Bullowa, strzykawkę i kilkanaście fiolek ketaminy. Kiedy Bernadetta dostawała narkotycznego szału, zaś Bullowowi nie chciało się jej rznąć lub szukać dla niej prochów, brał ze skrytki ketaminę i robił jej zastrzyk nasenny, wmawiając, że wstrzykuje jej coś mocniejszego. Bullow dostanie się więc do swojego mieszkania, otworzy skrytkę w łazience, zabierze swój stary paszport i odejdzie stąd bez śladu. Yvette i jej mąż nigdy się nie dowiedzą, że on tutaj wrócił i nawet przebywał w swoim mieszkaniu przez kilkanaście minut. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby tę akcję zacząć od razu, teraz, na pewien czas przed zamknięciem sklepu. Uczono go jednak, że w takich jak ta sytuacjach pośpiech stawał się największym wrogiem. „Patrz uważnie na dom, na sklep, na Yvette" — coś mu mówiło, a on zazwyczaj słuchał takich wewnętrznych szeptów.

Z zaplecza wyszedł nagle młody mężczyzna z dziecięcym rowerkiem w ręku. Rowerek błyszczał niklem, zapewne na zapieczu młody mężczyzna czyścił go z kurzu, oliwił, gdyż miał jeszcze oliwiarkę w ręku. Opuścił z sufitu malutki podnośnik, umieścił na nim rowerek i podciągnął go aż pod sufit. Mężczyzna był szczupły, mały, z długimi jasnymi włosami. Sprawiał wrażenie niedorostka. Na krótką chwilę wszedł za kontuar i pogłaskał wypięty tyłek Yvette, która robiła rachunki wsparta na łokciach. „Przyjęli pomocnika" — pomyślał Bullow i oczekiwał, kiedy w drzwiach zaplecza pojawi się również stary Malajczyk. Ale tak naprawdę wcale już na niego nie czekał, ponieważ ten sklep nigdy nie miał aż takich zysków, aby trzeba było przyjmować pomocników. Co innego Bullow. On jednak przybył tu na innych zasadach i w innym celu. Wynagrodzenie od Bernadetty brał tylko na papierze, ktoś inny mu płacił, a być może płacono także Bernadetcie.

Mięśnie ramion i barków Bullowa napięły się pod swetrem — czuł niebezpieczeństwo i ogarniał go niepokój. „Do diabła, gdzie jest stary Malajczyk?" — zapytywał siebie.

Młody mężczyzna znowu pogłaskał wypięty tyłek Yvette. Coś do niej powiedział, a ona zaśmiała się podnosząc głowę znad rozłożonej na kontuarze kartki papieru. Nie zachowywaliby się chyba tak śmiało gdyby za chwilę jej mąż miał wyjść z zaplecza.

Bullow był niemal pewien, że tak jak przestał istnieć zacumowany w kanale statek, gdzie mieszkała Yvette z mężem, tak samo przestał istnieć jej mąż, stary Malajczyk. Może umarł, ponieważ nie był zdrowy. Być może Yvette zrobiła to, co kiedyś proponowała Bullowowi. Ktoś z firmy wkrótce zbada tę sprawę i kto wie, czy nie stanie się to jedynym sukcesem obecnej wyprawy Bullowa. Ale Bullow otrzymał wewnętrzny sygnał, że wiele się tu zmieniło, a jeśli tak — to należało jednak działać natychmiast.

Przeszedł szybko jezdnię, przytulił się do bramy, otworzył ją własnym kluczem, wśliznął się do sieni i zamknął za sobą bramę. Potem na palcach przemknął obok drzwi na zaplecze sklepu, wszedł do korytarzyka i po ciemku wspiął się na piętro.

Jego klucze nie pasowały do zamka w drzwiach mieszkania. Należało się tego spodziewać, gdy nie zobaczył statku w kanale. Yvette i ten młody człowiek wprowadzili się do jego mieszkania wykorzystując nieobecność właściciela. Rzecz jasna najpierw zmienili zamki w drzwiach, aby Bullow, jeśli wróci, musiał szukać z nimi kontaktu. „Zapewne zaplanowali, że zaproponują mi jakieś pieniądze za to mieszkanie" — rozmyślał, grzebiąc w swoim pasku od spodni. Zamek okazał się bardzo prymitywny, już po minucie otworzył go i wszedł do mieszkania. Drzwi za sobą nie zamknął, gdyż to znowu zajęłoby trochę czasu, jako że to nie była zasuwa, ani zatrzask. Ile minut zajmie mu pobyt w łazience? Najwyżej pięć albo dziesięć. Yvette i ten młody człowiek jeszcze przez prawie godzinę muszą siedzieć w sklepie i czekać na klientów. Pomyślał z humorem, że to im zaoszczędzi przykrej rozmowy oraz pieniędzy na zasiedlone mieszkanie.

CDN

Okryła się kocem, żeby kierowca nie zobaczył podartej sukienki, wyszła z baraku, zamknęła go na klucz. Zbudziła w wozie kierowcę, usiadła na tylnym miejscu i kazała się zawieźć do domu.

Samochód Romanikowej minął siedzącego w lesie Stęborka. A on patrząc na tylne światła jej wozu, był pewien, że dostanie plantację i dom po Kuleszy. Zniknęły czerwone kręgi w oczach, wsiadł na swojego harleya i pojechał do leśniczówki.

Malwina z dzieckiem na kolanach siedziała przy wystygłym kuchennym piecu.

— Chciałam ci zrobić kolację, ale nie przyniosłeś z szopy drewek — wyznała karcąco.

— Sama mogłaś przynieść — odparł naburmuszony.

Nagle doznał wrażenia, że ta kobieta jest mdła, nijaka, dlatego nigdy z nią nie przeżyje czegoś takiego jak z Romanikową. Idąc do szopy po drewno, uśmiechał się po swojemu, obiecując sobie, że zawsze będzie na Romanikowej darł sukienki, gryzł ją i szarpał. Czuł w sobie ogromną moc i gdy na podwórzu usłyszał głęboki głos lasu, który rósł tuż za drogą, miał wrażenie, że jest także potężnie rozrośniętym drzewem, cząstką wielkiego lasu. Ile zbrodni dokonał wraz z lasem? Sprowadził Kożusznika i chciał zbudować tartak, aby wygonić starego Horsta. Złożył fałszywe świadectwo przeciw Sobocie. W końcu podpalił tartak, niepotrzebnie, bo i tak dostanie dom po Kuleszy. Nawet szkoda, że podpalił tartak, inny bowiem leśniczy miałby w sąsiedztwie ciągły pisk traka i Stęborek z prawdziwym współczuciem wysłuchiwałby jego narzekań. Jakże był głupi myśląc niekiedy o zrezygnowaniu ze stanowiska leśniczego, o ucieczce do miasta. Tu było jego prawdziwe miejsce. Należało tylko pojąć istotę lasu, oddać mu swoją duszę....

...W tym czasie nowy nadleśniczy, Tarchoński, siedział w kuchni domu Horsta Soboty. Odesłał do Bart samochód z główną księgową. Sobota kupił od lasów państwowych izabelowatą klacz, siodło i pejcz, których nadleśnictwu w specjalnym telefonogramie kazano się pozbyć. Przy takim zakupie należało coś wypić — Horst postawił na stole butelkę wódki, Weronika podała zakąski. Sobota wypił dwa kieliszki, Weronika tylko jeden, resztę wlał w siebie Tarchoński. Nie czuł się jednak pijany, a tylko podniecony. Postanowił jeszcze się uraczyć u Stęborka. Prosto od Soboty pójdzie do niego, obieca mu plantację nasienną i dom Kuleszy, a potem każe sobie podać pełen kieliszek.

— Powtarzałem, że to ja w naszym nadleśnictwie ogień rozpalę i pierwszy w ten ogień rękę włożę — mówił już po raz czwarty. — Zostałem nadleśniczym. Dziwię się, że kupił pan od nas tę starą klacz. Po co ona panu? Do zaprzęgu się nie nadaje, a tylko pod siodło.

— To dla Weroniki — wyjaśnił Horst.

— Jak się rzuciło chłopa, to dobrze i na koniu poskakać — zaśmiał się Tarchoński. I dorzucił: — Nie żal pani Kuleszy?

— Nie.

— Nie brakuje pani mężczyzny?

— Brakuje — przytaknęła Weronika.

— Rozumiem — zgodził się Tarchoński. — Kulesza nigdy mi się nie wydawał prawdziwym mężczyzną. Kolegów potrzebował, żeby się zabrać do swojej własnej kobiety.

Weronika zacisnęła usta. Nie przeżyła wieczoru, aby sobie nie przypominała tej chwili, gdy u Kuleszy pili wódkę: Tarchoński, Budrys, Wzdręga i Maryn. Tarchoński ją trzymał, Budrys rozchylił uda. Teraz stała przy kuchni i z odległości kilku kroków patrzyła na twarz Tarchońskiego, na jego okulary, wielką szopę włosów. Chwilami ta twarz jak gdyby olbrzymiała i zakrywała jej cały świat — chyba od tej nienawiści, którą w niej rozbudził samym swoim pojawieniem się w ich domu. Nie okazała tego po sobie, gdyż chodziło o klacz Maryna, o jego siodło, o jego pejcz. Innych rzeczy Maryna nie znaleziono, bo wszystkie fotografie już przed tym ukryła w swoim pokoju. Często je oglądała — zakrwawione, poranione twarze. Ale brakowało na tych zdjęciach gęby Tarchońskiego. Teraz miała ją przed sobą, napuchniętą od wódki, z błyszczącymi oczami, zadowoloną z siebie.

— Skoro siodło, klacz i pejcz kazali wam sprzedać, to znaczy, że strażnik łowiecki nigdy tu nie powróci — ostrożnie zaczął Sobota.

— A pewnie. Nigdy tu nie był potrzebny żaden strażnik łowiecki. Diabli przynieśli do nas tego człowieka i diabli go zabrali.

— I pan nie wie, gdzie on jest teraz? — zapytał Sobota.

— Nic mnie to nie obchodzi. Najważniejsze, że tutaj nie wróci, ponieważ ludzie nie wiadomo dlaczego trochę się go bali.

„Wróci" — pomyślała Weronika. — „Wróci po moje ciało. Po to, żeby mnie wziąć jak prawdziwą kobietę".

„Wróci" — pomyślał Sobota. — „Wróci, bo musi dokończyć walkę z lasem".

Weronika chciała się spodobać Tarchońskiemu. Splotła dłonie nad piersiami, aby miał te jej duże cyce jak na tacy. I widział jej brzuch, biodra, długie nogi rysujące się pod spódnicą. Zresztą chyba ją zapamiętał nagą w domu Kuleszy i wiedział, że jest sto razy więcej warta od jego żony, małego brzydactwa, które go biło po gębie.

Horst Sobota spojrzał na nią ze zdumieniem, kiedy na chwilę wyszła i z kredensu w ich wielkiej jadalni przyniosła karafkę z kolorową wódką.

— Niech się pan z nami jeszcze napije — zachęcała Tarchońskiego. — Nie chcemy mieć w panu wroga, ponieważ zależy nam na naszym domu i sadzie.

— A na mnie pani choć trochę zależy? — zapytał Tarchoński.

— Tak — kiwnęła głową, odwracając twarz niby to wstydliwie, ale tylko po to, aby nie dojrzał nienawiści w jej oczach.

— Każdej kobiecie potrzebny jest odpowiedni mężczyzna — powiedziała Weronika. — Mówiła mi kiedyś Leśniakowa, że każda kobieta potrzebuje odpowiednio ciężkiego mężczyzny. A dla mnie Kulesza był za lekki.

Pogłaskała się po piersiach, poklepała po biodrach. Horst Sobota popatrzył na nią z oburzeniem. Nigdy nie posądzał Weronikę o tak bezwstydną wulgarność. Wstyd mu się za nią zrobiło.

— Wypijmy, panie nadleśniczy — zaproponował w końcu.

Tarchoński poczuł wilgoć w rozporku. Ta dziewczyna wyraźnie paliła się do niego i on to już odpowiednio wykorzysta.

— Jeśli zawrzemy przyjaźń, pani Weroniko — oświadczył. — Nic już waszemu domowi nie zagrozi.

— Mam jedną wadę. Czasem lubię uderzyć mężczyznę — rzekła Weronika.

— To nie jest żadna wada — zaśmiał się Tarchoński. — Powiadam wam, że nic wam nie grozi, bo już taki jestem, że gdy ogień rozpalę, to sam w ten ogień pierwszy rękę włożę..

Napił się kolorowej wódki, zakręciło mu się w głowie.

— Strażnik łowiecki, znaczy się pan Maryn — zaczął znowu Horst Sobota — wydawał mi się człowiekiem z innego świata.

— Pętak. Gówniarz — odrzekł Tarchoński. — Jeździł tą klaczą po lesie i ludzi straszył. Za wilkołaka go mieli. A pani się podobał, Weroniko?

Nie odpowiedziała. Jemu zresztą nie zależało na jej słowach. Wiedział i widział swoje.

— On też byłby dla pani za lekki. A także za wrażliwy. Gdy panią trzymaliśmy, żeby Kulesza mógł sobie z panią dogodzić, jemu zrobiło się niedobrze i wyszedł. Nie wie biedak, że kobiety czasem lubią, jak się je weźmie siłą. Moją babę też najpierw muszę zbić, żeby miała przyjemność.

— I ona pana bije — odparła Weronika.

— Tak to jest. I tak jest dobrze — przytaknął Tarchoński. — Pani też bym przyłożył w tę twardą dupę.

Weronika roześmiała się głośno i Horst nagannie zmarszczył brwi. Co się stało z tą dziewczyną? Jak gdyby obcą kobietę miał w domu.

Tarchoński nagle podniósł się od stołu. Przypomniał sobie, że postanowił dać Stęborkowi plantację nasienną, ale Stęborek siedzi w areszcie podejrzany o podpalenie tartaku. W domu pozostała tylko jego młoda żona. Podkurcz to, niemrawe stworzenie, lecz ma chyba to co trzeba między nogami. I z gęby zupełnie dobrze się prezentuje. Tu na przeszkodzie stoi mu stary Sobota. Pójdzie do Stęborka i poprosi tę kobietę o szklankę herbaty. Potem zaś zobaczy się, co z tego wyniknie. Weronikę zostawi na później.

— Dziękuję za poczęstunek. Niech pani na razie poskacze na końskim grzbiecie — pożegnał ją, nakładając na głowę czapkę nadleśniczego.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Heniek Maria Nowak

Beżowe śniegowce

byłemu poecie — Eugeniuszowi I.

pod kaloryferem
stoją równo jeden
obok drugiego
parują
kurde, żeby tylko
guma się nie fajczyła
bo będzie smród
Moje śniegowce
fantasmagoryczne
tysiąc dwieście złotych
męska siódemka
Pamiętasz, spacer
po ulicy Traktorowej
niebo gwiaździste we mnie
ostatnia połówka klubowego
i te śniegowce beżowe
Kiedyś miałem gumofilce
ale opyliłem chłopu
za pięć stów
teraz pewnie leżą na
śmietniku, tym amfiteatrze
cywilizacji, egzystencjalnym
lotnisku
Lecz was nie oddam już
moje śniegowce oba
Może jutro nie będzie lało.
1986

Bożydar Owczarek

Amorał kosmetyczny

by Stefa

Maxfactor na policzkach Twoich
kwitnie jak tulipany
w ogrodzie Bednarka
Tatarochmielowym pachną Twe
na cukier zrobione włosy
trochę jak Limahl wyglądasz
— prawie tak samo
Miracullum i mydełko biały jeleń
a może Interfragrances bije
z Twej odzieży nabytej
w placówce otexu (lewa oficyna)
Uśmiechasz się — to pepsodent
Nie? Więc zapewne azulenowa
Tak — nie mylę się
Tramp balsam Cię niesie
przez Manchester polski
dokąd?
Wacham, czuję Twój zapach
i mój potrójnej przemysławki
To tak samo jak wtedy
w Andrespolu
Czas zatrzymał się dla nas.

Z półki recenzenta

TRYLOGIA MAKOWIECKIEGO

Mało znane poza kręgiem fachowców — historyków dzieje Polski za Bolesława Krzywoustego doczekały się wielkiej powieści-trylogii pt. „Orły nad Psim Polem" Andrzeja Makowieckiego. Z opowieści dworskiego grajka, którego autor kreował na narratora i alter ego pisarza, dowiadujemy się wiele o codziennym życiu na dworze, o dyplomatycznych intrygach i bujnym życiu politycznym. Wspaniałe sceny batalistyczne! Niewątpliwym mankamentem książki jest jej przesadna erudycyjność, nagromadzenie cytatów łacińskich itp. Młody czytelnik może — w pierwszym czytaniu — niewiele zrozumieć. Dopiero druga i trzecia lektura pozwala rozsmakować się w tej pysznej, choć niełatwej prozie.

Andrzej Makowiecki „Orły nad Psim Polem" t. 1 „Bolko", t. 2 „Niemce", t. 3. „Syny". Wyd. Łódzkie str. 1784.

TYLKO DLA DOROSŁYCH

Opatruję omówienie nowej powieści Eugeniusza Iwanickiego „Oddalenie" przewrotnym nagłówkiem nie dlatego, żeby książka zawierała jakiekolwiek obscena. Wprost przeciwnie, sceny pikantne opisał Iwanicki z dużą, rzekłbym nawet — wyrafinowaną kulturą, z reguły zresztą posługując się w tych partiach książki znakomitą, godną Marcela Prousta, fransuszczyzną. Książka jest dla dorosłych ze względu na swą literacką przewrotność, wieloznaczność i głęboką aluzyjność.

W warstwie narracyjnej „Oddalenie" jest dość prostą historią obyczajową, rozgrywającą się w rodzinie ministra oraz w kuluarach Urzędu Rady Ministrów.

Eugeniusz Iwanicki „Oddalenie" KAW, str. 277.

W HOLLYWOOD

W dalekiej Kalifornii umieścił akcję swojej nowej książki Ryszard Binkowski. Nie tylko zresztą — bohater, początkowo nauczyciel szkoły podstawowej we wsi Gospodarz, później emigrant zarobkowy, wreszcie zostaje wziętym scenarzystą filmowym w centrum światowego przemysłu kinematograficznego.

Sceny w pałacach i willach gwiazd filmowych, producentów i reżyserów bardzo plastyczne i przekonywające, napisane z dużą znajomością rzeczy — Binkowski nie zmarnował czasu, spędzonego na stypendium w USA.

Na tym tle sztuczne i wydumane wydaja się realia polskiej wsi i małego miasteczka

Ryszard Binkowski „Deszcz nie pada na Beverly Hills" PAX, str. 189.

Potęga dramatu

Dobrze się stało, że dramaturgia skandynawska reprezentowana nie tylko przez Ibsena czy Strindberga znajduje dla siebie wielce przychylną aurę na łódzkich deskach. W dobie złych i miałkich komedyjek, wydumanych i słabiutkich dramacików pretendujących do miana utworów tzw teatru niepokoju moralnego, jak powiew świeżego powietrza przyjęto głęboko psychologiczną sztukę duńskiego mistrza.

Widz ma tutaj jedyną w swym rodzaju możliwość obcowania ze skandynawskim purytanizmem, wyrażającym się m. in. w tłumieniu spontaniczności przeżyć erotycznych, z ponurą obsesją grzechu cielesnego, które są wszelako motorem rozwoju nowych obszarów psychologii. Filozofia bowiem Andersena, Kierkegaarda i późniejszych, współczesnych nam egzystencjalistów, podobnie jak diametralnie od niej różna filozofia encyklopedystów oświecenia nie jest bynajmniej domeną ludzi o specjalnym przygotowaniu filozoficznym, lecz popularnym światopoglądem intelektualistów o pewnych ambicjach intelektualnych, a dręczonych przez moralne rozterki w zakresie jednostka a społeczeństwo, jednostka a system ekonomiczny.

Sztuka jest bardzo udaną próbą wyeksponowania głębi przeżyć zagubionej, uciemiężonej jednostki, której świadomość budzi się w brutalnym kontakcie z ciężkimi warunkami bytowymi Ten wątek powinien trafić szczególnie do serc współczesnej młodzieży, która w dobie energii elektrycznej, gazu propan — butan i wkraczającej epoki energii atomowej, zbyt często zapomina o trudnych początkach, kiedy ogień kojarzył się z ciepłem domowego ogniska

Myślę, że w żeńskiej roli dziewczynki, przepełnionej kobiecą delikatnością, kruchością oraz prawdą psychologiczną znakomicie sprawdziła się ANNA SENIUK, konsekwentnie uwypuklająca wszystkie swe niewątpliwe walory

Sztukę przygotowano starannie, z wielkim pietyzmem dla tekstu, praktycznie bez przestawień i skrótów, co trochę znudziło dziecięcą widownię.

JERZY KWIECIŃSKI

Hans Christian Andersen: „Dziewczynka z zapałkami", sztuka w trzech aktach. Reżyseria — HUBERT ANTOSZEWSKI, scenografia — JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, muzyka — KRZYSZTOF KRAWCZYK Premiera 1 kwietnia 1986 r

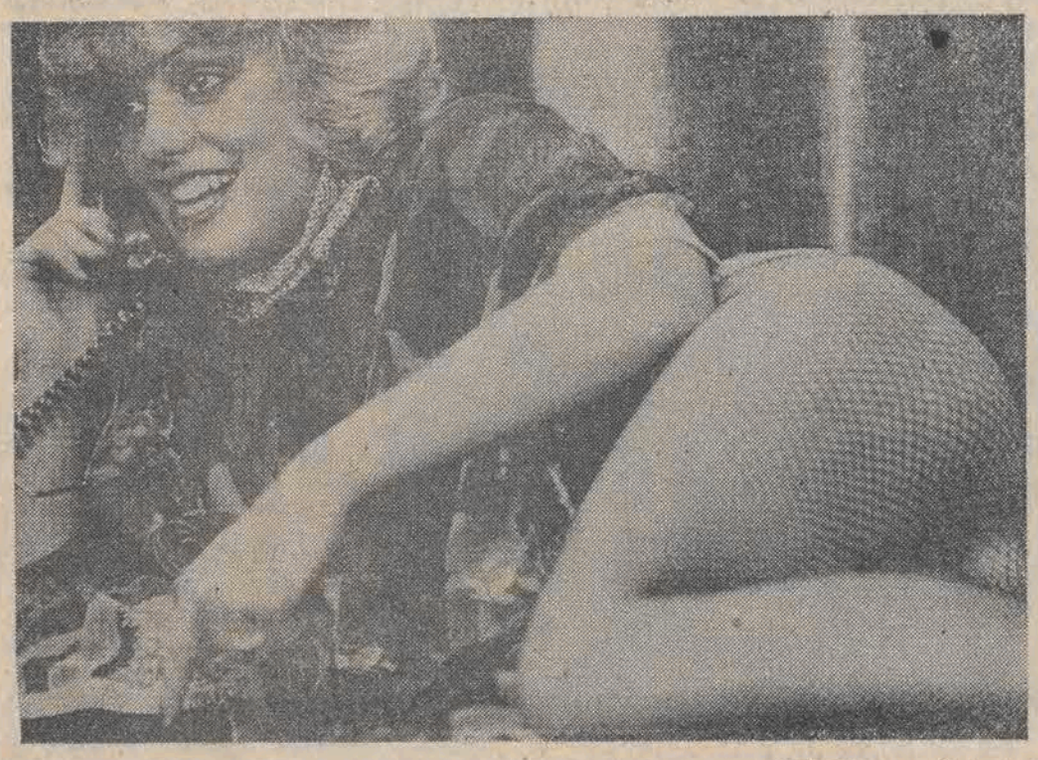

Foto: Grzegorz Gałasiński

Wielki las

ZBIGNIEW NIENACKI

Klasz zwolniła kroku, Jerzyn jednak nie uderzał jej pejczem, bo wraz z poczuciem jedności z lasem zrozumiał, że las nie każe się śpieszyć. Las był mieszany, wilgotny, Jerzyn wiedział, że takie wiaśnie są typowe śledziskowe lasy obszarów nizinnych. Zajmują śledziska średnio żyzne, wilgotne. Występują na glebach bielicowych właściwych ogleiżonych lub pseudoogleiżonych, glebach gruntowo-glejowych właściwych, murszowo-glejowych lub glebach stagnoglejowych tych z modernem typowym lub murszowatym.

Klasz ostrożnie wyminęła stosy karpiny i krościaków, przejechała mimo długiej myśly, ostrożnie przekroczyła trzy przegradzające drogę wyrwoty i weszła w drzewostan dojrzały, sosnowy, podzielony na działki żywicarskie. Jerzyn polubił tę część lasu. Już od dawna drzewostan dojrzały wykazywał wyraźne zmniejszenie przyrostu masy, chociaż jakość i wartość tej masy mogły być wyższe niż przyrastających w tym samym okresie drzewostanów młodszych W drzewostanie dojrzałym od dołu lasu przenikały zwykle takie ilości światła i opadów, które umożliwiały rozwinięcie

Rys. Janusz Szymański-Glanc

się młodszej generacji. Na działkach żywicarskich, tej części drzewostanu, która przeznaczona była do naciną spał lub zbioru żywicy w ciągu jednego dnia, widoczne były wyraźnie poznaczone warsztaty żywicarskie, tereny przydzielone jednemu robotnikowi lub zespołowi robotników do żywicowania drzewostanu. Teraz było tu pusto.

Jerzyn tylko z początku czuł się wśród drzew jak za kratami więzienia, potem rapotownie pojął, że tylko jeszcze wielki las ofiarowuje mu nieskończoną wolność, jakże piękne i przyjazne zaczęły mu się wydawać olchy na bagnie, jak pieszczoty przyjmował leciutkie drapania świerkowych igieł, a kiedy brał w dłonie liść dębu, ten podstawowy, dwuboczny, symetryczny organ pełniący w roślin naczyniowych funkcje fotosyntezy i transpiracji, a jednocześnie stanowiący część składową pędu, wydawało mu się, że słyszy szelest podobny do tego, gdy dotyka się strony nie przeczytanej książki.

Klasz przyśpieszyła. Zjechała w dolinę, gdzie był grąd niski, pełen grabów, dębów i świerków. Jerzyn wiedział, że grąd niski określił niegdyś J. J. Karpiński, wróżniając ten typ biocenozy leśnej z grabem, dębem i świerkiem — jako gatunkami panującymi. Przypomniał sobie, że w gradzie wysokim gatunkiem panującym działa Justyna.

Gdy Jerzyn wjechał między szczerbate płoty ogradzające pierwsze wiejskie domy, zatrzymała konia. Za płotem stała Justyna. Nieruchoma, wyprostowana jak najwyższa sosna w drzewostanie dojrzałym, patrzyła przed siebie nie widząc nic i nie słysząc. Zastanawiała się, dlaczego nikt nie może odpowiedzieć na dręczące ją we dnie i w nocy pytanie. Justyna myślała, dlaczego w pewnych układach partnerskich idzie wszystko niezwykle harmonijnie, a w innych nie, pomimo że partnerzy są zdolni do prawidłowego przeżywania stosunku wraz z orgazmem, jak również, dlaczego w przypadku braku zainteresowań seksualnych u danego mężczyzny czy oziębłości u kobiety w zetknięciu z innym partnerem nagle pojawia się fala gwałtownej pobudliwości seksualnej. Istnieje widocznie jakiś nieznany dodatkowy czynnik, myślała Justyna.

CDN

Odgłosy

Lało równo przez całą drogę. Jechałem wolniutko, osiemdziesiątka nie schodziła z licznika. Wycieraczki miarowo biegały po szybie, jakby tańczyły ludowy kawałek. Wóz dobrze trzymał się śliskiego asfaltu. Nerwowo zerknąłem na zegarek. Było późno, a do celu podróży został jeszcze szmat drogi. Jednym zrywem wziąłem rozklekotane toczydło o nazwie „Syrena". Gość zamknięty w żółtej skorupie

— Leje — zagadnąłem podchwytliwie.

— Leje — odparł mój tajemniczy pasażer.

— W zeszłym roku o tej porze padał śnieg... — spróbowałem.

— Śnieg z deszczem — padło w odpowiedzi.

— No to jesteśmy w domu.

W ferworze rozmowy przeszliśmy na „ty", co bardzo ułatwia porozumienie.

— Wiem, jesteś konstruktorem samochodów na gaz — zaskoczyłem nagle błyskotliwą myślą.

— Eee... — osadził mnie w cuglach, nieznajomy.

— To może jesteś wytwórcą przeszklonych trumien?

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Okazja — czyli na łebka...

powąchał tylko spaliny z rury mojego pojazdu. Pokiwałem mu ręką na pożegnanie. Nie po drodze nam — stary...

Minąłem sznur ciężarówek naładowanych kartoflami i cebulą. Właśnie wchodziłem w ostry zakręt, gdy kątem oka dostrzegłem na poboczu barczystą sylwetkę człowieka, który bez parasola i bez gumiaków brnął w błocie smagany rzęsistym deszczem. W taką ulewę psa żal z chałupy wyrzucić — pomyślałem mądrze wielce. I nagle odezwała się żyłka rasowego reportera. Zawsze odzywa się w odpowiednim momencie i nigdy mnie nie zawodzi. To musi być ktoś, nie byle kto — ten facet na poboczu... Odruchowo nacisnąłem pedał hamulca. Gumy zapiszczały i samochód stanął w miejscu. Facet nawet się nie odwrócił... Otworzyłem lufcik.

— Może podrzucić? — zapytałem. Zmoknięty łypnął lewym okiem przez barczyste ramię.

— Dobra — odparł kwieciście.

Wpakował się do wnętrza z gracją słonia, aż ostrzegawczo zaskrzypiały resory. Przez myśl przeleciało mi, że muszę skądś znać tego człowieka. Ale skąd... Ruszyłem ostro.

Mimowolnie zerknąłem w lusterko. Skąd u licha znam tego gościa? Może... W uszach brzęczał mi natrętny sygnał: wyciągnij z niego tajemnicę! — podpowiadał. Nie tacy trafiali ci się na reporterskim szlaku! Wiedziałem, że nie mogę zmarnować okazji...

— Zapalimy? — podsunąłem paczkę.

— Możemy — beznamiętnie rzucił mój rozmówca.

Zaciągnął się mocno „messerszmitem" zwanym potocznie carmenem. Wypuścił z ust kilka dymnych obręczy.

— Mocne, prawda?

— Mocne.

Wyprzedziłem furmankę z pijanym woźnicą na koźle. Szofer z przeciwka mrugnął światłami, że gdzieś niedaleko przycupnęli „radarowcy". Zwolniłem. Mój pasażer ciągle milczał jak zaklęty.

— Czy my się nie znamy aby... — spróbowałem ponownie.

— No wiesz, nie zgrywaj głupa — zaskoczył mnie nagłą ripostą w stylu Andrzeja Grubby.

— Eee...

— Więc jesteś treserem zurbanizowanego sokoła, albo chirurgiem plastycznym — testowałem uparcie.

Spudłowałem jednak. Sięgnąłem do kieszeni po papierosa. Znowu zaciągnęliśmy się po całym na odwagę i walimy dalej.

— Pewnie jesteś wyplatączem koszyków wiklinowych — nie dawałem za wygraną.

— Eee...

— Leśnikiem-drzewiarzem? Szefową „Telimeny"? Różdżkarzem-wahadełkarzem? Miss Polonia...

— Eee...

Czułem, że pierwszorzędny temat wymyka mi się z rąk. Ale wytrawny reporter jest jak walec parowy. Napierałem całym impetem.

— Nie oszukasz mnie — jesteś... — nie dokończyłem. Facet odwrócił twarz w moją stronę.

— Człowieku, nie poznajesz mnie? To ja, twój brat — Jacek.

Wrzuciłem „czwórkę". Silnik zawył miarowo, wóz pognał przed siebie. Wycieraczki tańczyły równo...

To kwestia talentu...

(Rozmowa z Bohdanem Gadomskim)

Foto: Grzegorz Galasiński

— Co słychać panie Bohdanie?

— ?

— Chciałam tak jakoś niekonwencjonalnie zacząć, przyznam się, że wywiad z samym Bohdanem Gadomskim, „asem wywiadu prasowego" wywołuje u mnie tremę...

— Ja nigdy nie miewam tremy. Proszę pani, ja się starannie przygotowuję do wywiadu, długo rozmawiam ze swoim interlokutorem jeszcze zanim zacznę seans...

— Seans?

— Tak, proszę pani, seans. Z artystą, z którym rozmawiam muszę nawiązać więź psychiczną, kontakt duchowy... Być może nawet hipnotyzuję swoich rozmówców.

— Właśnie dzięki hipnozie udaje się panu wydobyć od nich tak wiele szczegółów, czasem wręcz intymnych?

— Tak, przyznaję, że udaje mi się wydobyć od ludzi nawet bardzo intymne zwierzenia. To kwestia — będę nieskromny — talentu, umiejętności nawiązywania bardzo bliskiego kontaktu z rozmówcami.

— Jak to się zaczęło, jakie były początki pańskiej kariery?

— Zawsze fascynowała mnie sztuka. Dużo czytałem, uczyłem się, byłem bywalcem wszystkich imprez kulturalnych, spektakli, koncertów. Aż... odważyłem się i zrobiłem wywiad z pewnym tancerzem amatorem. Był to piękny chłopiec...

— Chętniej rozmawia pan z kobietami czy z mężczyznami?

— Nie stawiałbym tak sprawy, najchętniej rozmawiam z wybitnymi artystami — tancerzami, śpiewakami, ludźmi sceny. Płeć tych panów nie ma znaczenia. Liczy się wrażliwość...

— Jest pan interesującym mężczyzną, ma pan zapewne duże powodzenie u kobiet?

— Skromność nie pozwala mi odpowiedzieć.

— Przepraszam, głupie pytanie, głupią odpowiedź... Który z pańskich wywiadów pana najbardziej usatysfakcjonował?

— Z Shirley Bassey. To fascynująca artystka. Czytuje wszystkie moje teksty bardzo regularnie...

— Po polsku?

— Wysyłam jej tłumaczenia...

— Dziękuje za rozmowę. Życzę panu wielu dalszych sukcesów i wspaniałych rozmów z wspaniałymi artystami.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

„ODGŁOSY 1/4". Organ samorządny, samodzielny i niezależny,
Superredaktor: Andrzej Karol, **Hiperredaktor:** Roman Kubiak, **Redaktor odpowiedzialny (za wszystko):** Joanna Olechnowicz, **Poredaktorzy:** Bogda Madej, Paweł Tomaszewski, **Grafik:** Bogda Madej, **Stałe współpracujące:** Witold Afelt.
Wydawca: Demokratyczna Unia Postępowej Arystokracji.
Redakcja nie zwraca żadnych rękopisów, długów, itp. Reklamacje, protesty, inwektywy, wyrazy oburzenia itp. kierować do redakcji „Odgłosów", wyrazy uznania, komplementy, czeki i przekazy pieniężne tylko na ręce superredaktora.
Pretumeraty nie ma i nie będzie!
Łódź, 1 kwietnia 1986 r.

NA WEASNY RACHUNEK

obliczaj dywersji

Wiele kontrowersji wzbudziła w ostatnim czasie sprawa kur znoszących złote jaja. Ka Pisaliśmy i my na ten temat. Kolejnym głosem w dyskusji nad tym niezwykle ważnym problemem jest pomiczny artykuł „Ale jaja!" zamieszczony w „Drobiarzu-Hodowcy". Zdaniem autorki, Pelagii Gdaczyńskiej „nasze kury znosić będą złote jajka tylko wówczas, gdy zapewni im się swobodny (podkr. red.) dostęp do urozmaiconej paszy, pozwoli chodzić własnymi ścieżkami, zakładać gniazda tam, gdzie mają na to ochotę i nie będzie ciągle przypominać, że jajo mają drzesłze jest od kury". Autorka danem zbyt ważnym ze szczególnego punktu widzenia, aby można było to robić w dowolny sposób i byle komu. Należy opracować specjalny regulamin dla kowali — powinien stulują oni — i zakazać im stanowczo podkuwania np. zab, gdy te, działając jawnie na szkodę, podstawiają bezczelnie nogi. Z kolei wspomniani już wyżej publicyści — pisze dalej Ben Grundik — powołują się na wielowiekowe tradycje i na dowód cytują fragment z nie wznawianego od bardzo dawna w Perszeronii dzieła pt. „Przygody Kozia Małoła", zaczynający się od słów:

Pacanowie
Tacy sprytni są kowale,
Że umieją podkuć kozy,
By chodziły w pełnej chwale.

A tymczasem w „TRZODZIE CHLEWNEJ" zapowiedź wielkiego eksperymentu, jaki już wkrótce ma być przeprowadzony w kilku wybranych gminach. Najogólniej mówiąc, polega on na tym, że klient przychodzący do sklepu ma prawo wybrać sobie dowolny kawałek wieprzowiny lub kiełbasy wieprzowej, a sprzedawca musi zrozumieć klienta uwzględnić. Jeżeli wynikł tego odważnego eksperymentu okażą się pozytywne, zasada ta ma być wprowadzona w całym kraju. Pozostaje jednak pytanie: a co z wołowiną?

I na koniec zachęcamy naszych Czytelników do lektury niezwykle interesującego tekstu w trzygodnikiu „Akwarium", którego autor ukrywający się pod pseudonimem Gupik ujawnia tajemnice hodowli złotych rybek w starożytnych Chinach i Japonii. I pomyśleć tylko, że wszystko zaczęło się od tego... no..., jakże mu tam, za przepiękną szenicem, karasia...

LUCJAN BOGUSZ

Przegląd prasy

NAJNOWSZY NUMER

„Konia Polskiego" przynosi obszerną relację Bena Grundika z królestwa Perszeronii, gdzie w tamtejszych środkach masowego przekazu trwa ożywiona dyskusja nad społeczną rolą i postawami kowali. Zdaniem wielu czołowych publicystów — dowodzi Czytelników — zawód kowala jest zawodem wolnym i w związku z tym trudno mówić o jakiejś szczególnej odpowiedzialności kowali za to, co dzieje się w Perszeronii. Kowale są takimi samymi mieszkańcami jak wszyscy inni, a że podkuwają tylko konie, to już całkiem inna sprawa. Ale część tamtejszego społeczeństwa uważa, że podkuwanie jest za-

1

Traktacik o gustach

Oglądałem brazylijski serial z niewolnicą Isaurą. Skubutki to film, o! skubutki. Zerkałem w telewizor wyjątkowo dlatego, że znajomi dużo o pięknej Isaurze opowiadali, zachwycając się jej uporem i mądrością. Upór bardzo nam jest potrzebny — szczególnie w tych ciężkich czasach. Mądrość także. Ale obejrzawszy dwanaście kolejnych odcinków serialu, muszę przyznać, że zupełnie nie pojmuję, co ludzie widzą w tej historyjce. Przecież brazylijski reżyser karygodnie, a może wręcz celowo, pomijał w swym dziele najistotniejszą dla wszystkich sprawę — mianowicie element walki klasowej w niewolnictwie. Cały cięzar akcji przesunął on na stosunki reprodukcji, zbywając milczeniem pańsuje aktualnie i krzywdzące mocno stosunki produkcji. Przez co odnosi się wrażenie, jakoby wielki posiadacz Leoncio dybał wyłącznie na dziewictwo swej pracownicy, a nie na wartość dodatkową przez nią wytwarzaną. Lecz niektórym telewidzom nawet tak ewidentne manipulacje się podobają. Cóż, już tarożyni mawiali, że nie należy dyskutować o gustach. A swoją drogą, Isaura jest niczego sobie kobiłka i nie mam pojęcia skąd wielcy panowie kaci swoją żonę przy matyczne katują swoją żonę przy kuleiku dobrego piwa zwierzył mi się, że postęp społeczny doprowadził do niebywałych zmian. Jego ślubna na przykład, chociaż je obrywa, a ilinu o niej nakręcić nie chcą. Zresztą sąsiad twierdzi, że żona nawet polubiła te codzienne „okłady" i bez nich nie może zasnąć. Cóż, już starożytni mawiali, że o gustach...

WITOLD BOROWY

2

Spojrzenie zza szachownicy

Siostra dostała 25 czerwonych pigułek, poczerwieniała mocno... Łysolowi zaapilkowałem 40 zielonych prochów — zgodnie z przewidywaniami, zzielenniał.

Ogłosiliśmy nasze sanatorium wolną, ekstrytorialną enklawą samorządnych, samodzielnych i samowystarczalnych pensjonariuszy! Magister S. pisze właśnie orędzie do narodów świata, wygłosi je dziś w radiu marki „Lister — stereo". Magister będzie prezydentem a ja ministrem obrony. Prezydent przyznał mi stopień wojskowy. Zegnam!

Generalissimus
STEFAN ŻYCIOWY

Nie ma mocnych na arcymistrza

Szanowny Panie Redaktorze! Informuję uprzejmie, że jest to ostatni list, jaki do Pana piszę. Ale po kolei: Łysola przydybaliśmy pod prysznicem, poszło łatwo, już jest w kaftanie. Siostra dodziałowa się opierała, ale magister S. ją zakneblował. Sanitariusza Józia puściliśmy wolno — poszedł do dyrekcji jako nasz parlamentariusz.

3

Felieton pe-symistyczny

Dekalog

1. Nie będziesz miał kłubów innych przed „Widzewem".
2. Nie będziesz brał imienia Jego oraz Dzidy, Stolarka i Wojcickiego.
3. Pamiętaj aby kolejkę Ligowa (na trzeźwo) świecić.
4. Czcij trenera swego i Piechnicką Antoniego.
5. Nie taruj nadaremno.
6. Nie cudzołóż.
7. Nie kaperuj.
8. Nie udzielaj wywiadów reporterom „Sportowca" i wystanikom „Legii".
9. Nie pożądaj kopacza Dziekanowskiego.
10. Ani żadnej rzeczy, która „Widzewa" jest.

BOGDA MADEJ

4

Sport

1) A-4 na A-6; C-2 na D-7; D-8 na F-7. Rany boskie!

2) Tak mógł zagrać albo pijany albo geniusz. Oszczędźcie czytelnikowi domysłów — ja tak zagrałem! wszelakoż zupełnie trzeźwy...

3) Gra w szachy to prawdziwa przyjemność. Alisci dopiero wygrana daje pełnię satysfakcji!

4) Szachy są jak czapka wiosna...

JERZY P.

JERZY KWIECIŃSKI

Wpadła mi w ręce książka i jej lektura skłoniła mnie do chwili zadumy. Autor, Marian Falski, przedstawia w niej osobliwy obraz naszego kraju: jakieś dzieci, które ma-ja kotki i pieski, jacyś murarze, budujący domy. Świat ludzi uprzejmych, wesołych, zadowolonych z życia.

Niby nic, co w tym złego? Wszakże uważna lektura skłania do stanowczego potępienia tych sielankowych obrazków! To mieszczuch szczerzy zęby spośród infantylnych tekstów i kolorowych ilustracji! To mieszczuch, przeżytek minionej epoki zastawił na nas swoje sidła!

Nie dójdziemy na to, panie Falski! Mamy pełną świadomość nie tylko naszych osiągnięć, ale wszystkiego tego, co nam jeszcze stoi na drodze i hamuje nasz marsz. Dziś, kiedy od każdego z nas zależy kształt przyszłej Polski nie potrzebne nam takie lukrowane obrazki. Nasza przyszłość w naszych rękach i nie wyrwiesz nam jej z rąk żaden Najder, żaden Falski. Trzeba nam spokoju i pracy!

W kręgu fantastyki

JAROSŁAW Z. LEMOWATY

Wielka rura

Inżynier Xaloon popatrzył z dumą — rura ciągnęła się aż za horyzont... Jeszcze kilka miesięcy, jeszcze trochę wysiłku i największa inwestycja naszego wieku zostanie w chwale oddana do użytku. Wielka rura — tak budowniczowie przywykli nazywać tunel kosmiczny między Ziemią a Marsem. Wspaniałe urządzenie, dzięki któremu podróż na Marsa trwa tyle ile weekendowy wypad na Księżyc. A kosztuje jeszcze taniej.

Xaloon wszedł do prowizorycznej stacji, którą przenoszono za każdym razem, kiedy kolejny odcinek rury był gotowy. W pomieszczeniu mieszkalnym, nazywanym żartobliwie pakamerą zastał swoją brygadę w komplecie.

— Czołem chłopaki! Co to, do roboty dziś nie idziemy?.

— Idziemy, idziemy, panie inżynierze — odpowiedział zwalisty Staszek, technik-konstruktor. Przybył na budowę niedawno, podobno był z środkowej Europy. — Tylko, kurde, robot nam się popsuł, ten od spawarki laserowej...

— Co się stało?

— Zepsuł się, nie ma zasilania. Kopnąłem drania w akumulator i wysiadł od razu. Szmelc, panie inżynierze, przysyłają... Tak jak ten komputer, co miał wyliczać odległości między stacjami — dokładnie co 9,667 km i 16,48 cm. Nic nie wylicza, można z nim tylko w oko grać. A i do tego też za głupi, jak dostanie 21 to mruga i syczy...

Inżynier-konstruktor Xaloon poczuł, jak włos mu się jeży na głowie:

— To jak postawiliśmy stację?

— Na nosa, panie inżynierze. Parę kilometrów w tę czy wewtę — co za różnica... Postawiłim i stoi. Porządna robota!

— Ale promy tunelowe mają dokładnie wyliczony przebieg! Może dojść do katastrofy!

— To już nie nasza głowa, inżynierze, są docenty w Centrali, komputry mają, pogłówkują i zrobią tak, że będzie grało...

— A co będzie bez spawarki laserowej?

— Spokojna głowa, inżynierze, zamiast spawów da się nity, szpary się zaszpachluje i będzie trzymać, jak łysego za włosy...

Xaloon oczyma wyobraźni widział już siebie na jakiejś dalekiej planecie, jako kierownika budowy elektrowni atomowej średniej mocy albo innej budy... A tak sobie obiecywał awans po zakończeniu Wielkiej Rury. Może do Centrali? Może na dyrektora wielkiej, priorytetowej inwestycji?

Staszek nie zrozumiał zmieszania zwierzchnika i poprawiając berecik typu grzybek atomowy z antenką radarową zagadnął:

— A te Kitajce to kiedy tu przylecą?

— Jakie Kitajce?

— No, te z Marsa, ta brygada ichniejsza?

Marsjanie rzeczywiście mogli trochę przypominać Azjatów — niscy, skośnoocy, żółto-zieloni.

— Mają być jutro. A co wy właściwie robicie z tym robotem? — Inżynier spojrzał na zdemontowany korpus robota-spawacza laserowego.

— Próbuję, panie inżynierze, uruchomić go na inny napęd. Robię eksperyment ze sfermentowaną mieszanką drożdży i glukozy...

Xaloon wyszedł z pakamery wzruszywszy ramionami.

— Chłopaki, kuredelebele, mówiłem że stary się nie pokapuje! A my jutro tym żółtkom zaimponujemy europejską gościnnością! Podsunął pod miedzianą rurkę pękatą zlewkę, do której spływał kroplami bladożółty płyn. Pachniało drożdżami i jeszcze czymś nieokreślonym....

Ziemianin potrafi!

Lekcja trudnego lenistwa

TOMASZ SAS

Potrzeby demokracji w państwie socjalistycznym nie potrzebuję uzasadniać. Jako leniwy obywatel nie mam na to ochoty zresztą zrobili to już inni teoretycy, może nawet nie gorsi ode mnie, że wymienię choćby Marksa czy Engelsa

Istotny jest natomiast kształt tej demokracji postrzegany przecież różnie... Nie chcę być gołosłowny — onegdaj rozmawiałem na ten temat z Mieczysławem F. Rakowskim i Wiesławem Górnickim. Rakowski, któremu zwykle na mój widok psuje się humor, rzekł w zadumie: — demokracja tak, ale... Co Górnicki z kolei skwitował sceptycznym: — iżby tak, tak drogi Tomku, demokracja, demokracja... Ale jaka i za jaką cenę?

Mogę się z moimi rozmówcami zgodzić tylko częściowo. Ci świetni dziennikarze i działacze polityczni wiedzą sporo, ale nie wszystko. Nie mają tak rozległego doświadczenia jak moje w dziedzinie wnikliwego obserwowania funkcjonowania demokratycznych lub choćby tylko pseudodemokratycznych lub parademokratycznych struktur poziomych i pionowych i to zarówno na wysokich szczeblach władzy jak i na samym dole — w gminie czy zakładzie pracy.

A przecież sama obserwacja nie wystarcza. Na szczęście już od wczesnego dzieciństwa czytałem nie tylko Daniela Defoe ale także Curwooda, Londona, Cervantesa, Verne'a, Conan Doyle'a, Karola Maya i Agatę Christie Stanisława Lema czytałem nawet w oryginale!

Wyniesione z tych lektur podstawy teoretyczne poparte wspomnianymi już obserwacjami, całą, by tak rzec empirią, pozwalającą mi na szerokie i niepodważalne tak a priori jak i a posteriori uogólnienia.

Demokracja — być może zaskoczę tym niektórych ludzi o umyśle płaskim i leniwym — jawi mi się jako władza większości, która sprawuje ją drogą świadomego wyboru swych przedstawicieli do ciał ustawodawczych.

Z tej jasnej i, jak mniemam, niepodważalnej formuły wyciągam wniosek, być może zaskakujący, że obywatel leniwy powinien brać udział w wyborach wykorzystując z rozwagą i we właściwej kolejności każdy z dziesięciu przymiotników składających się na formułę naszego prawa wyborczego.

Foto: Grzegorz Galasiński

To jeszcze nie wszystko. Wszelkie, najbardziej nawet skomplikowane spekulacje myślowe, jakie wykonałem przygotowując się do napisania tego tekstu skłaniają mnie do sformułowania oryginalnej hipotezy, iżby najlepiej było wybrać do organów przedstawicielskich ludzi mądrych!

Oczywiście, nie należy mądrości mierzyć wykształceniem ani nawet erudycją. Są to miary częściowo tylko przydatne do dokonania prawdziwego wyboru.

Ja, dla przykładu, rozgryzając teoretycznie problemy demokracji socjalistycznej zapoznałem się nie tylko z pracami Marksa, Engelsa i Lenina, ale zadałem sobie trud prześledzenia tej tematyki w dziełach Hegla, Proudhona, Augusta Bebla, Róży Luxemburg, Plechanowa, Kautsky'ego, Bakunina, Vandervelde'a, Kropotkina, Trockiego, Lasalle'a i wielu innych, nie wyłaczając nawet Dühringa i Anty-Dühringa, że nie wspomnę już Ilfa i Pietrowa. Lektura ta przekonała mnie, iż miałem rację od początku! Nie wyciągam z tego faktu jednak wniosku, że absolutnie powinienem być parlamentarzystą. Znam wielu gigantów myśli, ludzi obdarzonych wspaniałym umysłem i ogromną wiedzą, którzy w parlamentach nie zasiadali. Pewnie też byli leniwymi obywatelami...

Listy • Opinie • Polemiki

BRAWO! BRAWO!

Przeczytałem „Odgłosy" (numer 6 z 8 lutego 1986 roku). Szczerze przyznam, że podobały mi się jak zwykle. Najbardziej podobały mi się kolumna „Polemiki — listy — opinie", na której Redakcja drukuje (tu ukłony dla Szanownej Redakcji) bardzo dobre teksty polemiczne znanych i powszechnie szanowanych autorów. Drodzy Czytelnicy musicie wiedzieć, że ja zaczynam czytanie „Odgłosów" od... no czego... Choć to może nieskromne, ale prawdziwe, więc przyznam że od wyżej wymienionej kolumny właśnie. Rzecz zrozumiała, gdyż najpierw chcę sprawdzić, co też mi Pan Redaktor przyjął do druku. Dodam, iż ostatnimi czasy zaniedbałem z lekka swoje postanowienie dziełowe, gdyż dostarczyłem zaledwie 127 tekstów, zamiast około 300, co czynię zazwyczaj Myślę jednakże, iż nastały czasy dbania o jakość, a nie o ilość, stąd mój „gospodarczy telek i zagospodarowaniu makulatury, muszę pochwalić Autora za bezpardonowe napiętnowanie dozorców. Precz z niechlujstwem! — zakrzyknięmy zgodnie. Precz z chuligańskimi niszczącymi przystanki tramwajowe!

Pamiętam, że w dawnych czasach miodziej była lepsza i bardziej przyjęcowana do życia. Czy kto słyszał, żeby miokos nie ustąpił miejsca starusze albo przodownikowi pracy? Nic podobnego! Dlatego nie bez kozery będzie wysunąć postulat, żeby ulica Piotrkowska jeździły tramwaje.

W. AFELT

ZGROZA

Przeczytałem „Odgłosy" (numer 8 z 22 lutego 1986 roku). W tygodniku tym interesuje mnie wszystko z wyjątkiem strony ostatniej. „Wielkiego lasu" nie czytam — po prostu. Nie interesuje mnie zupełnie kragły zad Weronki oraz jej jędrne „cycki jak granaty". Nie interesuje mnie opisywanie nocy w leśniczówce, kiedy skrzypi dębowe łóżko i słychać okrzyki rozkoszy pięknej kelnerki z Gaud. A już wcale nie interesuje mnie, że „jej palce myszkowały po brzuchu muskając skrai szorstkich włosów na...", Zgrozo!

W.A.

REFLIKA

W świątecznym dodatku do „Odgłosów" przeczytałem ostre polemiki niejakiego W. Afelta z całą plagą trapiących nas problemów. Odsłaniam przyłbicę — stwierdzam, że zgadzam się całkowicie z zawartymi tam uwagami. Najbardziej zgadzam się z apelem o przywrócenie ruchu tramwajów na ulicy Piotrkowskiej. Nie bójmy się nowego!

WITOLD AFELT

COŚ W TYM JEST

Przeczytałem „Odgłosy" (numer 7 z 15 lutego 1986 roku). Szczerze przyznam, że podobały mi się bardzo. Szczególnie podobała mi się kolumna „Polemiki — listy — opinie", gdzie wydrukowano kilka znakomitych obserwacji uważnych Czytelników, na dodatek posiadających dobre pióro. (proszę właściwie zrozumieć! Nie chodzi tu o „robienie wokół pióra"). Szanowny Pan Redaktor (chwała Mu) wydrukował mój tekst polemiczny, w którym otwarcie przyznaję, że "Odgłosy" podobają mi się. Bardzo to dobrze, że Redakcja nie lęka się publikowania takich opinii. Wszak źle by się stało, gdyby zamykano usta ludziom, którzy chwalą to i owo.

Szczerze poruszony telefonem Zenona Porowatego o jakże bolącym nas skupie bu-

Foto: Grzegorz Galasiński

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Tahiti — przelot

Więc wreszcie lecę. Pode mną — lustro oceanu, nade mną — błękit nieba, obok — kruczowłosa stewardesa serwująca drinki.

— Whisky rum, brandy, wyborowa? — pyta po angielsku

— Yes — odpowiadam też płynną angielszczyzną i biorę szklaneczkę wyborowej. Wyciągam się w miękkim fotelu, pilę lemiwie. Za pół godziny będziemy podchodzić do lądowania.

Lotnisko w Faa'a wita mnie trzydziestostopniowym upałem. Zdejmuję skórzaną marynarkę, którą towarzyszy mi we wszystkich molach wypraw. Zapalam ulubionego cara, wyciągam notatnik i długopis — prawdziwy reporter w każdej tnik i długopis — prawdziwy reporter w każdej

w kwiatarni (oczywiście stoczyki, a nie wiosy) a 785 złotych za jeden kwiat. Przy stoliku obok je własnie obiad Gubernator wyspy, wymienia my kurtuazyjne ukłony. Ciemnoskóry kelner przynosi nam rachunek na bananowym liściu co — jak się dowiaduję — należy tu do tradycji. Chcę mu dać dwadzieścia złotych napiwku, ale grzecznie odmawia. Śmieje się przy tym szeroko, ukazując białe zęby. Podoba mi się ten jego przyjazny śmiech.

Następnego dnia pan radca, którem jestem wzdłuż malowniczego wybrzeża. Szerokie piaszczyste plaże, rafy koralowe, muszelki. Papenou, Tiarel, Makaena, Faone — notuję sprawnie nazwy miejscowości. Wszędzie wokół bujna roślinność. W Taravao grupa młodych dziewcząt obsypuje nas kwiatami. Zapisuję to dokładnie w moim notatniku. W przyszłości chciałbym wrócić do tego tematu. A na razie mkniemy dalej. Czeka mnie jeszcze seria spotkań: z kierownikiem artystycznym miejscowego zespołu pieśni i tańca, prezesem Towarzystwa Przyjaciół Wysp, wicegubernatorem ds. kultury, wytoczna jącym się indywidualnym planatorem palm kokosowych, jedynym z deputowanych do Zgromadzenia Terytorialnego oraz przewodniczącym związkow zawodowych. Muszę przyznać, że mój pobyt na wyspie został bardzo starannie przyrządowany. Daję słowo honoru — nie wszyscy dziennikarze mają tyle szczęścia.

A wieczorem siedzimy na tarasie rezydencji radcy. Wsłuchani w śpiew pięknych Tahitanek, sączymy burgundu, palimy przywiezione przezemnie z kraju cara. Gospodarz opowiada barwnie o tutejszych zwyczajach. Słucham go z zapartym tchem.

— A na czym właściwie polegała tu pana obowiązki? — pytam go w pewnej chwili dociekliwie.

— O, są bardzo różnorodne. Oprócz tłumaczeń prezentacyjnych trochę się, wie pan, pohandlujże tym i owym. Ale głównie przyjmuję odwiedzających wyspę specjalnych wysłannikow. Bo cóż ondy tu sami bere mnie zrobili!

Konflikt trwał, a nawet przybierał na sile. 16 września o godzinie 16.32 Micha uderzył Ściborka w twarz. Jak to było? Micha twierdzi, że wcale go nie uderzył:

— Ściborek podszedł do mnie na schodach i powiedział: — precz ty chamie! Wówczas podniosłem rękę i wykrzyknąłem: — a masz! ale go nie uderzyłem. Specjalnie tak zrobiłem, żeby go nastraszyć....

Tymczasem Ściborek przedstawia taką wersję wydarzeń:

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Harakiri (116)

Foto: Grzegorz Galasiński

— Micha biegł za mną po schodach i wykrzykiwał: — ubiję, ty chamie! Uciekałem. Dopędził, wyrwał mi z ręki kłonicę, którą noszę czasem, ot, tak dla rozrywki i uderzył mnie w zęby z okrzykiem: — a masz, ścierwo! Potem pobiegł do gospody, gdzie chwalił się, że mnie pobił. Wiem, bo ja też byłem w gospodzie i opowiadałem o wydarzeniu sąsiadom — Kapiszonowi i Wildze.

W protokole Kolegium Orzekającego zapisano:

„Obwiniony Ściborek — jak zeznaje świadek Józef Kapiszon — chwalił się, że wreszcie tego chama sk...syna dopadł na schodach i pobił kłonicą".

Kto kogo pobił i dlaczego? Gdzie podziała się kłonica? Dlaczego świadek kłamał, podobnie zresztą jak obydwaj zainteresowani? Pewne światło na tę sprawę rzuca to, co powiedział mi w zaufaniu Antoni Wilga:

— Oni oba, panie redaktorze, chamy są i zbóje. A kłamią lepiej niż, za przeproszeniem, naczelnik Smykała...

Jak się zresztą okazuje, naczelnik Smykała nie brał bezpośredniego udziału w wydarzeniach. Tym niemniej twierdzi, iż to Micha został pobity przez Ściborka.

— Ściborek muchy by nie ukrzywdził, a co dopiero Michy, takiego chłopa na schwał. Znam Ściborka od wielu lat, jestem jego szwagrem i mamy nawet traktor wspólny. Sprawiedliwy jest człowiek, ani słowa. Inna rzecz, że jak tak dwóch w jednej chałupie mieszka, jeden na górze, drugi na dole, to spokoju nie może być. Baba winna, panie redaktorze, dwóch chłopów jej się zachciało...

Jeszcze inną wersję wydarzeń przedstawia Joanna Bzdygiel, sąsiadka Michy i Ściborka:

— Pobiły się, pobiły, jak to chłopy pijane. I jaki szum o to, kolegium i hałas na całą gminę! A jak mnie biły, to się nikt za biedną wdową nie ujął! O, tu jeszcze mam sińce po bucie Ściborka (pokazuje górną część uda), a tu mnie Micha ugryzł (odpina stanik i obnaża bujne piersi). A Sykotowa to mnie po całej wsi obszczekała, że z dwoma chłopami śpię. Nieprawda, bo z nimi nie spałam, chyba że w sobotę, po zabawie...

Po kilkugodzinnej rozmowie opuszczam izbę wdowy Joanny Bzdygiel. Gospodyni zaprasza na śniadanie, ale odmawiam. Czeka mnie kolejna wizyta w domu Ściborka, a później — Anieli Sykot.

CDN

ŁUCJUSZ WŁODKOWSKI

Gdzie były nasze proce w bitwie na Psim Polu

Karol Bunsch autor powieści zatytułowanej „Psie Pole" próbuje dać odpowiedzi na pytania nurtujące współczesnych, a związane z kulisami tej ważnej i przełomowej bitwy. Niestety, materiały, które udostępnia Bunsch znamionują poważne luki. Zaś czterotomowa Encyklopedia Powszechna pod hasłem „Psie Pole" przynosi skąpe informacje. Czytamy w niej: „Psie Pole" — prawdopdobnie miejsce zwycięstwa 1109 wojsk pol. Bolesława Krzywoustego nad armią niem. Henryka V; wzmiankowane dopiero w kronice Wincentego Kadłubka". Tyle encyklopedia. Natomiast Karol Bunsch przybliża nieco szczegóły, choć nie wszystkie. Bunsch ujawnia jednakże, jak wyglądał początek owej bitwy. A wyglądał tak: „Henryk krzyknął: Gott mit uns! Vorwarts!". Potem prawdopodobnie doszło do krwawych zmagań obu nieprzyjacielskich stron. Być może polała się krew. Karol Bunsch tak to opisuje: „Za plecami piechoty procarze i łuczniey nieustannie sypali na harcowników grad kamieni i strzał. Ranione konie kwiczały, niektóre biegały bez jeźdźców, wrzask i szczęk broni rósł z każdą chwilą, głusząc rozkazy, ale mężni Sasi parli naprzód niepowstrzymani". Tutaj uważnemu badaczowi historii nasuwa się oczywiste pytanie, a mianowicie: gdzie w tym czasie były nasze słynne proce przeciwrycerskie? Jak można było dopuścić do tego, by hufce Bolesława stawały do niebezpiecznej walki bez należytej osłony — tzn. gradu kamieni polnych. A przecież badania naukowe dowiodły, że wojowie nasi dysponowali siedmioma pierwszorzędnymi procami ufundowanymi ze składek społecznych. Niektórzy historycy twierdzą, iż należy snuć podejrzenia, że prawie wszystkie proce zostały „opylone" przez niejakiego Mściwoja Zasadnego. Podobno wzmianki na ten temat można odnaleźć u G. Anonima.

Wracając do bitwy na osławionym Psim Polu, Karol Bunsch nie ukrywa, że rezultatem tajemniczego zniknięcia proc z obozu naszych przodków było otarcie się o tragedię. Autor relacjonuje wręcz: „Henryk widząc, że bitwa przechyla się na jego stronę, nabrał ducha". Oj niedobrze, niedobrze... Ale na szczęście do sukcesu wrażych oddziałów nie doszło, bo — pisze Karol Bunsch: „Z lasu wysypało się mrowie ludzi i z wrzaskiem strasznym szło na pancernych. Z nadbiegających mało kto miał jakieś żelazo w ręku, najczęściej jeno kije sękate". No prosze — „jeno kije sękate". A proc jak nie było tak nie ma.

Tymczasem podziwu godny zryw ludu nieuzbrojonego został źle przyjęty przez rycerzy wroga. Bunsch tak to opisuje: „Jakoż na chłopskich tyłach rozległ się dźwięk rogów, a tłum jak walczył zaciekle, tak nagle rzucił się do ucieczki, by w lesie znaleźć ochronę przed zagładą". Oczywiście w lesie też nie było naszych proc, ani nawet odpowiednio dużego zapasu kamieni, choć jedne i drugie mogły zadecydować o losach państwa.

Skończmy jednak te dywagacje i wróćmy do bitwy, która zaczynała przybierać niepomyślny obrót. K. Bunsch otwarcie przyznaje, że: „Bolesław od razu rzucił na szalę co miał najcięższego". Tutaj każdy zapewne pomyśli, że nareszcie odnalazły się wspaniałe proce. Otóż nie, proce zginęły bez wieści. Co zatem najcięższego Bolesław rzucił na szalę. Odpowiedź znajdziemy u Karola Bunscha. Brzmi ona: „Jak pocisk na siwej klaczy pędził sam Bolesław". Ile Bolesław ważył — z klaczą oraz bez — tego niestety Bunsch nie podaje. Dość, że ciężar ten zupełnie wystarczył na skruszenie ofensywy wojsk nieprzyjacielskich. Musiało być bardzo gorąco bo wspomniany Karol Bunsch podaje, że: „Straty były ogromne". No właśnie. Lecz czy musiały być aż tak ogromne? Powiedzmy sobie szczerze — nie! Zabrakło zdrowego rozsądku i proc. Wszak dobra proca nigdy nie jest zła. Ale o tym za tydzień...

Nie opowiedziałem tej historii, wyczytanej w powieści „Psie Pole", bez powodu. Otóż myślę, że warto się nad nią głębiej zastanowić. Czy my dziś częstokroć nie postępujemy podobnie jak nieznani sprawcy z procami. Pomyślmy nad tym!!!!

Dyskusja redakcyjna — czym jest?

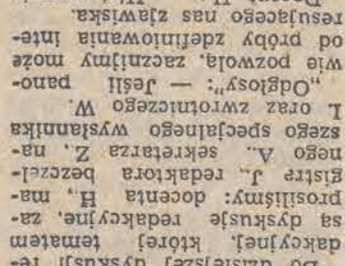

Foto: Grzegorz Galasiński

Do dzisiejszej dyskusji redakcyjnej, której tematem są dyskusje redakcyjne, zaprosiliśmy: docenta H., magistra J., redaktora bezczelnego A., sekretarza Z., naszego specjalnego wysłannika I. oraz zwrotniczego W.

„Odgłosy": — Jeśli panowie pozwolą, zacznijmy może od próby zdefiniowania interesującego nas zjawiska.

Docent H.: — Historycznie rzecz biorąc, już w odległych epokach, a prawdopodobnie jeszcze wcześniej, jak wykazują najnowsze badania przeprowadzone przez nasz instytut, który w ostatnich latach odniósł szereg spektakularnych sukcesów do czego walnie przyczyniło się duże zaangażowanie naszych pracowników, zasługujących, mogę zdaniem na słowa uznania ze strony nie tylko środowiska, ale całego społeczeństwa, czytającego masowo — jak pisze profesor L. — redakcyjne dysuksje.

Sekretarz Z.: — Bardzo trafnie pan docent nawiązał tu do jakże pięknych tradycji świadczących ponad wszelką wątpliwość, że sztuka wartościowa bowiem, że sztuka dyskusji sięga swymi korzeniami do bogatego podłoża naszych dziejów.

Docent H.: — Nemo scit, caloeus urat, nisi qui eum portat, jak mówili starożytni.

Redaktor A.: — Przy okazji warto by chyba jednak zauważyć, że poniekąd aczkolwiek przede wszystkim, to jednak nawet głównie z tego powodu, albo kto wie, czy nie aż nadto.

Magister J.: — To rzeczywiście niezwykle cenna uwaga. Ale pozwolę też sobie wskazać na immanentny charakter dyferencjacji ambiwalentnej dychotomii, implikującej expresis verbis implicite omawianego zjawiska.

Nasz specjalny wysłannik I.: — Słusznie. Słusznie, potwierdzają to również moje obserwacje z Poppodecutomi-nobrie.

Docent H.: — Polemizowałbym gdyż kolega magister zaprezentował nam typowe postranssocjobiosferyczne ujęcie problemu, które sprzeczne ne jest Poniekąd z podstawowymi założeniami teoretycznymi i metodologią.

Zwrotniczy W.: — A u nas, na zwrotnicy...

Redaktor A.: — Przepraszam, że wpadnę w słowo, ale gdy się głębiej nad tym zastanowić, to wydaje mi się, że wątpię.

Sekretarz Z.: — Oczywiście, jest to jednak tylko pewien margines całego zjawiska i dlatego proponowałbym nasze rozważania zakończyć, mówiąc, że gdy słowo się rzekło, to jak kula w płot.

Zwrotniczy W.: — Aha.

„Odgłosy": — Serdecznie dziękujemy za przybycie do naszej redakcji i wzięcie udziału w tej niezwykle interesującej wymianie zdań.

Foto: Grzegorz Galasiński

Balanga w pokrzywach

RYSZARD BINKOWSKI

Jacek J. czterdziestoseidemletni młodzieniec z wykształceniem niepełnym zaradniczym odznaczający się urodą, przywodząca na myśl najwspanialszych gwiazdorów kina niemego i telewizji polskiej nie należał do ludzi zapracowanych szczególnie — wprost przeciwnie, w jego barwnym życiorysie praca zarobkowa w zakładzie uspołecznionym zajmowała zaledwie półtora roku. Zakład zaś był zakładem karnym Jacek zajmował dwupokojowe mieszkanie. Do tak znacznych zasobów mieszkaniowych dosedł był własnie dzięki pobytowi w wymienionym zakładzie, gdzie poznał właściciela mieszkania. Właściciel ów odbywał wieloletni wyrok za omyłkowe przywłaszczenie sobie znacznej kwoty od pewnego obywatela, któremu także omyłkowo wybił oko i złamał rękę. Ponieważ te dwie ostatnie omyłki wcale nie były pierwszymi, stąd wyrok był hojny i zapewniał dach nad głową Jackowi J. na dłuższy czas.

Jacek wkrótce zorientował się, że pieniądze nie tylko leżą na ulicy, ale wręcz w kamienicy, w której dzięki Sądowi Okręgowemu zamieszkiwał. Kamienica była dużą, zasiedloną przez ludzi przeróżnych, zlaknionych najróżniejszych usług, które Jacek świadczył nie opuszczając nie tylko domu, ale — niejednokrotnie — nawet mieszkania

Oto w poprzecznej oficynie mieszkał pewien bogaty a nudzący się starszek. Jacek wkrótce wykrył jego namiętność do pornograficznych wydawnictw i za sowitą opłatą zaproponował działkowi a-trakcję znacznie elektrownie-szą — oto zapraszał go do swego mieszkania i umożliwił oglądanie ćwiczeń ze obiektem, które aplikował trzem sąsiadkom, skarżącym się na nadwagę. Nie trzeba chyba dodawać, że wymagał od swych podopiecznych używania zniżimalizowanych kostiumów gimnastycznych i od nich również, a nie tylko od ciekawskiego starszka, pobierał opłaty jako dyplomowany specjalista: instruktor aerobicu.

Zamożnego zegarmistrza od frontu zainteresował sprytny Jacek J teorią gier Bezpłatnie wprowadzał go w arkana Chińczyka, warcabów i bierek Również bezpłatnie, ale nie bez zysku uczył zegarmistrza grać w oko, sześćdziesiąt sześć i pokera...

Jako specjalista wschodnich walk i systemów samoobrony skłonił sąsiada z parteru, aby zafundował swej ponętnej żonie cykl treningów z tej dziedziny. Sąsiad był bowiem zazdrosny i ciągle zatroskany o to że jakieś oprzyszki dokonają gwałtu na jego połowicy. Sąsiadka przychodziła do Jacka a ten, po krótkim wstępie teoretycznym, przypuszczał symulowany atak gwałciciela. Uczeniczka nie była zbyt pojętna i po dwudziestej szóstej lekcji nadal nie opanowała sztuki skutecznej obrony przed atakami Jacka J. ...

Interesy Jacka J. kwitły do feralnego dnia lipiemin. Na skutek nadużycia wina marki Jabol wzmocnionego spirytusem zaprosił działka-podglądacza nie na trening aerobicu, tylko na ćwiczenia samoobrony. Działek zaczął poktrzykiwać aż ściany sąsiadka się ‘ploszyła i w odzieniu zdecydowanie niekompletnym wybiegła ale tylko do drzwi. W których ukazał się jej zazdrosny mąż uzbrojony w półlitrówkę. Wrzasnął dziko. — Ja cię, karateko cholerny!... i rzucił się na Jacka J. W wyniku bójki sąsiad pozbawiony został uzębienia przedniego a działek-podglądacz sztucznej szczęki.

Jacek J. nie odebrał już życzeń i gratulacji od zadowolonego sąsiada ani od żadnego innego z sąsiadów. Znów, w wyniku rażącej pomyłki sądowej zmuszony jest do pełnej abstynencji a co gorsza pracy fizycznej.

Mieszkanie stoi puste.

Rys. Janusz Szymański-Glanc